



Dwaj bracia wampiry, dwaj synowie  
władcy nieśmiertelnych zakochani  
w tej samej śmiertelnej dziewczynie:

# Ciemność Przed Świtem

J.A. LONDON



# *London J.A.*

## *Ciemność przed świtem*

**Dwaj bracia wampiry, dwaj synowie władcy nieśmiertelnych zakochani w tej samej śmiertelnej dziewczynie**

**Zbudowaliśmy mur, by ich powstrzymać. Lecz jesteśmy więźniami zamkniętymi w spustoszonym mieście, żyjącymi w strachu przed zapadającą ciemnością...**

**Myślałam, że wiem wszystko o tych potworach. Ale nic nie przygotowało mnie na spotkanie z ich władcą... i jego synem.  
Czy mogę mu zaufać?**

**Wampiry opanowały świat. Ludzie żyją w spustoszonych miastach, chroniąc się za ich wysokimi murami. Tylko tu są względnie bezpieczni – dopóki będą składać nowemu władcy daninę.**

**Siedemnastoletnia Dawn Montgomery jest wysłanniczką Denver, łącznikiem pomiędzy ludźmi i wampirami – najmłodszą, odkąd ustanowiono tę funkcję. Pogodziła się z tym, że musi opuszczać mury miasta, by na dworze władcy wampirów negocjować z nim jego przerażające żądania...**

**Wszystko się zmienia, kiedy w życie Dawn wkracza Victor, syn Lorda Valentine'a. Czy chce tego, co wszystkie wampiry? Czy pragnie czegoś więcej – jej serca? I czy ich uczucie ma jakąkolwiek przyszłość, gdy pojawi się rywal, który pożąda Dawn tak samo mocno, jak władzy i krwi...**

**Czy ocali ich wschodzące słońce?**

## Prolog

### *Dziewiąty rok Nowego Porządku Świata*

Kiedy powóz toczył się po pustych równinach, zabójca przyglądał się swoim towarzyszom podróży. Mężowi i żonie, połączonych miłością i oddaniem, które niebawem mieli przypłacić życiem.

- To niezwykle jak na lorda Valentine'a, żeby wysyłał nam eskortę na powrotną drogę do Denver. - Kobieta przyglądała się mu uważnie.

- Napadów jest ostatnio więcej - odpowiedział tonem oschłym i obojętnym, jak on sam.

- Doceniamy jego względy - dodał mąż. - Wielki lord wampir nieczęsto okazuje taką łaskę.

- Zawsze byliście jego faworytami - zwrócił się do nich w czasie przeszłym.

Jasny księżyc wisiał wysoko, a jego błękitny blask sączył się przez szyby do powozu. Konie galopowały, dudniąc kopytami w idealnie miarowym rytmie.

- Lord Valentine był zadowolony z ilości dostarczonej ostatnio krwi - zauważyła żona z nerwowym drżeniem w głosie, jakby zorientowała się, że nie wszystko jest w porządku.

- Oczywiście - zapewnił ją, chociaż liczby nie miały dla niego znaczenia. Był zadziwiony jej naiwnością. -Chciałbym zadać panu pytanie. - Spojrzał w twarz jej mężowi. - Czy pańska córka ma pojęcie o swoim prawdziwym dziedzictwie?

Mężczyzna był zaskoczony. Była to ostatnia rzecz, jaką spodziewał się usłyszeć.

- Dawn żyje w nieświadomości - wyjaśnił. - I moim największym marzeniem jest, żeby tak pozostało na zawsze.

- Wstyd - wymruczał zabójca.

- O czym on mówi? - spytała kobieta z wyraźnie zmartwioną miną.

Ona nie wie, zrozumiał zabójca. Mąż zataił przed nią prawdę. Nigdy tych ludzi nie zrozumiem.

- O niczym, kochanie - zapewnił mąż, siląc się na krzepiący ton tak nieudolnie, że osiągnął komiczny efekt.

- Och, o wszystkim - opowiedział zabójca.

- Przeszłość została pochowana dawno temu. Nie ma sensu do niej wracać.

Zabójca spojrział na nich oboje i poczuł zadowolenie. To będą ich ostatnie słowa na tej ziemi.

Obyło się bez bólu. Poszło błyskawicznie. Nim zdążyli krzyknąć, było po wszystkim.

1

*Trzy miesiące później...*

Stojąc na balkonie, obserwuję, jak słońce kreśli na niebie swoją drogę za horyzont. Niedługo wyłonią się potwory i zaczną działać. Lubią noc. Żerują nocą. Czasami żerują na nas.

Mam stąd widok na sześciometrowy betonowy mur otaczający Denver. Wzniesiono go niedługo po tym, jak dobiegła końca wojna trzydziestoletnia, w której ludzie przegrali z wampirami. Stanowi przeszkodę dla większości potworów. Ale nie dla wszystkich.

Jutrzejszej nocy Agencja - odpowiedzialna za ochronę miasta - wyśle mnie poza mur. Po raz pierwszy samą, jako oficjalną wysłanniczkę do jednego z najpotężniejszych wampirów na świecie: lorda Valentine'a.

Podobnie jak moich rodziców. Przez dwa długie lata spotykali się z lordem Valentine'em dwa razy w miesiącu, żeby rozmawiać o stosunkach wampirów i ludzi, negocjować dostawy krwi, odwoływać się do jego miłosierdzia

choć cechowało go niewielkie. Przed nimi służyli inni wysłannicy, ale żaden nie przetrwał tak długo jak oni; żaden nie odpowiadał Valentine'owi. Oficjalnym wysłannikiem był mój ojciec, ale matka nie chciała pozwolić, żeby dźwigał ten ciężar sam. Tak bardzo się kochali. Staralam się nie mieć żalu, że miłość do ojca przedłożyła ponad miłość do mnie. Wiedziała o niebezpieczeństwie; wiedziała, że zostanę sierotą. Jednak podróżowała u boku ojca. W końcu, pewnej nocy, trzy miesiące temu, nie wrócili do domu. Ich spalony powóz znaleziono na drodze, a ziemia wokół niego przesiąknięta była krwią.

Valentine przesłał kondolencje i zapewnienie, że winni - dzikie wampiry grasujące po okolicy - zostali ukarani. Później dowiedziałam się, że przywiązał ich do krzyży poza murem, żeby spotkali się ze słońcem. Ponieważ wampiry szybko zdrowieją, musiała to być długa, bolesna śmierć - powoli zamieniały się w popiół, aż pozostały z nich jedynie kły. Te, z jakiegoś powodu, nie płoną.

Ledwie skończył się pogrzeb rodziców, Valentine powiadomił Agencję, że chce, bym przejęła rolę wysłannika. Nikt nie pytał, dlaczego wybrał mnie. Kiedy ktoś, kto posiada moc zniszczenia wszystkiego, co jest ci drogie, okazuje niezadowolenie, musisz robić wszystko, żeby go uszczęśliwić. Nawet jeżeli to unieszczęśliwia ciebie. Nawet jeżeli prawie wszystko, co było ci drogie, już ci odebrano. Ale czasem się zastanawiam: dlaczego ja? Mam dopiero siedemnaście lat i jestem najmłodszym wysłannikiem ze wszystkich, których do tej pory wyznaczono.

Agencja opiekę nade mną powierzyła Rachel Goodwin. Rachel wprowadziła się do mieszkania mojej rodziny, żeby mnie pilnować i mną kierować. Jest też moją mentorką, zaznajamia mnie ze wszystkimi szczegółami związanymi z funkcją wysłannika i obcowaniem z wampirami - etykiety, protokołu i manier, jakich Valentine oczekuje od tych, którzy się z nim spotykają. Od dwóch miesięcy spotykam się z lordem Valentine'em z Rachel u boku. To ona na ogół zabiera głos, ja tylko obserwuję jej zachowanie. Ale po ostatnim spotkaniu lord Wampir powiedział jej, że nie będzie już potrzebna, a ja jestem gotowa, by przyjechać sama. Agencja się nie sprzeciwiła, bo rzadko to robi. To moje zadanie.

- Dobrze, znam adres. - Z błyskiem w zielonych oczach moja najlepsza przyjaciółka, Tegan Romano, zatrzaskuje klapkę telefonu komórkowego, przywołując mnie do teraźniejszości, i staje przy mnie na balkonie. Podaje mi adres imprezy. Był w tej części miasta, w której nadal widać zniszczenia po wojnie. Myślałam o tym, żeby napisać do Michaela, chociaż wiedziałam, że wieczorem ma zajęcia z obrony dla zaawansowanych.

- Nawet nie myśl, żeby do niego pisać - mówi Tegan, jakby czytała w moich myślach. - To dziewczynski wieczór.

Ale czułabym się lepiej, gdyby on tam był. Michael Colt został przyjęty do jednostki szkoleniowej elitarnej formacji Strażników Nocy. Teraz tylko odliczał czas do następnej wiosny, kiedy ukończy kurs.

- To nie zdrada tańczyć z innymi – dodaje.
- Nie o to chodzi. Po prostu... tęsknię za nim. -Z powodu moich przygotowań do roli wysłanniczki i jego szkoleń mieliśmy ostatnio bardzo mało czasu dla siebie.
- Jutro się z nim zobaczysz. Poza tym on i tak jest dziś zajęty, prawda? Inaczej byłby tutaj i nie byłabyś skazana na mnie.
- Nie jestem na ciebie skazana.
- No to daj spokój. Odkąd tak bezsensownie zostaliście parą, już prawie nigdzie ze mną nie wychodzisz.
- Wychodzimy wszyscy razem.
- A ja jestem jak piąte koło u wozu.

Na ogół nie. Prawie zawsze był przy niej jakiś chłopak. Tylko nie miała na ich punkcie takiego bzika jak ja na punkcie Michaela. To trochę zabawne. Michael i ja dorastaliśmy razem, zawsze byliśmy przyjaciółmi, aż niespodziewanie, jakieś cztery miesiące temu, sprowokowani na imprezie, pocałowaliśmy się. Chyba oboje byliśmy zaskoczeni tym, że między nami zaiskrzyło. Od tamtej pory staliśmy się nierozłączni.

Kiedy wchodzimy z powrotem do mieszkania, radio podaje wieczorne wiadomości:

- Zachód słońca o godzinie dziewiętnastej piętnaście i dwadzieścia trzy sekundy. Trzeci sygnał oznacza godzinę osiemnastą trzydzieści pięć. - Pip, pip, pip.

Odruchowo spoglądamy na zegarki i telefony komórkowe, żeby upewnić się, czy czas jest prawidłowy. Od dokładności zegarów nocą mogło zależeć życie; biegłyś-



my wtedy do ciemnego domu i kuliłyśmy się w pokojach w oczekiwaniu na świt. Ale nie dzisiaj.

Matka Tegan wie, że Tegan spędzi noc poza domem, ale jest przekonana, że zostaniemy tutaj, pod czujnym okiem Rachel. Wyłączając radio, cieszę się, że Rachel pracuje do późna w Agencji. Nie pochwaliliby tego, co robimy. Impreza odbywa się w domu przy murze.

- Będzie niezła zabawa - mówi Tegan.

- Skąd w ogóle się o niej dowiedziałeś? - pytam, chwytając skórzaną kurtkę z sofy, i wkładam ją. Najbardziej lubię w niej futrzany kołnierz, który ogrzewa mi szyję. Dzięki niemu czuję się bezpieczna. Moje czarne włosy kręcą się zawadiacko, opadając na ramiona. Postanawiam, że nie będę ich ugładzać. Dziś wieczorem chcę być dzika jak moje włosy.

- No, wiesz - mówi wymijająco. - Kumpel kumpla, który zna chłopaka...

Tegan zna wielu chłopaków. Wszyscy chcą znać ją. Jest drobna, ma krótkie blond włosy, które okalają jej twarz elfa i podkreślają niesamowite zielone oczy.

Zatrzymuję się w drzwiach.

- Chodzą do naszej szkoły?

- Nie. Do tej po drugiej stronie miasta. A jakie to ma znaczenie? W głowie uruchamia mi się alarm.

- Co o nich wiesz?

- Są wampirami - mówi sarkastycznie, niezbyt zadowolona, że o to pytam.

- To nie jest śmieszne.

- A jak myślisz? Wpadłaś w paranoję, odkąd... Przerywa, wygląda na zmieszana. Wiem, co zamierzała powiedzieć. Odkąd zabito moich rodziców.

- Nie mam paranoi. Po prostu jestem ostrożna.

- Są w porządku. - Wzrusza ramionami. - Ja idę. Jak chcesz, to bądź tchórzem i tu siedź.

Otwiera drzwi. Nie mogę puścić jej samej. Nie. To zwykła wymówka, marne usprawiedliwienie. Prawda jest taka, że chcę iść.

- Zaczekaj. - Chwytam jeden z wielu metalowych kołków, stojących w ceramicznym wazonie niczym złowrogi bukiet kwiatów, i wsuwam go sobie do skórzanego, wysokiego buta. Po zachodzie słońca nigdy nie wychodzę bez niego z domu.

Zamykam za sobą drzwi i przekręcam klucz w zamku. Tegan bierze mnie pod rękę i równym krokiem idziemy do windy.

- Będziemy się świetnie bawić - zapewnia mnie. Staram się w to wierzyć. Chcę wierzyć. Ostatnia beztroska noc, zanim zmierzę się z moim przeznaczeniem.

Tych kilka miast, które zostały na świecie, kontroluje patriarcha Starego Rodu lub zaufany członek jego rodziny. Lord Valentine jest jednym z najstarszych. Był pierwszym, który ujawnił obecność wampirów. Chociaż upłynęło już prawie piętnaście lat, odkąd z mitu zamienili się w rzeczywistość, podręczniki historii nie wyjaśniają, jak do tego doszło. Popularność zyskali z dnia na dzień. Od wieczornych talk-show po najmniej liczących się papa-

razzi, wszyscy chcieli informacji. Pytaniem numer jeden nie było to, ilu ludzi zabili, czy nawet to, ile wampirów jest na świecie. Pytano o modę, podróże i jak postrzegają ludzi. Wampiry były wśród nas, a my chcieliśmy wiedzieć jedynie, co myślą na nasz temat. Byliśmy egocentryczni i nieświadomi, żądni rozrywki. Ale teraz wcale nie jest nam za wesoło.

Właściwie rozumiem, dlaczego byliśmy tacy naiwni. Mimo wszystko wydawało się, że wampiry niewiele się od nas różnią: mają serce, oddychają, mają ciepłą skórę. Ale podobieństwa służyły tylko temu, żebyśmy nie zauważyli drzemiących w nich potworów, aż było za późno.

Tegan i ja kierujemy się do najbliższego przystanku tramwajowego. Odkąd wojna dobiegła końca, jedynym przyzwoitym środkiem transportu w tym mieście są tramwaje. Przywiązane do torów i linii elektrycznych, z których strzelają iskry, wiozą ludzi do miejsca przeznaczenia. Zawsze na czas. Zawsze skuteczne. Dziś jest tłok i musimy stać.

Tegan stoi tak blisko drzwi, że wystaje jej noga, a ona dla zabawy co parę minut dotyka nią ziemi, aż konduktor krzyczy, żeby przestała.

Nie ma zbyt wielu samochodów. Ludziom pozostaje przemieszczanie się piechotą albo tramwajami, które są jak życiodajna krew miasta. One są krwią, a sercem - Works. Niezależnie od tego, ile razy ją mijam, zawsze jestem pod wrażeniem przestrzennej bryły ze stalowych rur wzbijających się ku niebu; jedynie garstka innych budynków dorównuje jej wysokością. W górę nieustannie unoszą się

smugi niebieskiego dymu z palonego węgla, który zasila potężny generator dostarczający elektryczność. Wystarczy potrzeć dowolny mur w mieście, a palec stanie się kruczoczarny. Im bliżej Works, tym więcej prądu i tym bardziej regularne dostawy. Teren przy murze, w kierunku którego się udajemy, zмага się z codziennymi przerwami w dostawie prądu.

Oddaliśmy się od centrum miasta. Mury po drodze pooklejane są plakatami propagandowymi Agencji, które mają zachęcić ludzi do oddawania krwi.

Rurka odchodząca od ręki do szklanego kubka: „Oddałeś już dzisiaj swoją porcję?”

Nierealistyczny obraz kobiety oddającej krew, kiedy tuli córkę do snu: „Dbaj, żeby były najedzone, by twoje dzieci mogły spać spokojnie”.

Weteran wojenny na wózku: „Oni oddali krew, teraz ty oddaj swoją”.

Spełniając warunek Traktatu Wamp-Lu, którym zakończyła się wojna, ludzie w miastach dostarczają krew wampirom żyjącym poza ich murami. W zamian za to wampiry nie atakują miast. Oddawanie krwi jest dobrowolne; nikt nie jest do tego zmuszony. Z początku ludzie, mający w głowie świeże wspomnienia wojennych tragedii, byli tak przerażeni wampirami, że biegli do najbliższej stacji krwiodawstwa w nadziei, że ich nowi przywódcy -wampiry - będą grubi i zadowoleni. Ale po kilku latach ludzie mają mnóstwo wymówek: jestem bardzo zajęty, muszę gotować obiad, muszę odrabiać lekcje. Zakładają, że zrobi to za nich ktoś inny. Nasze kiedyś pewne dosta-

wy zaczęły się zmniejszać. Z miesiąca na miesiąc otrzymujemy mniej, a moja rola wysłanniczki staje się coraz większym wyzwaniem.

Słońce nisko na horyzoncie zmieniło miasto z ciemno-pomarańczowego w jasnoniebieskie i ciemnofioletowe, aż w końcu w czarne. Wszyscy wokół nas zaczynają się niespokojnie kręcić, z niedowierzaniem spoglądając na zegarki. Dzwonią do domów, a sygnały odbijają się o jedyną wieżę radiową w środku miasta. Nic mi nie jest, mówią. Później wyszedłem. Wiem. Niedługo będę w domu. Dla niektórych tramwaj jest za wolny, więc wyskakują i po prostu puszczają się pędem. To niebezpieczne, ale dziś jest ochrona: obserwuję Strażnika Nocy wyłaniającego się z zaułka. Łatwo ich zauważyć. Są ubrani na czarno, na głowach mają kominiarki albo kaptury, żeby ukryć tożsamość, i noszą specjalne plakietki, które wyróżniają ich jako oficjalnych elitarnych strażników miasta - kawałek metalu o wzorze tak wyszukany, że niemożliwym do podrobienia. Kiedy po zachodzie słońca większość ludzi chowa się w domach, Strażnicy Nocy wychodzą, żeby polować na dzikie wampiry, które przedostają się za mur, do miasta.

A Michael niedługo zostanie Strażnikiem Nocy...

Staram się nie myśleć o niebezpieczeństwach, jakie będą na niego czyhać. Straciłam rodziców i brata. Mój brat, Brady, miał zaledwie dwadzieścia lat, kiedy zginął. Nie wiem, czy zdołam przeżyć stratę jeszcze jednej bliskiej mi osoby. Odpędzam te myśli. Dzisiejszy wieczór ma być beztroski.

W miarę jak się oddalamy, z ulic znikają nazwy; budynki nie mają oznaczeń. Mija jeszcze dwadzieścia minut jazdy i znajdujemy się przy szeregowych domach i kręcących się przy nich bezdomnych. - To nasz przystanek - oznajmia Tegan. Wyskakujemy, kiedy tramwaj jeszcze powoli jedzie, i idę za nią. Tym, którzy się tu kręcą, może przydarzyć się coś złego. Tak daleko nie dotarły jeszcze wysiłki odbudowy. To część miasta, której dzieciakom nie wolno odwiedzać. Rodzicom wydaje się, że jesteśmy za młodzi, żeby się o siebie zatroszczyć. Ponieważ okolica jest słabo zaludniona, strażnicy nie patrolują tu ulic. Wiem, że jest niebezpiecznie. Ale czasem po prostu chcemy udowodnić, że nie boimy się ciemności. Nawet jeżeli jest inaczej.

Włóczymy się, szukając właściwej ulicy. Przebywanie tak daleko od centrum jest fajne, bo zamiast potężnych wieżowców są tu prawdziwe domy. Pewnie, że stoją na wzruszonych fundamentach i kolejna burza może je zniszczyć, ale są to przecież domy.

- Jest - mówi Tegan.

Budynek, przed którym stoimy, jest lepiej oświetlony niż inne, ale i tak niezbyt obficie. Muzyka sączy się na ulicę. Przez okna widzę ciemne postacie chłopaków i dziewczyn, którzy dobrze się bawią. W drzwiach wielki bramkarz, metr dziewięćdziesiąt pięć, zbudowany jak posąg, wyciąga rękę, żeby zagrozić nam drogę. Z łańcuchów, które ma na szyi, zwisa kilka krzyży, chociaż dawno temu dowiedziono, że w walce z wampirami są nieskuteczne. Widziałam nawet wampiry, które je nosiły.

- Kontrola kłów - mówi, a Tegan posyła mu szeroki uśmiech.

Unosi jej wargę, przygląda się jej zębom i kiwa, żeby weszła do środka.

- Kontrola kłów - mówi do mnie, a ja przechodzę tę samą procedurę. Jego pulchne palce wydają się szorstkie na moich wargach. - Miłej zabawy, panie.

To głupi rytuał. Wampiry mogą schować kły, a wtedy wyglądają zupełnie jak my. Ale widocznie liczy się cokolwiek, dzięki czemu ludzie czują się bezpiecznie...

Muzyka w środku jest ogłuszająca. Pięciu chłopaków i dziewczyna stoją na prowizorycznej scenie ustawionej na środku olbrzymiego salonu. Perkusja. Bas. Gitara. Syntezator. Mikrofon. Mają wszystko. Chłopaki atakują instrumenty, jakby od tego zależało ich życie, ale moją uwagę zwraca dziewczyna. Jest w moim wieku, jedną rękę pokrytą ma hipnotyzującymi tatuażami. Śpiewa w duecie z chłopakiem, ale to jej głos się wybija. Jest chropawy, jakby paliła od urodzenia. Włosy ma niechlujne, sięgające tuż nad brodę.

Jest tym, kim chcę być ja. Chcę być nią. Chcę móc robić wszystko, na co mam ochotę, a nie to, do czego mnie zmuszają. Nie chcę musieć nosić określonych rzeczy albo mieć włosy określonej długości tylko dlatego, że lord Wampir tego wymaga. Chcę nie mieć obowiązków. Ani zmartwień.

Tegan chwytam mnie za rękę i ciągnie przez tłum. W kuchni starszy chłopak rozdaje piwo w małych kubkach. Nie smakuje najlepiej, ale je wypijam, potem chwytam kolejne i też wypijam. Chcę, żeby szumiało mi w głowie, żeby tylko moje myśli oderwały się od niebezpieczeństw, przed którymi stanę jutro wieczorem. Nikt tutaj się nie przejmuję, że mamy dopiero siedemnaście



lat. To jeden z powodów, dla których Tegan wybrała tę imprezę. Kolejnym jest to, że nikt nas nie zna. Dla kogoś takiego jak ja anonimowość jest rzadkością.

- Skąd jesteście? - pyta nas chłopak. Jest wysoki, ma zmierzwione blond włosy. Sądząc po uśmiechu, jaki posyła mu Tegan, jej zdaniem jest fajny, ale to niezupełnie mój typ.

- Z miasta - odpowiada, mając na myśli centrum. Bardzo bezpieczne, niedawno odbudowane centrum.

- Dwie grzeczne dziewczynki, co? - Chłopak się śmieje.

- Nie tak zupełnie grzeczne. - Puszczą mu oko, a on się uśmiecha.

- Byłyście już kiedyś tak blisko muru?

- Nie, i strasznie się boimy - mówi Tegan, przysuwając się do mnie, i udaje, że przebiega ją dreszcz.

- Nie martwcie się, obronię was. - Podnosi prawą nogawkę spodni, żeby pokazać drewniany kołek przywiązany do kostki.

Tegan wygląda, jakby była pod wrażeniem, ale ona też taki ma. I, podobnie jak ja, wie, jak się nim posługiwać. Żadna z nas nie chce polegać na kimś innym, jeśli chodzi o obronę.

Chłopak spogląda na mnie i nagle lekko kiwa głową.

- Niezły atrament.

- Dzięki. - Wiem, że chodzi mu o krzyże wytatuowane na szyi.

Jeden z każdej strony, dokładnie tam, gdzie skierowałyby się kły wampira. Mój brat też takie miał. Ale za bardzo mu nie pomogły.

Mówię sobie, że to nie pora

na takie rozmyślenia. Koszmary dręczą mnie we śnie; nie mogę pozwolić, żeby psuły też chwile na jawie.

- Pierwsza klasa - chwali, podając każdej z nas kubek. - Może wam lepiej posmakuje. Pewnie przywykłyście do eleganckich drinków ze śródmieścia, nie do popłuczyn.

Bierzemy je. Tegan, jakby chciała coś udowodnić, wypija zawartość jednym haustem.

- Niesamowity. Mogłabym wypić jeszcze jeden.

- Jasne - potakuje, a potem zatrzymuje i przygląda się mnie, z nietkniętym drinkiem w ręce. - Ej, wyglądasz znajomo.

Serce mi podskakuje, obija się o żebra. Będę w tarapatkach, jak mnie rozpozna. Moją twarz pokazywali ostatnio we wszystkich wiadomościach i gazetach. Na szczęście było to oficjalne zdjęcie wysłannika - półprofil, z upiętymi włosami i takim makijażem, żebym wyglądała na starszą; miałam też bluzkę z wysokim kołnierzem, który zakrywał tatuaże, i ciemną marynarkę.

- Twarz, jakich wiele.

Wydaje mi się, że Tegan wyczuwa moje zdenerwowanie, bo popycha mnie w stronę drzwi.

- Może zobaczymy się na parkiecie - mówi do Rozczochanego.

Chwyta mnie za rękę i wyciąga z kuchni, nie dając mi szansy, bym spróbowała tego świetnego drinka, więc wrzucam pełny kubek do otwartego kosza na śmieci. Już sam taniec sprawia mi trudność, a co dopiero picie, gdybym miała kołysać się do rytmu - mowy nie ma.

- Nie martw się. Nikt się nie domyśli - szepcze mi do ucha Tegan.
- Mam nadzieję, że masz rację.
- Ja zawsze mam rację.

W salonie ciągnie mnie na parkiet, już kołysząc biodrami, łapiąc rytm. Nagle uśmiecha się promiennie, bo podchodzi do nas dwóch chłopaków. To dla niej tak proste. Rozgrywa się krótka gra, każdy walczy o lepszą zdobycz, zastanawiając się, czy chce mnie, czy ją.

Tegan szepcze im coś do ucha, a potem wrzeszczy do mnie, przekrzykując muzykę.

- To jest Chris. - Wskazuje chłopaka z płomiennie rudymi włosami i całą twarzą skropioną piegami. -1 Marc. -Czarne włosy opadają mu na czoło, niemal zakrywając oczy. - Wybierz sobie któregoś. Jakby byli nagrodą dla posiadacza szczęśliwego losu.

Tak szybko wypiąłam piwo, że mam wrażenie, że wszystko powoli się porusza. Nie chcę podejmować żadnej decyzji. Dzisiejszy wieczór miał być beztroski. I taki właśnie jest. Nim zdążę coś powiedzieć, Tegan odchodzi z Chrisem, a Marc chwyta mnie za rękę i ciągnie w tłum. Po chwili wypuszcza mnie z uścisku i zaczyna wirować. Mówię sobie, że tego potrzebuję. Trochę zabawy, trochę szaleństwa.' Każdy szuka rozrywki, bo nic już nie jest proste. Może nigdy nie było.

Muzyka dudni, zmieniają się piosenki, a my po prostu tańczymy. Poruszam głową na boki, pozwalając, żeby moje długie włosy powiewały do przodu i do tyłu. Zapominam o moich obowiązkach. Zapominam o tym, co

mnie czeka jutro wieczorem. Zapominam o wszystkim oprócz rytmu.

Jedna piosenka przechodzi w kolejną. Zatracam się w chwili, a Tegan znika mi z oczu. Nie martwi mnie to, dopóki nie uświadamiam sobie, że odkąd ją widziałam, minęło kilka piosenek. Ciało mam spocone od tańca, tłum mnie dusi i nagle czuję się, jakby zza tej ściany ciał nie było ucieczki. Potrzebuję powietrza. Potrzebuję przestrzeni. Potrzebuję Tegan.

- Zaraz wracam! - krzyczę Marcowi do ucha. Ale jego to nie obchodzi. Po prostu się odwraca i zaczyna tańczyć z kimś innym. Przedzierając się przez gąszcz tańczących, okrążam pokój. Tegan nigdzie nie widać. Wracam do kuchni. Nie ma jej przy barku z piwem, nie ma też chłopaka, który wcześniej z nami rozmawiał. Intuicja ostrzega mnie, że coś jest nie tak, a ja zawsze jej słucham. Wracam do salonu i słyszę poruszenie na schodach prowadzących na piętro. Szybko zaczynam wchodzić na górę, przeciskając się obok pary przywierającej do siebie ustami. Dostrzegam lśniąco złote buty Tegan. Widzę, jak się siłuje, żeby wejść po schodach. Pomaga jej chłopak ze zmierzwionymi blond włosami. Ten, który podawał nam „specjalne drinki”. Fragmenty układają się w całość, kiedy Tegan zaczyna śmiać się jak opętana i mieć kłopoty z utrzymaniem się na nogach. Jej wyjątkowy drink był okraszony czymś, co miało ją... zmiękczyć. Nie wszystkie potwory mają kły.

Chłopak nie przestaje ciągnąć jej na górę, szepcząc jej coś do ucha, a mnie ogarnia wściekłość. Wbiegam pędem po schodach i odpycham go z całych sił.

Upada na podłogę.

- Ej, suko!

Zrywa się znów na nogi, usiłując onieśmielić mnie spojrzeniem, ale nie jestem w nastroju, żeby dać się zawstydzić. Tegan obejmuje ręką tralkę, która pomaga jej utrzymać się na nogach.

- Dawn? - Język jej się płacze. - Miałam... zagrać z... hm... Jak masz na imię?

Wygląda na zdezorientowaną, oczy ma zamglone, głowa jej się kiwa, jakby była za ciężka.

- Chodź, Tegan, idziemy. - Zaciskam dłoń na jej ręce. Chłopak sięga po kołek, ale ja jestem szybsza. Mój już celuje w jego pierś, zanim on zdąży choćby dotknąć swojego. - Tak samo dobrze działa na ludzi - ostrzegam.

Jego oczy otwierają się szeroko. Unosi dłonie, grzbietem do góry.

- Już wiem, kim jesteś - mówi głosem, w którym słychać odrazę. -

Dawn Montgomery. Nowa wysłanniczka.

- Więc wiesz również, że w ciągu pięciu minut mogę tu ściągnąć Agencję i jest po tobie. Ale chcę tylko wyjść z przyjaciółką.

- Jasne. Idźcie. Tylko nie wracajcie.

- Po co miałabym chcieć wracać?

Szybko podnoszę Tegan z podłogi i zarzucam sobie jej rękę na ramiona, przytrzymując ją w pasie. Ostrożnie sprowadzam ją po schodach. Posyłam Rozczochnemu

ostatnie spojrzenie i widzę w jego oczach złość, ale wiem, że z pewnością nie dorównuje mojej.

- Dupek! - rzucam do niego.

- Tak miał na imię? - mruczy Tegan.

- Tak. - Łokciem toruję sobie drogę przez podrygujący tłum.

Ciężko jest utrzymać się na nogach. Tegan ciągnie mnie w dół.

- Nie możesz jeszcze spać - mówię. Wyprowadzam ją na zewnątrz z nadzieją, że świeże

powietrze przywróci jej trzeźwość umysłu.

- Nic jej nie jest? - pyta bramkarz przed kontrolą kłów kolejnego imprezowicza.

- Nie wiem - odpowiadam.

- No, nie wprowadzaj jej z powrotem. Ostatnie, czego nam trzeba, to naćpana dziewczyna na parkiecie.

- Ktoś doprawił jej drinka!

- Nieważne...

Tacy właśnie są ludzie w tym mieście: nikogo nic nie obchodzi.

Zawsze tak było? Jeżeli tak, to o co walczyliśmy podczas wojny?

- Idziemy już do domu? - pyta Tegan.

- Tak, tylko się trzymaj.

Kiedy przedzieramy się przez tłum ludzi zmierzających w stronę drzwi, wiatr owiewa nasze spocone ciała, chłodząc nas. Powietrze jest tu brudne, ale przynajmniej go nie brakuje, można spokojnie oddychać. Trzymając mocno Tegan, idę popękany chodnikiem, aż impreza staje się ledwie szeptem, później pomrukiem i w końcu zupełnie niczym. Odwracam się i nawet nie widzę świa-

teł. Kiedy byłam w środku, miałam wrażenie, że tę muzykę słycać w całym mieście. Ale nie, ledwie dociera do końca ulicy. Opuszczam Tegan na ławkę przy torach tramwajowych i opadam obok niej. Opiera głowę na moim ramieniu.

- Nie czuję się za dobrze - mamrocze.

- Wytrzymaj, aż dojedziemy do mnie, wyśpisz się i ci przejdzie. -

A może powinnam zabrać ją do szpitala? Oddycha, ale jest tak apatyczna, że martwię się coraz bardziej. Wsuwam kołek z powrotem do buta i wyjmuję telefon, żeby zadzwonić do Michaela. Albo nawet do Rachel. Ale nie ma zasięgu.

Cholera. Mamy tylko jedną jedyną wieżę, więc telefony rzadko działają, tym bardziej tak daleko od śródmieścia. Myślę, żeby odejść kawałek i poszukać sygnału, ale nie chcę zostawiać Tegan samej. Tramwaj powinien niedługo przyjechać. Zawiezie nas do centrum, a stamtąd złapiemy inny na pogotowie.

Latarnia nade mną migocze i modlę się, żeby nie zgasła. Zaczyna do mnie docierać, jakie samotne tu jesteśmy. W pobliżu nie ma żywego ducha, wszystkie sklepy pozamykane albo porzucone. W paru szeregowcach, które nas otaczają, jest ciemno - rodziny śpią albo nie ma ich w domu.

Powstrzymuję ziewnięcie. Chcę tylko położyć się na ławce i zasnąć. Wypijanie dwóch piw było złym pomysłem.

Przyjeżdżanie z Tegan do tej części miasta - jeszcze gorszym. Co my sobie wyobrażałyśmy? Że zostaniemy na

impresie do wschodu słońca? Że nie złapią nas samych na ulicy, nocą, kiedy potwory wychodzą się zabawić?

Włoski na karku mi się zjeżyły, odwróciłam się, sięgając po kołek, ale nikogo nie było. Nie mogło być, tylko ściana ze zniszczonym plakatem Agencji, proszącym

o datki krwi, i zamalowanym graffiti: „W dupie z tym!”

i „Dość krwi!”, i „Kołki zamiast krwi!” Do łagodnego uśmiechu

kobiety domalowano kły i kołek przebijający jej pierś. Nie

wszyscy doceniają to, co robi Agencja. Rozglądając się po tej

zniszczonej części miasta, dochodzę do wniosku, że nie mogę ich winić.

Dzyń, dzyń, dzyń.

Odwracam się z ulgą, kiedy podjeżdża do nas tramwaj. Zarzucam sobie rękę Tegan na szyję i podnoszę ją, a ona protestuje ledwie słyszalnym głosem. Tramwaj się zatrzymuje. Ciągnę ją do tylnych drzwi i siłuję się, żeby wciągnąć ją do środka. Pcham ją na tylne siedzenie. Tramwaj rusza z szarpnięciem. Tracę równowagę i opadam obok niej.

Prostuję się i rozglądam dookoła. Maszynista się na nas nie

ogłada, wpatruje się przed siebie w tory, jakby mogły nagle

spróbować uciec, a on musiałby je złapać. W tramwaju siedzi

trzech chłopaków z pochylonymi głowami -najwyraźniej śpią.

Pewnie włóczęgi, które liczą na to, że przejadą całą trasę, zanim

ktos ich wyrzuci. Bezpieczniej jest spać w tramwaju niż na ulicy.

Przejeżdżamy przez okolicę z całkowicie wyłączonym

oświetleniem, a chmury zasłaniają księżyc i czujemy się tak,

jakbyśmy jechały przez tunel.

Kiedy wylaniamy się w lepiej oświetlonej dzielnicy, mam

wrażenie, że jeden z mężczyzn jest bliżej mnie. To na pewno tylko

moja wyobraźnia. A może po piwie mam kłopoty z percepcją.

Cały wagon wydaje się mniejszy.



Podnoszę kołnierz kurtki i wciskam się głębiej w siedzenie. Trącam Tegan. Ma zamknięte oczy i głowę przechyloną na bok. Wygląda jak szmaciana lalka, zupełnie rozluźniona. Zbyt rozluźniona.

Znów ją trącam.

Tegan?

Nie reaguje. Staram się nie wpadać w panikę. Może teraz złapię zasięg. Sięgam do kieszeni po telefon, kiedy przejeżdżamy pomiędzy dwoma wysokimi magazynami. Przejazd jest tak wąski, że wydaje się, że kiedyś był to jeden budynek, ale położono tory, które przecięły go na dwoje. Jedyne światło dochodzi z rzędu żarówek wiszących na pojedynczej linii, ciągnącej się od ściany do ściany jak światła na festyn zawieszzone w ostatniej chwili. Zwalniamy. Pamiętam, że na końcu znajduje się ostry zakręt. Maszynista widocznie się do niego przygotowuje.

Ale potem się zatrzymujemy. Trzej mężczyźni w jednej chwili podrywają głowy, nagle czujni, odwracają się i patrzą prosto na mnie. Zaczynam krzyczeć do maszynisty, żeby ruszył, ale kiedy na niego patrzę, on odwraca powoli głowę, aż zaczynam myśleć, że obróci ją o pełne sto osiemdziesiąt stopni. Jak na komendę, wszyscy się uśmiechają. Ich wielkie kły błyszczą od śliny.

Wampiry!

### 3

Instynkt samozachowawczy nakazuje mi wiać stąd, co sił w nogach, ale nie mogę zostawić Tegan. Żywiliby się nią przez parę dni, może tygodni, aż w końcu daliby jej umrzeć albo, co gorsza, zamieniliby ją w potwora jak oni. Nie mogę jej stracić - straciłam już rodziców i Brady'ego. Wolałabym zaryzykować życie, żeby ją chronić, niż dodać kolejne wspomnienie do tych, które mnie prześladują. Podnoszę się szybko i staję przed przyjaciółką. Ale zanim zdążę wyjąć kolek, jeden z nich chwyta mnie za ramię i popycha na tył tramwaju. Widzę, jak Tegan osuwa się na ziemię, jakby jej mięśnie i kości zamieniły się w galaretkę. Muszę wierzyć, że pod ławką jest bezpieczniejsza, kiedy cała ich uwaga skupiona jest na mnie. Jeden z wampirów rzuca się do ataku, ale kopię go tak mocno, że uderza w jedno z okienek, które rozbija się na kawałki.

Czuję dopływ adrenaliny. Bez względu na to, co się stanie za chwilę, wszystko będzie mgliste. Nie będę się nawet zastanawiać. Tylko działać. Niech górę wezmą moje

wyszkolenie i instynkt. Tylko tak mogę wyjść z tego żywa. Jeżeli pozwolę sobie na myślenie, spanikuję.

Wyszarpuję kołek i podnoszę się z ziemi. Nie tracę czasu na ściganie najbliższego. Jeżeli uda mi się zabić jednego, może wystarczy, by odstraszyć pozostałych. Szanse nie przemawiają na moją korzyść i ogarnia mnie pragnienie ucieczki, ale muszę być silna. Jestem jedynym ratunkiem Tegan.

Ich przywódca wyciąga rękę, żeby złapać mnie na szyję, a ja celuję w jego serce. Wykręca się za szybko i kołek jedynie kaleczy mu ramię. Wydaje z siebie przerażający skowyt. Sięga rany, a ja opadam na najbliższe siedzenie i kopię, wyrzucając nogi w górę. Trafiam go pod brodą i odrzucam na ławkę.

Uchylam się przed dwoma wampirami na ziemi. Moim celem jest ten, który klęczy. Sięga pod siedzenie, wbija desperacko paznokcie w Tegan. Gdyby tylko udało mi się zatopić w nim kołek...

Leden z nich kopie mnie pod kolanem i upadam. Podłoga pojawia się zbyt szybko, żebym zdążyła się przygotować. Siłę uderzenia przejmuje czoło, waląc w twardą powierzchnię z hukiem, który niesie się dookoła mnie echem. Cudem nie tracę przytomności. Napastnik chwytam mnie za kostkę i ciągnie po ziemi. Obraca mnie i siada na mnie okrakiem, całym ciężarem opierając się na moich biodrach. Inni zaczynają zbierać się dookoła. Przynajmniej Tegan jest przez chwilę bezpieczna. Chwytam kołek, gotowa dźgnąć wampira, który mnie przygwoździł i teraz pochyla się do mojej szyi. W jego

złowrogich oczach widzę żądzę krwi. Jego brzydka twarz jest drobna i cała w bliznach, a kły ma przerażająco długie.

Otwiera szeroko usta, gotowy się wbić, kiedy jeden z pozostałych wampirów wydaje z siebie mrozący krew w żyłach wrzask.

Widzę tylko, jak znika w tylnych drzwiach. Z zewnątrz dobiega echo kolejnego krzyku. Później ogłuszająca cisza.

Czuję isierkę nadziei. Może nocny patrol przybył nam z pomocą. Ale nie jesteśmy jeszcze bezpieczne.

Wampir zamarł, zbyt rozproszony krzykami towarzysza, może zbyt zmieszany albo przerażony, żeby ze mną skończyć. To moja szansa. Wyobrażam sobie, że nie różni się niczym od marionetek, na których ćwiczę wbijanie kołka na treningach. Wkładając całą siłę, wbijam w niego metalowy kołek. Ale z powodu kąta, nie trafiam w serce. Zeskakuje ze mnie z kołkiem sterczącym z piersi. Wyje z bólu, ale nadal jest zupełnie nieumarły. Co gorsza, zabiera mi moją najlepszą broń. Nadal mam jednak pięści, umiejętności, a co najważniejsze, wolę przeżycia. Wstaję zbyt szybko i ból eksploduje mi w głowie, bezlitośnie przypominając o upadku, który przed chwilą zaliczyłam. Zaczyna mi ciemnieć przed oczami.

Słyszę kolejny krzyk i nagle w wagonie są tylko dwa wampiry. Oba rozproszone, wzrokiem przeszywają siebie nawzajem i drzwi, a ja staram się dostać do Tegan.

Jakoś muszę ją z tego tramwaju wydobyć. Ale moje ciało nie słucha poleceń. Tkwię nieruchomo w jednym miejscu, kiedy wsiada nieznajomy. Jest za ciemno, żeby dostrzec szczegóły, widzę tylko, że jest ubrany na czarno

i stapia się z nocą. Nie ma kominiarki na głowie ani medalionu Strażników Nocy, ale ponieważ odstraszył dwa wampiry, domyślam się, że należy do elity miasta. Może po służbie. Z czystej desperacji wampir atakuje nieznanego, ale przewraca się szybko z kołkiem w piersi. Nie mam teraz czasu dociekać, jak to się stało. Nie mogę zebrać sił, wzrok mam zamglony, obraz przed oczami staje się czarny. Ostatni wampir wyrywa sobie z piersi mój kołek. Zanim zdążę zareagować, rozciąga mnie przed sobą, trzymając kołek przy mojej szyi.

- Nie zbliżaj się - mówi głosem piskliwym ze strachu. - Zabiję ją. Ale nieznanomy robi kolejny krok, a ja czuję, jak koniuszek kołka przyciska mi się do skóry. Może nieznanomy się tym nie przejmuje. Może nie jest rycerzem w lśniącej zbroi.

- Nie żartuję! Zabi... - Ale wampir nie kończy zdania. Nieznajomy jest szybki.

To pewnie skutek uderzenia w głowę, ale obcy zaczyna się prawie rozmywać, gdy przeskakuje po siedzeniach i odciąga ode mnie wampira. Opadam na ziemię. Słyszę odległy krzyk, bulgot. Potem nic.

Chcę spać, ale zmuszam się, żeby otrząsnąć się z zamroczenia. Powoli zaczynam czołgać się do Tegan. Nieznajomy nagle staje nade mną. Podnosi mnie z zadziwiającą siłą. Przez ułamek sekundy mam wrażenie, że trwa to całą wieczność. Jestem zahipnotyzowana jego obecnością. Wygląda na trochę starszego ode mnie. Długie czarne

włosy sięgają mu tuż za mocno zarysowaną szczękę i wydaje się, że jego błękitne oczy jaśnieją w ciemności.

Nagle kręci głową, jakby on też przyłapał się na czymś, czego nie rozumie. Wypuszcza mnie z uścisku i się cofa.

- Chodź - odzywa się spokojnym, poważnym tonem. - Wezmę twoją przyjaciółkę. Pójdziecie za mną. Inni już są w drodze. Mija mnie tak, że nasze ciała się ocierają, co mnie odrobinę peszy. Rejestruję jego silne mięśnie, jego moc. Wyciąga Tegan spod siedzenia i bierze ją na rękę, jakby była dzieckiem. Odwraca się i wysiada z tramwaju. Cały czas jestem w szoku. W myślach i fizycznie się otrząsam. Muszę iść za Tegan. Wyskakuję z tramwaju.

- Kim jesteś? - pytam kategorycznie.

- Później. Tędy - mówi, wyprowadzając nas z wąskiego przejścia na główną ulicę.

Słyszę odgłosy nad nami: tupanie wampirów przeskakujących z budynku na budynek. Ich monstrualnych rozmiarów cienie tańczą przed nami, blisko wiszących świateł.

- Ile ich jest? - pytam.

- Nie wiem - odpowiada. - Ale wszystkim nie dam rady.

Walka, którą niedawno stoczyłam, daje mi się ostatecznie we znaki i się potykam. Upadam na jedno kolano, klnę, wstaję.

Nieznajomy poprawia Tegan, przerzucając ją sobie przez ramię. Chwyta mnie za rękę i zaczynamy biec.

Pędzimy ciemną uliczką, która z pewnością jest bezpieczna tylko dlatego, że prowadzi nas on. Ostry zakręt, potem kolejny i znajdujemy się w głębokich korytarzach miasta. Wysokie ceglane mury jak labirynty skrywają stare uliczki i budynki, które zostały wzniesione przed wojną.

- Tutaj. - Zatrzymuje się przed opuszczonym kinem.

Nieznajomy, z Tegan zwisającą mu przez ramię, wyciąga klucz i otwiera kłódkę. Łańcuch, na którym się trzymała, opada i zwija się na ziemi jak wielki metalowy wąż. Otwiera drzwi i wprowadza mnie do środka. Jest tu ciemno, ale jakie mam wyjście?

Nieznajomy zaryzykował dla nas życie i muszę mu zaufać.

Staje za mną i wręcza mi klucz.

- Przynies łańcuchy i zamknij kłódkę od środka.

Robię, co każe, smugi światła z zewnątrz pozwalają mi działać w ciemnym wejściu. Kiedy się odwracam, on już odchodzi, a upiorną ścieżkę nagle oświetla słabe światło latarki.

- Tutaj jesteśmy bezpieczni - uspokaja mnie.

Wsuwam klucz do kieszeni džinsów i idę za nim korytarzem, a potem wchodzę na górę wąskimi schodami. Otwiera drzwi. Słyszę kliknięcie i małe pomieszczenia zalewa światło. Chłopak kładzie Tegan na składanym łóżku. Dotyka jej czoła i policzków.

Opowiadam mu szybko o imprezie, że ktoś doprawił jej drinka.

- Nic jej nie będzie - mówi. - Pewnie jutro nie będzie nic pamiętać, może i dobrze. Musi to tylko odespać. Jeśli zapewnimy jej spokój, nie ma czym się martwić.

Rozglądam się i widzę, że pomieszczenie znajduje się w niezłym stanie, chociaż kino jest tak stare. Na półkach stoją metalowe kanistry, jakie widzę pierwszy raz. Na ścianach wiszą plakaty, stare i nostalgiczne, oryginały z dawnych czasów. Jakaś dziwna machina, przypominająca gigantyczną kamerę, stoi na stole, wyglądając przez małe okienko w ścianie.

- Gdzie jesteśmy? - pytam.

- W sali projekcyjnej - odpowiada.

- W czym?

- Kiedyś puszczali stąd filmy. - Wskazuje machinę.

- Och. - Nie ma już żadnych kin. Są tylko relikty przeszłości, jak ten. Pewnie z przyjemnością bym się rozejrzała, gdybym tak strasznie się nie trzęsła. Adrenalina opadła i zostawiła mnie z potwornym niepokojem, jakby dopiero teraz docierało do mnie niebezpieczeństwo, na jakie byłam narażona. Cały czas widzę stojącego nade mną wampira, rozciągniętą na ziemi Tegan, siebie bezradną, która nie może nic zrobić. Byłam całkowicie zdana na ich łaskę. Co mi przyszło z całego mojego szkolenia. Kiedy zmierzyłam się z atakiem wampirów w rzeczywistości, byłam całkiem zagubiona.

Czy równie nieporadna okażę się jutro wieczorem, kiedy Valentine będzie mnie sprawdzał? Czy nie zdołam ochronić mieszkańców?

- Trzęsiesz się - mówi. - Masz, to pomoże. - Otwiera małą lodówkę, sięga do środka i rzuca mi puszkę.

Wpatruję się w nią. Gazowane napoje są rzadkością. Są drogie.



- Skąd to masz?

- Znalazłem skrytkę w przechowalni. Jak dobrze po-myszkować, można odkryć różne skarby.

Nie wyglądał na takiego, co myszkuje. Jego czarne dzinsy i sweter nie są postrzępione ani znoszone. Jest zbyt pewny siebie. Próbuję mu ufać. Nie dał mi żadnego powodu, żeby mu nie ufać, ale mimo wszystko...

Otrząsam się. Tegan ma rację. Odkąd zabito moich rodziców, mam skłonności do popadania w paranoję.

- Przepraszam, ale nie wiem nawet, jak się nazywasz.

- Victor. Wypij to. - Jakby chciał dodać mi odwagi, otwiera puszkę sobie. Słyszę syk uchodzącego dwutlenku węgla. Przyglądam się, jak mięśnie jego szyi pracują, kiedy bierze duży łyk.

To mi przypomina, że moja szyja - i szyja Tegan - są dzięki niemu bez śladu kłów.

- Dzięki, Victor. Jestem ci dłużna. Nie wyobrażam sobie, co by się stało, gdyby nie ty.

- Owszem, wyobrażasz sobie. W końcu jesteś Dawn Montgomery. Serce podskakuje mi w piersi.

- To dlatego mnie uratowałeś? Że jestem wysłannicz-ką miasta?

- Nie byłem pewny do chwili, kiedy zobaczyłem cię w świetle - mówi Victor. - Wiedziałem tylko, że dwie dziewczyny są w niebezpieczeństwie i zacząłem działać. Proste.

- Nie takie proste. Byłeś naprawdę niezły. Jesteś Strażnikiem Nocy?

- Nie w tym życiu. Jestem po prostu chłopakiem, który znalazł się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie.

Jasne, akurat. Strażnicy Nocy są z zasady dyskretni. Nie przechwalają się. Nie wymieniają się opowieściami. Istnieje niebezpieczeństwo, że jak się wygadają, wampiry spróbują ich wyeliminować. Albo lord Valentine poprosi o spotkanie z nimi. Nie pochwała tej elitarnej grupy łowców wampirów, obawiając się, że jeżeli ich liczba się powiększy, mogą go zdetronizować.

- Cóż, kimkolwiek jesteś, jeszcze raz dzięki.

Victor po prostu wzrusza ramionami i skinieniem głowy wskazuje moją puszkę, nadal zamkniętą. Pociągam wieczko, słyszę syk i piję. Napój jest pyszny! Cukier krzepi mój organizm. Chyba nie powinien, a jednak mnie uspokaja. Nie uświadamiałam sobie, jaka byłam roztrzęsiona. Nie ma co się dziwić, niewiele brakowało, żebym została wieczorną przekąską.

Victor przysuwa dwa krzesła do łóżka. Opadam na jedno, a on na drugie.

- Agencja mnie zabije - mówię.

- Nie muszą się dowiedzieć - odpowiada. - Odprowadzę cię do domu, jak tylko znów zrobi się bezpiecznie.

- Wampiry ścigały nas całą drogę aż tutaj?

- Chyba udało nam się je zmylić, jak weszliśmy w boczne uliczki.

Ostatnio robią się coraz bardziej zdesperowane. Kiedyś na ulicach grasował jeden, może dwa. Teraz chodzą całymi bandami i robią się coraz odważniejsze.

- Porozmawiam o tym jutro z lordem Valentine'em -stwierdzam po raz pierwszy, odkąd zostałam wysłanniczką, czując, jak rozpiera mnie duma. Może po prostu staram się zaimponować Victorowi po żalosnej porażce w tramwaju.

- Słyszałem, że Valentine jest trudny w kontaktach -mówi.

- Jest... onieśmielający. I sprytny. Nie ufam mu. Jutro wieczorem po raz pierwszy zmierzę się z nim sama. To dlatego poszłam na tę głupią imprezę. Chciałam trochę się zabawić i zapomnieć na chwilę o całej odpowiedzialności.

- Nie jestem pewien, czy zgadzam się z tobą co do wyboru miejsca. - Posyła mi ostrożny uśmiech, a ja czuję, jak pod wpływem zawstydzenia ogrzewają mi się policzki.

- Tak, to było raczej głupie. Tylko... nie wiem. Czasami po prostu chciałabym, żeby wszystko było inaczej.

- Chyba nie możesz się obwiniać. Kiedy podpisywali Traktat Wamp-Lu, nikt się nie spodziewał, że wampiry do tego stopnia przejmą panowanie.

Wzruszam ramionami. Traktat Wampiry-Ludzie uwięził nas w tych miastach, narzucił nam kwarantannę. Przeczytałam ten dokument, całe sześćset stron. Nauczyłam się na pamięć najważniejszych ustaw; preambułę mogę wyrecytować z pamięci. Po części - taka praca. Po części - dziedzictwo, jakie zostawił mi ojciec. Był historykiem wampirów, pionierem w bardzo młodej dziedzinie. Dało mu to nieprzeciętne zrozumienie wampirów, dzięki któremu w czasie wojny stał się wybitnym oficerem wywiadu i kluczową postacią w trakcie negocjacji pokojowych potem. Napisał nawet fragmenty traktatu. Nasze nazwisko,

Montgomery, stało się powszechnie znane. Na dobre i na złe. To pewnie z jego powodu Valentine w końcu poprosił go na wysłannika.

- Wygrali - tyle tylko mogę w tej chwili powiedzieć.

- Nie jestem pewien. Tyłu głoduje z braku krwi. - Pokręcił głową. - Przepraszam. Nienawidzę polityki. Wydaje mi się, że musi być jakiś lepszy sposób, żebyśmy wszyscy żyli razem. Chyba po to jesteś potrzebna ty. Nie chce mi się wierzyć, że wybrali kogoś tak młodego na wysłannika.

- Nikt nie może uwierzyć, a jednak Valentine poprosił mnie. A on dostaje, czego chce.

- Brutalna prawda.

- Właśnie. Ale przynajmniej idę śladami rodziców.

- Przykro mi, że zginęli.

To dziwne. Chociaż całe miasto wie, że moi rodzice zostali zamordowani, większość ludzi o tym nie wspomina. I prawdę mówiąc, tak jest lepiej. To zdecydowanie lepsze niż mechaniczne kondolencje od ludzi, których ledwie znam, a którzy czują się w obowiązku coś powiedzieć. Ale co do Victora nie mam wątpliwości, że mówi szczerze. To otwiera ranę, którą rozpaczliwie staram się kontrolować. Łzy napływają mi do oczu. Mam wrażenie, że przytłacza mnie ta cała potworna noc.

- Możemy pogadać o czymś innym? Na przykład o tobie. Kim jesteś?

Pochyliła się. Jest na tyle blisko, że widzę jego oczy, które naprawdę są w dwóch odcieniach błękitu - jaśniejszy z ciemniejszą otoczką, jak powierzchnia oceanu ustępująca głębi.

- Może uderzyłaś się mocniej, niż myślałem, i masz wstrząs mózgu? Już odpowiadałem na to pytanie.

- Nie, powiedziałeś, jak masz na imię. Nie powiedziałeś mi, kim jesteś. Mieszkasz tu? Czy przyprowadzasz tu tylko zestresowane panny, które uratowałeś? Wiem, że nie chodzisz do mojej szkoły. - Zauważyłabym go. Każda dziewczyna by go zauważyła. Czuję się winna z powodu tej myśli. Mam Michaela. Nie powinnam zwracać uwagi na innych chłopaków.

- Od dawna już nie chodzę do szkoły - mówi Victor. Wagary to ogromny problem w mieście, ale on wydaje się na to za mądry.

- Więc czym się zajmujesz? - pytam.

- Czekam, żeby odziedziczyć rodzinny interes.

- To znaczy?

Tegan jęczy. Oglądam się na nią. Mruga, potem znowu zamyka oczy. Podchodzę do łóżka i dotykam jej czoła. Jest wilgotne. Tegan znów jęczy.

- Na pewno nic jej nie jest? Podchodzi do nóg łóżka i przygląda się jej.

- Raczej nie.

Odwracam gwałtownie głowę i wpatruję się w niego.

- Raczej?

- Nie jestem lekarzem. Daj jej się napić. Sprawdzę, jak jest na zewnątrz, czy jest bezpiecznie, żebym odprowadził was do domu.

- Okej, to chyba dobry pomysł.

Wsuwam rękę pod plecy Tegan, unoszę ją i przysuwam jej puszkę do ust. Jest strasznie blada. Żałuję teraz, że

nie kopnęłam Rozczochanego mocniej. Jestem zaskoczona, kiedy naprawdę bierze kilka łyków napoju. Oblizuje wargi, a ja daję jej jeszcze. Wierci się, zмага, żeby utrzymać powieki. Ale kolejny raz przegrywa walkę. Stwierdzam, że muszę zadzwonić do Rachel. Chociaż przypłacę to jej lodowatym spojrzeniem, kogoś po nas wyśle. Sięgam po komórkę tylko po to, by się przekonać, że nie mam jej w kieszeni

- Cholera.

- Co się stało? - Victor stoi w progu. Nie widziałam, żeby wracał. Staram się nie przejmować tym, że potrafi się tak zakradać; to w końcu zaleta Strażnika Nocy.

- Chyba w tramwaju wypadła mi komórka. Chciałam zadzwonić do mojej opiekunki i poprosić, żeby kogoś po nas przysłała.

- Wolałbym, żebyś nikomu nie mówiła o tym miejscu. Ani o mnie. To tylko... skomplikuje sytuację. Dobrze?

- Jesteś Strażnikiem Nocy, prawda?

- Moja anonimowość, ta kryjówka... są ważne.

Przez chwilę mierzę go wzrokiem. Poznałam prawdziwego Strażnika Nocy. Jestem tego pewna. Nie wiem, dlaczego nie nosi kaptura, żeby ukryć tożsamość, ani medalionu, ale może zdarł mu je wampir podczas walki. Jego umiejętności, tajemniczość, pragnienie anonimowości są typowymi cechami tych, którzy strzegą nocy. Nagle dociera do mnie, że to bez znaczenia, że nie mam pewności, kim jest. Liczy się tylko to, że nas uratował.

- Twój sekret jest bezpieczny.

Widzę w jego oczach wdzięczność. Wbrew mojej woli przenika mnie lekki dreszcz podniecenia i fala gorąca zalewa moje ciało. Stanowczo przypominam sobie o Michaelu. Czas wracać do domu.

- Są tam wampiry? - pytam.

- Nie, możemy iść. - Bierze Tegan na ręce i znosi ją po schodach. Idę za nim.

Na dole kieruje się w inną stronę niż ta, z której przyszliśmy. Na podłodze rozmieszczone są maleńkie światła. Idziemy jednym korytarzem, potem następnym.

Biodrem podnosi zasuwę i otwiera drzwi.

- Chodź.

Przemykam obok niego i wydostaję się na uliczkę. Kiedy wychodzi, drzwi się za nim zatrzasują.

- Zamykają się automatycznie - wyjaśnia, jakbym pytała.

Wolałabym, żeby nie robiły tyle hałasu. Rozglądam się nerwowo. Wtedy właśnie zauważam samochód. Czarny jak noc. Trudny do wypatrzenia w mroku.

Victor, mijając mnie, zmierza ku niemu szybkim krokiem.

- Otwórz drzwi pasażera, dobrze?

- Żartujesz - mówię, pędząc za nim. - Masz samochód? Czynny?

Po wojnie większość samochodów zamieniła się w nieruchome okazy. Nawet, jeżeli udaje się znaleźć części i utrzymać wóz na chodzie, to benzyna jest towarem luksusowym. Agencja ma wozy, ale paliwo jest reglamentowane, więc rzadko ich używa. Victor albo jest wyjątkowo bogaty, albo samochód zapewnia mu Agencja - w tym

przypadku musi pełnić znaczącą rolę wśród Strażników Nocy. Nie wygląda na wiek, w którym mógłby być sierżantem i mieć pod sobą grupę Strażników Nocy. Ale przecież ja też właściwie nie jestem dość dorosła, by negocjować z władcą wampirów. Po wojnie świat chyba wypadł z osi. Jedyna reguła, jaka istnieje, to reguła przetrwania.

Kiedy się zbliżam, dostrzegam galopującego konia na osłonie i uświadamiam sobie, że to mustang. Michael dałby się za takiego zabić. Zawsze gada o samochodach, choć raczej nigdy nie będzie miał własnego. Otwieram drzwi.

- Przepraszam, ale pewnie będzie lepiej, jak usiądziesz z tyłu - mówi Victor.

- Tak, jasne.

Tłumaczy mi, jak podnieść oparcie fotela z przodu, a ja opadam na tylne siedzenie.

On sadza na miejscu pasażera Tegan i przypina ją pasem. Głowa przechyla jej się na bok. Staram się jak mogę, żeby się o nią nie martwić.

Victor zatrzaskuje drzwi, obchodzi samochód i wsuwa się na siedzenie kierowcy. Uruchamia silnik i rusza. Ulice są puste, a on zręcznie manewruje pomiędzy ruinami. Nie jestem zaskoczona, że tak dobrze prowadzi. Zaczynam nabierać przekonania, że nie ma rzeczy, której by nie umiał.

Kiedy zbliżamy się do śródmieścia, coraz więcej światła rozjaśnia mrok, mijamy parę osób. Nie jestem pewna, czy są odważni, czy - podobnie jak ja - po prostu głupi. Nie mogę uwierzyć, że Tegan i ja byliśmy tak bezmyślne. Ona ziewa, jęczy, przeciąga się.

- Budzi się? - pytam.



- Tak mi się wydaje.

Victor, przyspieszając, przejeżdża ulicę i skręca w boczną uliczkę. Na chwilę toniemy w zupełnej ciemności. Po chwili jesteśmy znowu na słabo oświetlonej jezdni. Kilka minut później Victor zatrzymuje się w mrocznej okolicy. Widzę mój blok. Dobry pomysł, żeby nie parkować w miejscu, w którym mógłby nas zobaczyć portier.

Słyszę poruszenie na przednim siedzeniu. Westchnienie.

- A ty kto jesteś?

Wyciągam rękę za oparcie i ściskam Tegan za ramię, żeby ją uspokoić.

- Wszystko w porządku. Na imprezie wpakowałyśmy się w kłopoty, a on nam pomógł.

- Boże, chyba będę wymiotować. Jak mam stąd wyjść?

Victor wyciąga rękę, naciska klamkę i otwiera drzwi.

Tegan usiłuje się wygramolić, ale więzi ją pas bezpieczeństwa.

Victor go rozpiną, a ona wysiada i człapie dalej, w mrok. Każdej innej nocy byłoby to zabawne.

Victor wysiada z samochodu i pomaga mi wyjść. Wyciąga do mnie rękę, a ja ją chwytam. Jest ciepła i silna. Wyciąga mnie bez wysiłku. Widzę pochyloną Tegan, słyszę, jak się dławi, kiedy wymiotuje.

- Nic jej nie będzie - uspokaja Victor.

- Mam nadzieję. Pewnie powinna była zwymiotować wcześniej. Nie mam z tym doświadczenia.

- Poczekam, aż wejdziecie do środka.

- Dzięki. - Czuję, że powinnam powiedzieć więcej. Nawet go uściskać za to, że nas uratował.

Tegan wraca do nas, człapiąc.

- Boże, to było straszne. - Mruży oczy, patrząc na Victora, i pyta znowu: - A ty kto?

- Victor.

- Przyjaciel - wyjaśniam.

- Chyba ominęła mnie cała historia.

- Niezupełnie. Chodź. Tu nie jest bezpiecznie. - Obejmuję ją w pasie. - Jeszcze raz dzięki, Victor. Jestem twoją dłużniczką.

- Jesteśmy dłużniczkami - poprawia Tegan, wpadając we flirciarski ton. Zdecydowanie czuje się lepiej.

Lekko poirytowana odciągam ją. Właśnie poświęciłam kilka godzin na opiekowanie się nią po tym, jak za bardzo zaprzyjaźniła się z niewłaściwym człowiekiem. A ona zachowuje się, jak gdyby nigdy nic.

W holu portier unosi na nasz widok brew. Posyłam mu słaby uśmiech i kierujemy się do windy. Wsiadamy na dwunastym piętrze; mieszkanie, które obecnie dzielę z Rachel, znajduje się na samym końcu korytarza.

Kiedy już znajdujemy się za drzwiami, ze zdziwieniem stwierdzam, że Rachel nie ma w środku. Jestem zaskoczona i zadowolona. Pewnie zostawiła mi wiadomość w telefonie komórkowym. Nie chcę nawet myśleć o tym, jak wytłumaczę się z tego, że go zgubiłam. Telefony komórkowe są taką rzadkością, że zdobycie nowego może potrwać kilka miesięcy, nawet rok.

Tegan idzie za mną do sypialni i chwyta worek, który ze sobą do mnie przyniosła.

- Zamawiam prysznic pierwsza.

Znika w łazience i zamyka za sobą drzwi. Słyszę lecącą wodę i podchodzę do drzwi, które prowadzą na balkon. Wspaniałą rzeczą w naszym mieszkaniu jest to, że salon i obie sypialnie mają balkon. Wychodzę na zewnątrz i spoglądam w dół na ulicę, gdzie zaparkował Victor. Jego auta nie ma. Odjechał.

Nie bardzo wiem, jak zachowam jego sekret przed moją przyjaciółką. Ale w sumie cała ta noc była tak nierealna, że kiedy obudzę się rano, może dojdę do wniosku, że wszystko to było tylko snem. Że Victora, tramwaju i kina nigdy nie było.

Przypominam sobie o kluczu. Sięgam do kieszeni i zaciskam wokół niego palce. Mam dowód, że dzisiejsza noc wydarzyła się naprawdę. Nagle nachodzi mnie niepokój, bo dociera do mnie coś nieoczekiwanego i pewnego. Nie mówiłam Victorowi, gdzie mieszkam.

Tegan i ja mamy szczęście. Wyjątkowe szczęście. Słońce sączy się przez okno, kiedy Rachel puka do drzwi mojej sypialni. Tegan ledwie się rusza, ale ja siadam i zapraszam Rachel do środka. Jest po dwudziestce, ładna, i jest jedną z niewielu osób, które o wampirach wiedzą więcej niż ja.

- Chciałam tylko sprawdzić, co u ciebie - mówi.

- Dopiero wróciłaś do domu? - A może znowu wychodzi. Brązowe włosy ma spięte. Dwuczęściowa granatowa garsonka na jej drobnym ciele nie tuszuje faktu, że mnóstwo czasu spędza w siłowni. Ma strasznie nudne brązowe oczy, ale mimo to wygląda lepiej, niż mnie kiedykolwiek się udało.

- Tak. - Teraz widzę, jaka jest zmęczona. - Jakies dzieciaki wpadły na pomysł, żeby urządzić imprezę tuż przy murze. Kilkoro zostało uprowadzonych, więc musiałam to sprawdzić.

Ściska mnie w żołądku, z trudem przeląkam ślinę.

- O rany.

- Później ci dokładnie opowiem, żebyś mogła omówić tę sprawę z Valentine'em. Idę się położyć, zanim padnę na twarz.

- Tak, jasne. Cieszę się, że nic ci się nie stało.

- Tak, ja też się cieszę, że nic mi się nie stało. - Posyła mi niepewny uśmiech.

Podchodzi do drzwi, a ja znów opadam na łóżko, zaniepokojona nowinami.

- Chodzi o tę imprezę, na której byliśmy? - szepcze Tegan słabym głosem.

Oglądam się na nią. Chociaż włosy sterczą jej na wszystkie strony, nie wygląda tak, jak można by się spodziewać po nocy, która skończyła się bardzo źle.

- Chyba tak.

- Boże. Miałyśmy szczęście. - Siada, chwytając poduszkę i przytula ją do piersi. - No to opowiedz mi, co się stało w nocy. Pamiętam, że tańczyłam, a potem byłam w samochodzie. Co się stało w tym czasie?

- Nie pamiętasz, pewnie dlatego że ten dupek dosypał ci czegoś do drinka. Złapałam cię, jak wchodziłaś z nim na górę.

- Dosypał mi czegoś do drinka? Mówisz serio? -pyta.

Kiwam głową.

- Mój też był pewnie doprawiony. Tyle że ja nie zdążyłam go wypić.

- Dupek. Przepraszam, Dawn. Miałaś rację, mur jest niebezpieczny.

Miło to słyszeć, ale wolałabym raczej wymazać tę całą noc, niżby ktoś mile lechtał moje ego. Tak myślę. Nie wiem, czy chciałabym zapomnieć o Victorze.

- Dobra, powiedz, co wiesz o tym przystojniaku z samochodu. Był na imprezie?

- Nie, wpadliśmy na niego, jak wyszliśmy. - Ściskam ją za rękę. - Było parę wampirów. Victor nas uratował. - Co prawda obiecałam... Chyba jest Strażnikiem Nocy.

Oczy otwierają jej się szeroko.

- Wiedziałam - mówi, a ja nie czuję wielkich wyrzutów sumienia, że zdradziłam sekret. - Samochód, łażenie po nocy, no i niezły wygląd. Tak myślałam, że musi być Strażnikiem Nocy.

- Nie jestem pewna, czy podczas rekrutacji wymagają niezłego wyglądu. W każdym razie nie możesz nikomu o nim mówić.

- Jasne, że nie. - Uśmiecha się promiennie. - Ale masz jakiś pomysł, gdzie go znaleźć? Żeby mu podziękować.

Akurat. Myśli o nim jako o materiale na chłopaka. Chyba nie mogę jej winić. W końcu ja mam Michaela...

Jęczę.

- Co jest? - pyta Tegan.

- Michael. Zgubiłam telefon. A jak...

Jej telefon zaczyna dzwonić. Wstaje z trudem z łóżka i przeszukuje ciuchy, które miała na sobie wczoraj, aż znajduje go w kieszeni. Spogląda na wyświetlacz.

- O wilku mowa. - Odbiera. - Cześć, Michael. Co tam?

Wstaję z łóżka, podchodzę do niej i wyciągam rękę po telefon.

- Mówi, że próbuje się do ciebie dodzwonić. - Zamaszyście kładzie mi telefon na dłoni. - Proszę, nie mów mu o mnie - dodaje

ściszonym głosem. - Już i tak myśli, że mam na ciebie zły wpływ.

- Przecież bym nie powiedziała. Co by była ze mnie za przyjaciółka? - Przykładam telefon do ucha. - Cześć.

- Dlaczego nie obierasz i nie odpisujesz na SMS-y? - Michael pyta stanowczym głosem. - Wściekłaś się o wczoraj, bo nie miałem czasu, żeby z tobą pójść?

- Nie. - Troszkę. - Zgubiłam telefon.

- Jak?

- Na imprezie. - Kłamstwo. - Długa historia. - Prawda.

Zapada cisza.

- Przepraszam, Dawn - odzywa się w końcu. - Wygląda na to, że ostatnio nie spędzaliśmy razem za dużo czasu...

- Bo nie spędzaliśmy.

- Ale to nie do końca moja wina - tłumaczy się, a ja słyszę w jego głosie irytację.

- Wiem. - Nie tylko on przygotowuje się do przyszłości. Dwa tygodnie po śmierci moich rodziców Agencja zaczęła szkolić mnie do roli wysłanniczki i od tamtej pory trwa to bez przerwy. Nigdy wcześniej nie trafiła im się taka okazja. Mogą ukształtować sobie idealnego agenta od samego początku, kończąc moją edukację na temat wampirów, którą moi rodzice podjęli wiele lat temu.

- Jest niedziela, nie ma lekcji, chcesz się później spotkać? - pyta.

- Tak, jasne. Gdzie?

- W Daylight Grill. Po południu. Żebyś wchłonęła trochę węglowodanów przed spotkaniem z Valentine'em.

Mimo wszystko uśmiecham się. Każdy inny chłopak dałby dziewczynie czekoladę. Ale Michael ma bzika na punkcie zdrowego, silnego ciała.

- Dobra, na razie.

Rozłączam się, rzucam telefon z powrotem do Tegan i opadam na łóżko.

- Nie chcę, żeby Michael dowiedział się, co się stało w nocy.

- Jestem za, bo ja nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział. Byłyśmy takie głupie. Ja tylko... Ja tylko chciałam, żebyśmy przeżyły pamiętną noc przed, no wiesz, dzisiejszym wieczorem.

- Pamiętna była na pewno. - Nagle uświadamiam sobie, co tak naprawdę chciała powiedzieć. Siadam i patrzę jej w twarz.

- Nic mi nie będzie.

- A jak nie? To znaczy, twoi rodzice...

- No i kto ma paranoję? - drocę się.

Posyła mi pozbawiony entuzjazmu uśmiech, a ja widzę, że naprawdę się martwi. Obejmuję ją i przytulam mocno.

- Dziś wieczorem nie wydarzy się nic złego. Przebiega mnie dreszcz. Te same słowa wypowiadała

do mnie matka za każdym razem, kiedy wyruszali do posiadłości Valentine'a.



Daylight Grill znajduje się przy popularnej Day Street. Wzdłuż alei ciągną się olbrzymie latarnie, które rozpraszają w nocy mrok, utrzymując słoneczną atmosferę dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu. W środku ponadwymiary okna wpuszczają światło, ale im dalej od okien, tym ciemniej. Pośród znajdują się wszelkie odcienie szarości, które zapewniają intymność. Michael i ja siedzimy w łóżku i patrzymy na siebie. Czasami nadal trudno mi uwierzyć, że jest moim chłopakiem. Wysoki i postawny, typ szkolnego przystojniaka, w którym podkochują się wszystkie dziewczyny. Nosi koszulki, które podkreślają jego szerokie barki i ukazują imponujące bicepsy. Ale nie tylko jego muskularne ciało, opalone od wielogodzinnych treningów na słońcu, działa na dziewczyny. Oczy ma ciemnobrązowe, nie pochmurne, ale intensywnej, nasyconej barwy. Blond włosy ma krótko przystrzyżone, „w najbardziej funkcjonalny sposób”, jak to opisuje. Biją od niego moc i pewność siebie.

Zupełnie jak od Victora.

Zastanawiam się, czy nie spytać Michaela, czy poznał Victora na treningach. Ale nie chcę się tłumaczyć, jak na niego wpadłam, bo musiałabym obnażyć straszną głupotę moją i Tegan, jaką wykazałyśmy się zeszłej nocy. Michael nie wie, że impreza, na którą poszłyśmy, odbywała się przy murze. A ja wolę, żeby tak zostało.

Po zjedzeniu miski makaronu z mięsnymi klopsikami jemy na pół kawałek sernika.

- Chciałbym być z tobą dziś wieczorem - mówi. - Nie podoba mi się, jak Valentine narzuca wszystkie zasady.

- A jaki mamy wybór? - pytam, przesuwając palcem po swojej zaparowanej szklance z lemoniadą. Daylight Grill robi najlepszą lemoniadę. - Ma władzę nad wszystkimi wampirami w okolicy. Powstrzymuje je od inwazji na miasto.

- Kiepsko mu to wychodzi. Słyszałaś o tramwaju, który znaleziono porzucony na torach wczoraj w nocy? Wampiry grasują. Ściska mnie w żołądku.

- Wiadomo, co się stało?

- Pewnie dopadł je Strażnik Nocy. - W jego oczach pojawia się błysk. - Nie mogę się doczekać, aż ja będę chodził po ulicach i polował ze Strażnikami. Teraz ciągle trenujemy różne scenariusze. Zeszłej nocy udawaliśmy, że napadamy na magazyn, i musieliśmy znaleźć innych Strażników Nocy, którzy ukrywali się w środku i udawali wampiry. Coś jak zabawa w chowanego na śmierć i życie.

- Założę się, że im dołożyłeś. Uśmiecha się szeroko.

- Poszło mi nie najgorzej. To ja wpadłem na pomysł, żeby przeszukać krokwie i znalazłem w nich dwa „wampiry”. Trener powiedział, że wampiry ukryją się wszędzie, zwłaszcza jeżeli w drzwiach staną Strażnicy.

- Chyba miałeś niezłą zabawę.

- Chodzi o doskonalenie umiejętności. Ale udowodniłem, że się nadaję. I dlatego powinienem pójść dzisiaj z tobą. Mówię ci, Dawn, jestem gotowy.

Może i tak, ale ja nie mam ochoty narażać go na niebezpieczeństwo. Ale jeśli to powiem, uzna, że nie wierzę w jego umiejętności. Więc trochę kręcę.

- Nic mi się nie stanie. Na powozie będzie herb Valentine'a. -  
Purpurowa głowa warczącego wilka na środku litery V. -  
Wampiry wiedzą, że jak zaatakują, będą miały do czynienia z  
samym Valentine'em.

- To nie zawsze wystarcza. - Milknie, a ja wiem, że myśli o moich  
rodzicach. - Agencja ma samochody. Dlaczego nie możesz  
pojechać jednym z nich?

Wie dlaczego. Przerabialiśmy to ze sto razy. Valentine upiera się,  
żeby wysłannicy podróżowali jego powozem. Tylko wtedy  
odpowiada za ich bezpieczeństwo. Ale rozumiem frustrację  
Michaela.

- Najwyraźniej Valentine ma bzika na punkcie władzy.

- Powinien zaliczyć psychiatrę.

Oboje się uśmiechamy, chociaż tak naprawdę to nie jest zabawne.

- Mógłbym się ukryć w powozie... - Michael pochmurnieje.

Wyciągam rękę nad stołem i kładę dłoń na jego dłoni.

- Zabiłby cię, gdyby cię znalazł.

- Jestem dobry, Dawn. Naprawdę dobry.

- A on ma świętę sług. Proszę cię, Michael. Nic mi nie będzie.

Splata palce z moimi.

- Zacznę wojnę z wampirami w pojedynkę, jeżeli Valentine zrobi  
ci krzywdę.

Może to źle, ale jego słowa przyprawiają mnie o dreszcz  
podniecenia. Nie chcę kolejnej wojny, ale robi mi się ciepło na  
sercu, kiedy wiem, że tyle dla niego znaczę. Ludzie rozpoczęli  
pierwszą wojnę, by pozbyć się

spośród nas krwiopijców, i nazwali ją wojną o „ludzkie przetrwanie w obliczu niespotykanego wroga”. Ale po trzydziestu latach walki ze stworami, których właściwie nie można zniszczyć, poddali się. Oddali niemal wszystko za dziwnego rodzaju pokój. Słońce zaczyna zachodzić, kiedy odprowadza mnie do mojego bloku.

- Mam jeszcze parę godzin do wyjazdu - mówię. -Chcesz wejść na górę?

- Jasne.

W mieszkaniu wita nas Rachel.

- Michael wejdzie na chwilę - uprzedzam.

- Nie zapominaj, ile czasu potrzebujesz, żeby się przygotować - przypomina.

Valentine domaga się, żebym miała na sobie strój z innej epoki.

Wiktoriańskiej. Samo zapięcie gorsetu zabiera trzydzieści minut, a do tych głupich staroświeckich butów muszę używać haczyka do zapinania guzików.

- Nie zapomnę - zapewniam.

- Dobrze. Dokończę papierkową robotę dla Agencji. A później musimy omówić parę spraw związanych z dzisiejszym wieczorem.

- Nie ma sprawy.

- No to widzimy się za chwilę. - Idzie do swojej sypialni i zamyka drzwi.

- Myślałem, że już nigdy sobie nie pójdzie - mówi Michael, wyciągając się na kanapie i delikatnie pociągając mnie obok siebie tak, że w połowie leżę rozciągnięta na jego długim ciele.

- Po prostu się martwi.

- Nie ona jedna.

- Więc chyba muszę cię trochę rozerwać. - Podciągam się i całuję go. Zanurza palce w moich włosach i przytrzymuje mnie, pogłębiając pocałunek.

Tak ładnie pachnie. Jak cytryna. Noszę ze sobą w teczce dropsy cytrynowe, żeby jeść je po drodze i czuć, że on jest ze mną.

Odsuwa się i przygląda mojej twarzy, jakby chciał zapamiętać każdą linię i wypukłość, jakby się bał, że nigdy więcej ich nie zobaczy.

- Szaleję za tobą. Wiesz o tym, prawda? - pyta. Przesuwam jedną dłoń po jego włosach, czuję, jak język łaskocze mnie w dłoń.

- Wiem. Ja też za tobą szaleję.

- Kiedyś będziemy mieć dla siebie więcej czasu, kiedy nie będziemy tak bardzo zajęci uczeniem się, jak zbawić świat.

- A do tego czasu mamy chwile takie jak ta - przypominam mu.

- Tak, zdecydowanie mamy chwile.

Całuje mnie znowu. Chcę, żeby ten moment trwał wiecznie, tylko Michael i ja, zatraceni w świecie, w którym nie istnieje nic poza nami. Gdzie pożera nas namiętność. Pocałunek staje się czymś więcej, staje się wszystkim, podsyca nasze pragnienie. Nie chcę go opuszczać.

Po drugiej stronie mieszkania drzwi Rachel otwierają się, skrzypiąc. Michael, zawsze czujny, kończy pocałunek. Dużą dłoń obejmuje moją głowę i opiera moją twarz na

swojej masywnej klatce piersiowej. Słyszę szybkie bicie jego serca. Chociaż wiem, że muszę, nie mogę się ruszyć.

- Dawn - napomina cicho Rachel. - Musisz się szykować.

Uścisk Michaela zacieśnia się na mnie, jakby mógł powstrzymać czas przed upływaniem, zegar przed odliczaniem sekund, świat przed obracaniem się.

Ale za murem czeka Valentine. Michael nie może zrobić nic, żeby to zmienić. Ja mogę jedynie mieć nadzieję, że to nie ostatni raz, kiedy jesteśmy razem.

Poza murami jest niebezpiecznie. Wygłodniałe wampiry czają się w ciemności. Okolice są rozległe, opustoszałe i zniszczone. Mam tylko siedemnaście lat, ale nawet ja pamiętam bomby spadające w oddali. Zrzucone przez nas w rozpaczliwym pragnieniu wygranej. Ze spalonej ziemi powstało tyle popiołu, że zaćmił słońce na lata. Pamiętam widok pierwszego wschodu słońca bez woalu mgły. Miałam trzynaście lat.

- Dziesięć minut, panno Montgomery - krzyczy Winston, mój woźnica.

- Proszę mówić do mnie Dawn.

- Tak, panno Montgomery.

W oddali ukazuje się posiadłość Valentine'a - z trzema wieżami i o wiele za dużą liczbą okien jak na do kogoś z alergią słoneczną.

Można by pomyśleć, że to posiadłość średniowiecznego szlachcica przeniesiona z Brytanii. Podobno budowano ją tylko dwa tygodnie. Lord Valentine ma mnóstwo niższych wampirów, które mu służą.

Większość wampirów, jak te, które zaatakowały mnie w tramwaju, nigdy nie ogląda wewnątrz podobnych posiadłości. Nigdy nie bawią na przyjęciach i nie zalecają się do młodych dziewcząt. Jedynie Stare Rody posiadają tego rodzaju moc, cieszą się owocami bogactwa. Większość wampirów co noc głoduje. Pracują jak szaleni w nadziei na dodatkowe racje krwi. Ale wampiry ze Starego Rodu są często okrutne i czasem zastanawiam się, czy byłoby mniej napadów, gdyby lord Valentine bardziej dbał o swoich poddanych.

Oczywiście, racje krwi nie byłyby żadnym problemem, gdyby ludzie przestali wierzyć w czcze obietnice lepszego życia i nie chwyтали się sposobności, by zostać przemienieni. Nie wiem, dlaczego nie pojmują, że przemienione wampiry są nazywane „niższymi” nie bez powodu. Nie są postrzegane ani traktowane na równych zasadach.

Droga wije się przed masywnym budynkiem. Za oknami powozu osadza się gęsta mgła. Zatrzymujemy się i we mgle pojawia się rozmyta sylwetka Winstona. Włosy ma rzadkie i siwe, zbyt długie do swojej krótkiej twarzy. Otwiera drzwi i chwyta mnie za odzianą w rękawiczkę dłoń, kiedy schodzę; w drugiej ręce ściskam rączkę teczki. Mijamy dwa konie, które nas tu przywiozły. Duże i silne. Niespokojne od zapachu wampirów w nocy.

- Zaczekam - mówi Winston i wskazuje na małą ławkę na górze czarnego powozu.

- Dziękuję, Winstonie - odpowiadam, przestawiając się na ultragrzeszny tryb. Wpojono mi wiktoriańską ety-



kietę, bo Valentine oczekuje podczas spotkań określonego tonu. Z jakiegoś powodu lubi staroświeckie rytuały. Domaga się, żeby wysłannicy nosili stroje z epoki wiktoriańskiej. To dlatego mam na sobie długą czarną suknię z wysokim kołnierzem i gorset, który ściska mnie tak mocno, że trudno mi oddychać. Włosy mam upięte w bardzo skomplikowany sposób, z kilkoma luźnymi lokami. Stopy w szpiczastych butach, które przypominają miniaturowe narzędzia tortur, stukają na grubych kamieniach. Wchodzę po schodach. Czas zaanonsować moje przybycie. Pozwalam opaść żelaznej kołatce - głowa skowyczącego wilka uderza w drzwi, rozsyłając złowieszcze echo po cichej okolicy. Poza jednym budynkiem i stajniami jest tu pusto i strasznie. Żeby ukoić nerwy, biorę głęboki oddech i wstrzymuję go, odliczając do trzech. Drobną sztuczką, której nauczyła mnie matka. Dam sobie radę; jestem do tego wyszkolona.

Drzwi otwierają się, skrzypiąc, a ja znów znajduję się twarzą w twarz z wampirem: kły, blada cera, dzikie spojrzenie. Nie mogę się powstrzymać, serce zamiera mi na chwilę, kiedy jego czarny wzrok zanurza się w mojej szyi. Pod wysokim kołnierzem sukni dudni mi puls. On pewnie go słyszy.

- Dobry wieczór, panno Montgomery. Lord czeka na panią w jadalni.

- Więc nie mogę kazać mu czekać. - Ćwiczyłam ten drętwy wers na okrągło, żeby modulowanie głosu było idealne, a raczej żeby go nie było.

Zimne nocne powietrze dostaje się ze mną do środka. W posiadłości Valentine'a nie ma prądu. Za to setki lamp gazowych i naftowych dają niesamowity, upiorny blask. Wampiry teraz mogą mieć wszystko, co chcą, i właśnie to wybrały. Nie rozumiem ich awersji do postępu technologicznego. Mijamy kręte marmurowe schody. Na ścianach wiszą portrety członków rodziny Valentine'ow, dawnych i obecnych. Kiedy urodzony wampir osiągnie dojrzałość, starzeje się o wiele wolniej niż my. Dwadzieścia wam-pirzych lat na nasz rok to najbliższy przelicznik, jakim dysponujemy. Później, w pewnym momencie, proces starzenia zatrzymuje się całkowicie. Nieśmiertelność czeka. A przynajmniej tak nam się wydaje. Wampiry wyjawiają nam tylko to, co chcą, więc mamy mnóstwo pytań bez odpowiedzi. Wampir, który mnie prowadzi, jest jednym z najbardziej zaufanych sług Valentine'a, przemienionym przez samego lorda. Zastanawiam się, kim był w poprzednim, ludzkim życiu. Zastanawiam się, czy w ogóle je pamięta. Może mieć kilkaset lat. Niższe wampiry nigdy nie starzeją się ponad wiek, w którym byli, gdy zostali przemienieni. Ten jest wysoki, z długimi włosami, które sięgają ramion. Jest ubrany jak spod igły w garnitur i kamizelkę, z której zwisa złoty kieszonkowy zegarek. Patrząc na jego ziemistą cerę, zaczynam się zastanawiać, czy był chory, kiedy Valentine go przemienił. Niektórzy ludzie wybierają przemianę zamiast śmierci. Życie wieczne jest kuszącą perspektywą. Ale za jaką cenę?

Taką, której ja nigdy bym nie zapłaciła. Nic nie jest warte tego, by stać się potworem.

Grube drewniane drzwi ciągną się po obu stronach korytarza, którym idziemy. Nigdy nie widziałam ich otwartych. Pewnie kryją się za nimi pokoje całe z czystego złota albo tyle warte. Bogactwo Starego Rodu nie ma granic.

Kierujemy się w stronę francuskich drzwi, dwa razy większych ode mnie. Okalają je rzeźby z greckich statków, które zatoniły tysiące lat temu. Marmurowe, podniszczone, przedstawiające bogów w ludzkiej postaci, przetrwały próbę czasu. Mimo majestatu i historii zapisanej w każdym pęknięciu bogowie zostali pokonani przez wampiry, które żyją dłużej. Ludzcy bogowie zostali zastąpieni przez tych bardziej namacalnych.

Służący otwiera szeroko drzwi. Jadalnia jest wielkości małego domu, stół ciągnie cię od jednej ściany do drugiej. Parodia wielkiego życia. Na samym końcu siedzi lord Valentine. Jego masywne krzesło jest wyrzeźbione z pnia dębu, odwrócone od stołu tak, że przypomina bardziej tron niż mebel jadalniany.

Grube, krągłe nogi krzesła kończą się pazurami. Sam wampir, w kruczoczarnym garniturze jest o wiele bardziej imponujący. Ma dobrze ponad metr osiemdziesiąt. Szerokie barki. Na palcu wskazującym prawej dłoni nosi wielki starożytny pierścień. Mimo wszystkiego, czego nauczono mnie o ochronie zapewnianej wysłannikom i wszystkich obietnic, że mój gospodarz nie wybierze mnie na smakowitą wieczorną przekąskę, nagle ogarnia mnie strach. Zastanawiam się, czy moi rodzice też się bali.

- Panna Montgomery przybyła, milordzie - anonsuje sługa, skłaniając się i wycofując za drzwi. Zamyka je cicho. Zostawia nas samych.

Behemot, na którego patrzę, mógłby mnie zabić, zanim zdążyłabym krzyknąć, i nie zastanawiałby się nad tym dwa razy, gdybym go rozczarowała. Immunitet dyplomatyczny może chronić mnie przed wampirami na dworze, ale nie przed brutalami w murach miasta, a co ważniejsze - nie przed tym tutaj. Jego długie włosy z siwymi tonami są zebrane w konserwatywny kucyk, spięty plecionym skórzanym paskiem. Emanuje mocą. W każdym subtelnym ruchu kryje się siła fali pływowej. Gestem dłoni może obalić imperia.

- Usiądź, proszę - zaprasza lord Valentine, którego niski głos wypełnia pokój. Dłonią, w której trzyma złotą czarę, zapewne pełną krwi, wskazuje mi krzesło naprzeciw niego.

Zajmuję miejsce, gniotąc tył spódnicy. Jego powaga jest obeszłaniająca. Kładę teczkę na stole, uważając, żeby nie porysować drewnianej powierzchni.

- Jestem zadowolony, Dawn. Przerosłaś moje oczekiwania - mówi. Podrywam wzrok, ale on na mnie nie patrzy. Jego spojrzenie jest zawieszona gdzieś w ciemnych kątach pokoju. Kusi mnie, żeby mu powiedzieć, że nie obchodzi mnie, czy jest zadowolony.

Przerastanie jego oczekiwań to pusty komplement. Ale nie jestem tutaj jako Dawn Montgomery. Jestem tu jako wysłanniczka.

- Milordzie?

- Podolałaś swojemu przeznaczeniu. Stałaś się profesjonalną wysłanniczką w czasie krótszym niż większość.
- Miałam przewagę. Wiele nauczyłam się od rodziców.
- O wiele więcej musisz się jeszcze nauczyć - mówi Valentine. - Rzeczy, którymi twój ojciec nie zdążył się z tobą podzielić. Jesteś wyjątkowa, Dawn, w sposób, którego nie pojmujesz. Jego arogancja mnie rozwściecza. Nie wie, czego nauczył mnie ojciec - ani czego mnie nie nauczył. Wytyka mi słabości, serwując dwuznaczne komplementy. Usiłuje mnie wytrącić z równowagi, a ja niczego innego się po nim nie spodziewam w tę szczególną noc. Ale jestem gotowa. Rodzice nauczyli mnie, że Valentine owija w bawełnę. Nauczyli mnie, jak zachować spokój, pozostać skupioną. Zmienić temat...
- Chciałabym porozmawiać na temat ostatnich porwań w mieście.
- Rozpinam teczkę i wyciągam dokumenty z nazwiskami i zdjęciami tych, którzy zaginęli. Podobnie jak wtedy, kiedy Rachel przekazała mi tę informację, waham się nad górnym zdjęciem. Rozzochrany wpatruje się we mnie. Przelykam z trudem ślinę i staram się nie myśleć, w jakim niebezpieczeństwie tak naprawdę byliśmy, ja i Tegan, podsuwając mu informacje. Valentine nie rusza się, żeby wziąć dokumenty. - W ostatnim tygodniu wprowadzono czterech mieszkańców miasta.
- Jesteś przekonana, że odpowiadają za to moi podwładni? - pyta, przyciskając dłonie do ust, ze wzrokiem skierowanym nie na mnie.

- Mamy świadków, którzy twierdzą, że sprawcami są wampiry. Wiemy, że wielki władca, jakim jest waszmość, nie pochwała takich czynów, ale mamy także świadomość, że nie zawsze sprawuje pan kontrolę nad niższymi wampirami.

- Zawsze sprawuję nad nimi kontrolę - przypomina mi stanowczym głosem, który mógłby uciszać miasta. Cisza żyje.

- Oczywiście - mówię. Powstrzymuję się, żeby go nie przeprosić. Mógłby to odebrać jako słabość. Muszę mu pokazać, że jestem silna. Ale jeżeli tego nie skomentuję, może uznać mnie za nieuprzejmą i ukąsić mnie w szyję. Za dużo myślę. „Miej tę pierwszą noc po prostu za sobą”, tak powiedziała Rachel.

Nauczyła mnie wszystkiego, co wiem na temat protokołu.

Dzisiejszy wieczór jest sprawdzianem również dla niej. Jeżeli mi się nie uda, będzie miała moją krew na rękach. - W takim razie, pana zdaniem, kto odpowiada za porwania?

- Ci, którzy są tak głupi, by wychodzić za miasto nocą, mogą winić tylko siebie. Traktat Wamp-Lu stawia sprawę jasno.

Ludziom poniżej dwudziestego pierwszego roku życia nie wolno przebywać w nocy poza murami. Ale starsi nie są zatrzymywani przez strażników przy ciężko uzbrojonych bramach. Wiedzą, jakie jest ryzyko. Po tym co zeszłej nocy zrobiliśmy Tegan i ja, trudno mi nie mieć współczucia dla tych, którzy chcą więcej wolności, ale poza murami jest o wiele bardziej niebezpiecznie. Tam na ludzi polują włóczące się wampiry. Czasami wysysają z nich krew na-

tychmiast. Czasami biorą ich jako jeńców i żywią się nimi przez jakiś czas. Od zakończenia wojny Wamp-Lu zakazuje wampirom przemieniania ludzi i większość wampirów przestrzega tej zasady. W końcu się połapali, że im więcej wampirów, tym mniej ludzkiej krwi w obiegu.

- Ale do tych doszło w obrębie miasta - mówię, uświadamiając sobie, że ta potyczka może zakończyć moje życie. Myślę o tej czwórce, która mnie zaatakowała. Mogłabym mu o nich opowiedzieć, ale to tylko skomplikowałoby sprawy i zdradziło moją głupotę i bezbronność.

- Imputujesz, że złamaliśmy układ Wamp-Lu? - pyta. - To bardzo, bardzo poważne oskarżenie.

Głowy czternastu Starych Rodów będą obradować, żeby wyrazić opinię, jeżeli złożę oficjalne zażalenie. O ile wiem, nikt nigdy tego nie zrobił.

- Nie, milordzie.

- Winić należy dzikie wampiry. Podróżują od miasta do miasta, szukając słabych murów i jeszcze słabszych ludzi. Zabili twoich rodziców, prawda? Więc nie obwiniaj wielkiego Domu Valentine o wasze beztroskie zachowanie. Wasi mieszkańcy sami czynią siebie ofiarami. Nie będę więcej tego słuchać.

Jestem zła, że zbywa nasze uzasadnione zażalenia. Ale wyczuwam też, że bije od niego wściekłość wywołana tym, że ośmieliłam się podważyć jego autorytet. Jestem zaskoczona, że pozwala mi dalej oddychać. Spoglądam do notatnika na kolejne tematy do poruszenia. Ten jest z pewnością zamknięty.

- Czy dostawy krwi są wystarczające? - pytam.

- Nie. Jasne, że nie.
- Ile jeszcze potrzeba? - pytam.
- Co najmniej dwa razy tyle.

Dwa razy! Czyżby w podeszłym wieku postradał zmysły? Robię wszystko, żeby nie było po mnie widać, że jestem wstrząśnięta. Żadnych emocji. Nie mogę okazywać żadnych emocji, bo inaczej wykorzysta sytuację.

- Przykro mi, lordzie Valentine, ale to będzie wyjątkowo trudne.  
- W takim razie nie mogę gwarantować bezpieczeństwa twojemu miastu i jego mieszkańcom. - W końcu odwraca się do mnie. Oczy ma ciemne. Tak ciemne, że nie potrafię stwierdzić, czy wpatrują się w moje, czy w moją szyję. To groźba. W dodatku nie pusta. Ta rozmowa, moje życie, może się skończyć przed kolejnym uderzeniem mojego serca.

- Zobaczę, czy da się zwiększyć dostawy. - Chcę go na razie ułagodzić, aż będę mogła porozmawiać z Rachel.

- Mam nadzieję, dla twojego dobra, że mieszkańcy Denver odkryją swoją dobroczynną naturę - mówi swoim lodowatym, martwym tonem.

Serce mi podskakuje, kiedy słyszę, jak drzwi się otwierają.

Przypuszczam, że to służący po mnie przychodzi, ale nie mam odwagi spojrzeć; jestem w złej formie. Czuję po prostu ulgę, że spotkanie się skończyło.

- Spóźniłeś się - warczy Valentine.

- Wybacz, ojciec - mówi niski głos. - Dopiero otrzymałem twoje wezwanie.



Zapiera mi dech w płucach, ale udaje mi się pozostać nieruchomo.  
Znam ten głos. Ale to niemożliwe. Niemożliwe.  
Słyszę ciche kroki. Kątem oka widzę ruch. Nagle on tam stoi.  
Obok Valentine'a.  
Mój wczorajszy wybawca. Victor.  
Nie jest mianowanym Strażnikiem Nocy. Jest cholernym  
wampirem!

Dawn, chyba nie poznałaś mojego syna. Victor Valentine. Victor, pozwól, że ci przedstawię pannę Dawn Montgomery, naszą nową wysłanniczkę.

Czuję się, jakbym spadła w siódmy krąg piekła. Robię wszystko, co mogę, żeby nie zdradzić się, że go znam. Żeby utrzymać niewzruszony wyraz twarzy. Żeby nie okazywać zupełnie nic. Co tu jest grane?

- Dobry wieczór, panno Montgomery. - Victor kłania się lekko.

Jego zachowanie się zmieniło. Jest bardziej jak jego ojciec, wytworny i oficjalny. Nie pasuje to do niego.

Ma na sobie czarną koszulę pod granatowym jedwabnym garniturem, a z kieszeni nad sercem wystaje róg czerwonej poszetki - ozdobionej dwoma wyhaftowanymi V. Zdecydowanie widać, że pochodzi ze Starego Rodu. To wiele wyjaśnia.

Samochód. Gazowany napój. Jest obrzydliwie bogaty! To wyjaśnia też, dlaczego tak bardzo mu zależało, bym nie mówiła nikomu o nim ani o kinie. Jest wampirem, mieszka w mieście. Może szpieguje dla starego dobrego ojca.

Mam ochotę naskoczyć na niego za to, że mnie oszukał, że rozmawiał ze mną tak, jakbyśmy mieli ze sobą coś wspólnego. Za to, że zrobił ze mnie idiotkę. Musiał wiedzieć, że mam go za człowieka. A tymczasem jest krwiopijcą.

Ale mam pewność, że żadna z moich myśli, moja nagła nienawiść nie są widoczne na mojej twarzy, bo lord Valentine ciągnie jakby nigdy nic:

- Omawialiśmy sytuację z krwią. Panna Montgomery zapewnia, że ilość dostaw bez trudu może zostać podwojona.

To natychmiast odwraca moją uwagę z syna na ojca. Nic takiego nie powiedziałam! Ale musiałabym być idiotką, żeby sprzeciwiać się Valentine'owi.

- To na pewno zostałyby docenione - mówi Victor. -Wiele wampirów głoduje.

Jak te wczorajszej nocy? - mam ochotę spytać, ale gryzę się w język.

Valentine obraca czarę, w której tańczy krew.

- Jak widzisz, panno Montgomery, mój syn zna wartość krwi. - Słyszę dumę w jego głosie i coś jeszcze. Krew, o której mówi, to nie tylko ta, która pochodzi od ludzi. Ma na myśli linię krwi. Krew rodziny.

Victor siada obok ojca. Wiem, o czym myśli. Nagle wpada mi do głowy pewna myśl. Może Valentine wezwał Victora, bo to część dzisiejszego sprawdzianu? Może wie, że poznałam już jego syna. Nienawidzę gierki wampirów.

- Dawn, na czym stanęliśmy? - pyta Valentine.

Nie zdaję sobie sprawy, że wstrzymywałam oddech. Nie patrzę na Victora, ale czuję, że świdruje mnie wzrokiem. Nie przejmuję się tym, że jest świadkiem mojej pierwszej samodzielnej nocy, bez Rachel. Potrzebuję jej, żeby mnie wspierała. Potrzebuję...

Nie. Nikogo nie potrzebuję. Wystarczy tylko, żebym pamiętała, kim jestem. Jestem bystra. Odważna. Jestem wysłanniczką.

Jedynym łącznikiem pomiędzy miastem a Valentine'em. Myślę o ludziach na ulicy. Dla Valentine'a są po prostu workami z krwią. Ale dla mnie mają serca i dusze, a każdy z nich w tej chwili jest zależny ode mnie.

- Dostawy krwi można zwiększyć - mówię. - Ale to potrwa.

Valentine uśmiecha się lekko z wyrachowaniem.

- Mam wieczność.

Pozbawienie głowy, wbicie kołka w serce, słońce, pożerający ogień - zbadaliśmy, że te rzeczy mogą zabić wampira. Dałabym wszystko, żeby mieć w zasięgu któryś z tych środków. Najpierw zajęłabym się Victorem.

Odganiam tę myśl. Muszę się skupić na potężnym wampirze, którego mam przed sobą. Ale to trochę trudne, bo obecność Victora mnie rozprasza. Muszę się zastanawiać, czy wykorzystuje swoją moc, żeby mną manipulować. Nigdy tego nie dowiedziono, ale od dawna podejrzewa się, że wampiry potrafią kontrolować nas za pomocą myśli. Mogą nakłonić nas do swojej woli. Niektórzy nazywają to byciem niewolnikiem wampira. Przy-

puszczam, że to po prostu setki lat doskonalenia sztuki subtelnej manipulacji.

Może i zeszłej nocy Victor się mną zabawił, może drażni się ze mną teraz, ale kiedy wrócę do Denver, ja zabawię się z nim.

Opowiem o nim Rachel, o kinie. Jego sanktuarium w mieście zostanie zniszczone. Może powinnam poczekać, aż on w nim będzie.

Ale nagle przypominam sobie, że mnie uratował, i czuję lekkie ukłucie poczucia winy. Jak wiele mu zawdzięczam? Lojalność? Dotrzymanie tajemnicy? Nie wiem. Ale nie ufam też powodom, którymi się kierował, spiesząc mi na ratunek. Wampiry nigdy nie robią niczego, jeżeli nie mogą na tym zyskać.

- Panno Montgomery?

Wracam myślami do Valentine'a i orientuję się, że gapiłam się na Victora.

- Tak, milordzie?

- Widzę, że mój syn cię intryguje.

- Nie, ja... nigdy wcześniej nie widziałam młodego wampira.

- Czteryście lat. Raczej niemłody jak na wasze standardy, ale masz rację, dla nas jest młody.

- Brał udział w wojnie?

- Niegrzecznie jest rozmawiać o mnie tak, jakby mnie tu nie było - wtrąca Victor, a ja słyszę irytację, która tak często pojawia się w głosie jego ojca.

- Walczyłeś na wojnie? - zwracam się do niego.

- Nie bardzo wiem, co ta informacja wnosi do tematu dostaw krwi.

Valentine chichocze, a ja orientuję się, że go bawimy. Ostatnia rzecz, jakiej chcę. Zadzieram wyzywająco brodę.

- Podczas twojej nieobecności twój ojciec i ja omawialiśmy sprawę uprowadzeń, do których doszło w zeszłym tygodniu. Może ty coś o nich wiesz. - Przesuwam w jego stronę teczkę ze zdjęciami. Ku mojemu zaskoczeniu, on, w przeciwieństwie do ojca, nie ignoruje ich. Otwiera teczkę i odwraca powoli zdjęcia, jedno po drugim. Później przenosi wzrok na mnie.

- Przykro mi. Nie wiem.

- Zostali zaatakowani w mieście. Wiemy, że wewnątrz murów są wampiry. Mamy do nich prawo, jeżeli je znajdziemy..

- Doskonale znam warunki układu Wamp-Lu oraz niebezpieczeństwo, jakie czyha na wampiry wewnątrz murów - oświadczam.

- Twoi Strażnicy Nocy są najwyraźniej bezużyteczni - warczy nagle Valentine. - I jak już powiedziałem, temat uprowadzeń uważam za zamknięty.

- Myślałam, że powinnam naświetlić go pańskiemu synowi, skoro się spóźnił.

Victor spogląda na mnie zmrużonymi oczami, ale Valentine znów chichocze. Skupiam się znów na Valentinie.

- Poza dostawami krwi jest jeszcze coś, z czego jest pan niezadowolony, milordzie?

- Z tego, że nie ufasz Domowi Valentine.

Nie ufam żadnemu wampirowi. Chcę zdjąć czarne rękawiczki, które kazał mi włożyć, i potrzebę skórę w miej-

scu, gdzie dotykał jej Victor wczoraj w nocy, kiedy biegliśmy uliczkami. Chcę zapomnieć każde słowo, które ze sobą zamieniliśmy. Jego uśmiech, jego troskę. Nic z tego nie było prawdziwe. Wszystko to uknuł. Wampiry najpierw nas wabiają, a później niszczą.

- Może gdyby był pan łagodniejszy w swoich prośbach, milordzie, łatwiej byłoby zdobyć zaufanie mieszkańców.

- A czego ja dokładnie żądam, panno Montgomery, co jest takim ciężarem?

Victor wydaje się bardziej zainteresowany moją odpowiedzią niż Valentine.

- Większej ilości krwi niż to konieczne. Gdybyśmy wyznaczyli minimalną ilość, jakiej potrzebuje wampir do przeżycia, a później sporządzili spis liczby wampirów w okolicy, otrzymalibyśmy dokładny obraz ilości krwi, jaka rzeczywiście jest potrzebna.

- Szacunki i spisy nie będą potrzebne. Moje słowo w zupełności ci wystarczy. A ja już powiedziałem, co dokładnie jest potrzebne. Podwójna ilość.

- W oparciu o co, milordzie? Nie wiemy nawet, ile wampirów zaopatrujemy.

- Próbujesz je obliczyć, żeby zaplanować powstanie przeciwko mnie? Czy Agencja wysłała cię, żebyś zbadała liczbę moich poddanych? Jeżeli uznają, że moja pozycja się osłabiła, szybko się zorientują, że tkwią w błędzie.

- Nie, milordzie - odpowiadam pośpiesznie. - Ale gdybyśmy mogli sprawić, żeby mieszkańcy czuli się bezpieczniej, że warunki układu obowiązują i że w murach

miasta są bezpieczni, może byliby bardziej skłonni oddawać krew.  
- Znajomość liczb ich nie uspokoi. Zwycięzca bierze wszystko.

Ludzie nie powinni byli w ogóle zaczynać z nami wojny. Wasza porażka była nieunikniona. Jedynie z powodu naszej dobroci nie zrobiliśmy z was wszystkich niewolników. Może powinnaś przypomnieć mieszkańcom, że naszą łaskawość z łatwością możemy cofnąć.

To spotkanie przybierało coraz gorszy obrót - odkąd do sali wszedł Victor. Dlaczego czuję, że muszę udowodnić, że chociaż wczoraj mnie wykiwał, jestem kimś, z kim nie należy zadzierać?

- Nie jesteśmy wrogami, Dawn - mówi Victor.

- Powiedz to ich rodzinom - odpowiadam, wskazując zdjęcia na stole.

Skłania lekko głowę, jakby przyznawał mi rację.

- Wydaje mi się, że skończyliśmy - oznajmia nagle Valentine.

Kiedy przychodzi po mnie służący, Valentine pozostaje na miejscu. Kłaniam mu się lekko, a on uprzejmie kiwa głową.

Wampiry ze Starego Rodu są konserwatywnymi istotami. Chociaż zabiliby nas dla krwi, są eleganccy, grzeczni i dobrze ułożeni.

Doceniają damę, która jak dama się zachowuje.

Victor wstaje.

- To była przyjemność, panno Montgomery.

Mam ochotę odpowiedzieć: może dla ciebie. Ale silę się na najserdeczniejszy ton, na jaki mnie stać.

- Nie mogę się doczekać kolejnego spotkania.



Odbędzie się w twoim kinie i wezmę ze sobą armię Strażników Nocy, dodaję w myślach.

Z wyprostowanymi plecami i wysoko uniesioną głową wychodzę za służącym z pokoju.

Na zewnątrz Winston, podając mi rękę, wciąga mnie do powozu. Rzednąca mgła owiewa nas, kiedy jedziemy. Do domu i do bezpiecznej przystani.

Przy głównej bramie miasta przechodzimy rytuał -sprawdzają nasze legitymacje Agencji i przeszukują powóz, by upewnić się, że nie ukryły się w nim wampiry. Miski z krwią są ustawione strategicznie - chodzi o to, że wampiry nie zdołają tak długo utrzymać schowanych kłów, żeby przejść kontrolę.

Winston i ja zostajemy wpuszczeni do miasta. Jest jeszcze ciemno, kiedy docieramy do mojego bloku. Woźnica pomaga mi wysiąść, a ja oddycham z ulgą.

- No, przeżyliśmy, Winston.

- Tak, panno Montgomery.

- Proszę mówić mi Dawn.

- Tak, panno Montgomery. Miłych snów. - Wsiada z powrotem na powóz i szybkim ruchem nadgarstka pogania konie, które ruszają galopem. To dziwny staruszek, ale podobno nikt nie włada kołkiem szybciej od niego. Szkoda, że nie był woźnicą moich rodziców - ale tak jak oni, tamten woźnica został zabity.

Wzbiera we mnie poczucie ulgi, kiedy jadę windą.

Zanim zdążę włożyć klucz do zamka, drzwi otwierają się szeroko. Rachel wygląda, jakby postarzała się o dziesięć lat.

- Och, dzięki Bogu, że wróciłaś. Jak poszło? - Nim zdążę odpowiedzieć, łapie mnie za rękę i wciąga do mieszkania.
- Co wiesz o synu Valentine'a? Victorze? - pytam, kładąc teczkę na stole i zaczynam rozpinąć kaftan. - Był tam dzisiaj.
- Zamiast Valentine'a?
- Nie, z nim.
- Dlaczego?

Jak tylko pozbywam się kaftana, Rachel zaczyna rozpinąć mi gorset z tyłu. To rytuał, który rozpoczął się, kiedy towarzyszyła mi w wyprawach do posiadłości Valentine'a. Czuję, jak mój mostek się powiększa. Zanim odpowiem, biorę głęboki oddech.

- Nie wiem. To pewnie gra na emocjach.

Wiem, że muszę jej powiedzieć o kłopotach, w jakie wpakowałyśmy się z Tegan, i o tym, jak Victor nas uratował, bo nie jest już to tajemnicą, której mogę dotrzymać. Ale nie mogę tego tak z siebie wyrzucić. Muszę wymyślić sposób, który wybroni mnie z tarapatów.

- Muszę się otrząsnąć po tej wizycie, potem porozmawiamy, dobrze?

Uśmiecha się i w tej chwili jest po prostu opiekunką, która się o mnie troszczy, a nie pracuje dla Agencji.

- Jasne. Odpocznij chwilę. Ważne, że przeżyłaś. Jesteś głodna? Zrobię ci coś do jedzenia.

Jedzenie to jej odpowiedź na wszystko.

- Umieram z głodu.

W sypialni zdejmuję ubrania i układam je na kupkę w rogu. Z każdym z nich pozbywam się szaty wysłan-

niczki. Idę do łazienki, wyciągając po drodze spinki, aż moje nieposłuszne czarne włosy opadają mi na ramiona. Pasują do prawdziwej Dawn. Fantazuję o tym, że pewnego dnia pokażę Valentine'owi, z kim zadziera. Zrobię to z kołkiem w ręce. Mam na sobie naszyjnik z mocno połączonych metalowych łańcuchów. Dusząca ochrona. Był ukryty pod wysokim kołnierzem czarnej sukni. Przekręcam i obracam skomplikowany mechanizm, żeby odpiąć go z tyłu. Wisiołek brzęczy, kiedy odwieszam go obok ręczników. Trochę łatwiej mi oddychać. Dostrzegam swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Moje niebieskie oczy są pochmurne, zmęczone ciężarem tego, co muszę powiedzieć Rachel. Widać w nich spadek poziomu adrenaliny po mojej pierwszej samodzielnej wizycie. Czuję się brudna po spotkaniu z Valentine'em. Pod prysznicem pozwalam gorącej wodzie ściekać po moim ciele i zmywać kolejne toksyczne przeżycia. Plusk mnie relaksuje. Dopóki nie zamknę oczu. Widzę twarz Victora, jego niewiarygodnie błękitne oczy, które mi się przyglądają. Czy był spięty, kiedy zastanawiał się, czy powiem o wszystkim jego ojcu? Ale jeżeli nie chciał, żebym to zrobiła, po co reagował na wezwanie? Musiał wiedzieć, że tam będę. Więc po co w ogóle przychodził? Dlaczego ryzykował, odsłaniając przede mną prawdę o sobie? Może Rachel będzie wiedziała, co to wszystko może znaczyć.

Zakręcam wodę i wycieram się. Wkładam flanelowe spodnie i top na ramiączkach z wyścigu „Bieg po Krew

5K", który organizowali i współsponsorowali moi rodzice. Ja na ochotnika pomagałam przy rejestracji. Nikt się nie zgłosił. Nic dziwnego.

Kiedy wychodzę do sypialni, dociera do mnie, że nie jestem sama. Na moim łóżku siedzi wampir. Ten, którego miałam nadzieję już nigdy nie zobaczyć. Ten, którego właśnie skończyłam spłukiwać ze skóry.

Victor.

## 7

Victor natychmiast wstaje i podnosi ręce. Nie ma już na sobie garnitur. Jest w czarnej koszulce i dżinsach. Znowu stapia się z nocą. A raczej stapiałby się, gdyby nie stał w mojej błękitnej sypialni. Tutaj trochę odstaje.

- Nie jestem tu po to, żeby zrobić ci coś złego, Dawn. - Akurat. Ton jego głosu jest uspokajający, ale odkąd widziałam go obok ojca, wszystko w nim wydaje mi się podejrzanе. Nie tylko jest wampirem, ale także pochodzi ze Starego Rodu, a to oznacza, że jest manipulatorem, oszustem, spryciarzem. Nie jest taki, jak myślałam.

Nie muszę pytać, jak się tu dostał. Tarasowe drzwi prowadzące na balkon mojej sypialni są lekko uchylone. Z siłą wampira i nieprzeciętną zręcznością bez trudu mógł wspiąć się na górę, przeskakując z balkonu na balkon. I nie musiał czekać na zaproszenie, żeby wejść do środka. W tej chwili naprawdę chcę, żeby to nie był tylko mit.

Zrywam się do szafy, otwieram szufladę, wyciągam metalowy kołek i się odwracam. Ale Victor porusza się zbyt szybko, demonstrując oślepiającą prędkość, którą

posiadają jedynie potężne wampiry ze Starego Rodu, te urodzone z kłami, te, które nie wiedzą, co znaczy być człowiekiem. Ledwie udaje mi się unieść kołek, kiedy chwytą mnie za oba nadgarstki. Jedną dłonią krępuje mi ręce za plecami, a drugą zakrywa mi usta, gdy uderzamy w ścianę.

Jestem unieruchomiona, zupełnie bezradna. Nienawidzę go za to, że tak łatwo przejmuje nade mną władzę.

Dociera do mnie, że zeszłej nocy poruszał się wolniej, celowo ukrywając, kim jest. Nawet teraz, kiedy ma zamknięte usta i ukryte kły, jest zbyt ludzki. Pochyliła się, a ja czuję napór jego ciała na moje. Jego ciepły oddech muska mój policzek, krąży wokół mojego ucha.

- Jak zrobisz więcej hałasu, wejdzie tu Rachel. To nie będzie miłe. Ogarnia mnie strach. Zbiera mi się na wymioty. Wiem, co ma na myśli. Zabije ją.

Wycofuje się, a ja jeszcze raz spoglądam w jego niebieskie oczy. Zeszłej nocy mnie intrygowały. Teraz mnie odpychają. Jego wzrok trafia na szybko bijący puls na mojej szyi. Mam wrażenie, że stoimy tak przez całą wieczność.

Normalnie nie pozwoliłabym mu się dotknąć bez walki, ale ma rację - usłyszawszy hałas, którego narobię, broniąc się, Rachel tu przyjdzie...

Nie mogę stracić kolejnej osoby, którą kocham. A kocham Rachel. Jest częścią mojego życia, odkąd rodzice zaczęli pracować dla Agencji. Była przyjaciółką rodziny na długo, zanim zaczęłam potrzebować opiekuna. Nie chcę być odpowiedzialna za jej śmierć. Mój brat zginął, ratując mnie. Nie wiem, czy przeżyłabym większe poczucie winy.

Rozlega się pukanie do drzwi, podskakuję, a serce zaczyna mi szybciej bić.

- Dawn? Słyszałam hałas. Wszystko w porządku? -pyta Rachel. Jej głos jest słodki, niewinny. Jest zupełnie nieświadoma obecności potwora w moim pokoju.

Victor świdruje mnie wzrokiem.

- Twój wybór - mówi cicho i powoli cofa dłoń z moich ust.

Przełykam z trudem ślinę. Niezdara ze mnie. Upuściłam coś.

- Za parę minut jestem, Rachel.

- Pośpiesz się. Jedzenie będzie na stole za dziesięć minut. Nie chcę, żeby wystygło.

Słyszę jej oddalające się kroki i przez chwilę zastanawiam się, dlaczego nie słyszałam, jak się zbliża. Pewnie ma to coś wspólnego ze skupieniem na Victorze. Victor.

Może nie potrafię z nim walczyć, ale nie mam zamiaru umrzeć potulnie. Zaciskam zęby i spoglądam na niego gniewnie, rzucając mu wyzwanie...

- Myślisz, że jestem tu po twoją krew - mówi cicho.

- A po co innego, do cholery, miałbyś tu być?

- Żeby zawiązać pakt. Żartuje?

- Nie ma szans. Jesteś cholernym wampirem. Dlaczego nie powiedziałeś mi, kim, to znaczy, czym jesteś? Pozwoliłeś, żebym wierzyła, że jesteś Strażnikiem Nocy. Że jesteś... człowiekiem. Ale jesteś potworem, jak twój ojciec.

- Nawet tak nie mów. Nie jestem jak on.

- Masz to we krwi.

- Wydaje ci się, że wiesz o wampirach wszystko, ale wielu rzeczy nie rozumiesz.

- Rozumiem, że zniszczyłeś wszystko, na czym mi zależało. Wiem, że tobą gardzę.

Gdyby wampiry miały uczucia, pomyślałabym, że go to zaboli. Ostrożnie wyjmuję mi kołek z dłoni, jakby brał prezent, a potem całkowicie uwalnia mnie z uścisku. Szybko odsuwam się od niego i zakładam sobie ręce na piersiach.

- Tegan doszła do siebie po tamtej nocy? - pyta. Dobra, nie spodziewałam się, że będzie go to obchodzić. Ale, oczywiście, nie obchodzi go. Chce tylko śledzić ruchy wszystkich zawodników na planszy.

- Tak - odpowiadam. - Nie pamięta za wiele. A ja nic jej nie mówiłam. Nie jest dla ciebie zagrożeniem. - Nie chcę, żeby za chwilę polował na nią.

- Nigdy nie uważałem jej za zagrożenie.

Jego arogancja potęguje we mnie nienawiść. W podtekście jest informacja o tym, że mnie też nie uważa za zagrożenie. A ja chcę nim być. Strasznie.

- Po co naprawdę tu jesteś? - pytam.

- Bo wiem, jak bardzo nienawidzisz mojego gatunku. - W jego głosie słychać złość i frustrację. - Domyśliłem się, że pierwszą rzeczą, jaką zrobisz teraz, kiedy o mnie wiesz, to powiesz Agencji o kinie. Chciałem cię prosić, żebyś dotrzymała obietnicy i tego nie robiła.

Kręcę głową.

- Dawn, są też dobre wampiry. Nie wszyscy jesteśmy jak te potwory, które cię zaatakowały, i nie wszyscy jesteśmy jak mój ojciec.



- Udowodnij. Zgłoś się do Agencji. Zaczynij dla nich pracować.
- To niemożliwe. Nie chcę, żeby śledzili każdy mój krok. Zamkną mnie i wykorzystają, jak będzie im wygodnie.
- I?
- Nie będę mógł snuć się nocami.
- Twój problem, nie mój.
- Byłby to też twój problem. Gdybym siedział zamknięty w jakiejś twierdzy Agencji, kiedy cię napadli, gdzie byś teraz była? Przez mój umysł przemykają obrazy - mnie, którą żywią się wampiry. Nie, jeden wampir. Bezimienny, bez twarzy, bez kształtu. Ale brzmi tak, jak ten przede mną. Wyrzucam go z myśli.
- Dlaczego mnie uratowałeś?
- Mówiłem ci: dobre miejsce, dobry czas. Gdy tylko zobaczyłam Victora obok ojca, pomyślałam, że wszystko to było grą, a on zamierzał mnie zmanipulować. Wyobraziłam sobie, że ojciec wysłał za mną Victora, może nawet zaaranżował atak w tramwaju, żeby jego syn mógł wkroczyć do akcji i uratować sytuację. To byłoby zupełnie podobne do Valentine'a. Nie, to, że Victor uratował mi życie nie mogło być zwykłym zbiegiem okoliczności.
- Myślisz, że w to uwierzę?
- A wolałabyś, żebym tego nie zrobił?
- To po prostu trochę nieprawdopodobne - mówię. -Wysłanniczka miasta uratowana przez wampira Valentine'a? To znaczy, jakie jest prawdopodobieństwo?

- Spore, jeśli czuwasz nocą tak jak ja. Naprawdę myślisz, że jesteś pierwszym człowiekiem, którego uratowałem?

Jakaś część mnie chce mu wierzyć, myśleć, że jest inny niż potwory z moich snów. Ale widziałam, do czego zdolne są potwory.

- Byli inni? - pytam.

- Jasne. To nie byli też pierwsi niżsi, których uśmierciłem. Strażnicy Nocy patrolują miasto, ale ja też swoje robię.

- Dlaczego? Co z tego masz, że polujesz na własny gatunek?

- Oni nie są moim gatunkiem! - mówi głosem cichym, ale z nutą złości. - To mordercy, którym się wydaje, że mają prawo żywić się każdym człowiekiem, na którego nabiorą ochoty. Ja taki nie jestem. Ludzie mają serca i dusze, i pełne prawo chodzić nocą bez strachu, że zostaną zaatakowani. Ale potrzebujemy więcej krwi, Dawn. Wampiry też mają prawo żyć. Znęcanie się nad ludźmi, żeby zdobyć krew, nie jest rozwiązaniem, wiem, ale nie możemy bez niej żyć. Zwierzęca krew dla nas się nie nadaje. Wiesz o tym.

- Zostaw to sobie na negocjacje. A może jesteś tu po to, żeby wziąć moją krew?

- Gdybym tego chciał, już bym ją miał.

Nie mogę negocjować jego słów. Miał wiele okazji -w tramwaju, w kinie, teraz. Nie zrobił nic, żeby dać mi do zrozumienia, że jest dla mnie niebezpieczny, ale mnie ciężko widzieć coś więcej niż jego kły. No i groził Rachel.

- Dawn? - To znowu Rachel.
- Idę! - Patrzę na Victora. - Jeżeli nie pójdę, wejdzie tu.
- Zastanów się tylko nad tym, co możemy zrobić, żeby zdobyć więcej krwi.
- My?
- Ty jesteś wysłanniczką, ale jeśli mogę w czymś pomóc, pomogę. - Celowo odstawia mój kołek na komodę i rusza w stronę balkonu.
- Victor? - Zatrzymuje się, tyłem do mnie. - Wiedziałeś, że dziś wieczorem będę w posiadłości. Dlaczego tam przyszedłeś?
- Bo, podobnie jak ty, nie mogę odmówić, kiedy wzywa mnie ojciec. Nieposłuszeństwo grozi... niemiłymi konsekwencjami. Przebiega mnie zimny dreszcz, kiedy usiłuję nie wyobrażać sobie, co mogłoby to być. Czuję przyływ współczucia do niego - a to ostatnia rzecz, jakiej chcę. On jest wampirem. Nie mogę o tym zapominać. Podchodzę do komody i biorę kołek.
- Gdyby Rachel tu weszła, zabiłbyś ją? Odwraca się i przeszywa mnie wzrokiem.
- Wierzysz tylko w twierdzącą odpowiedź, więc po co w ogóle pytasz?
- Ma rację. Nawet gdyby zaprzeczył, myślałabym, że kłamie. Zna mnie o wiele lepiej niż ja jego. Jestem w gorszym położeniu. I już tam zostanę, bo nie mam ochoty poznawać go lepiej.

- Muszę powiedzieć o tobie Agencji - mówię. - Przykro mi, ale nie mogę pozwolić, żeby byli nieświadomi, że wampir ze Starego Rodu chodzi po ulicach.

- I co im powiesz?

- O ataku. O ratunku. O kinie.

- Mogę się po prostu przenieść. Nigdy mnie nie znajdą.

- Mimo wszystko muszę.

- Tamtej nocy uratowałem ci życie. Jeśli zasłużyłem sobie choć na odrobinę zaufania, choćby najmniejszą, zachowaj kino w tajemnicy. Jeżeli musisz im powiedzieć, że Valentine ukrywa się w mieście, zrozumieć. Ale nie mów im gdzie. Jeżeli to zrobisz, każda śmierć, która zdarzy się z tego powodu, będzie na twoim sumieniu.

Nie podoba mi się groźba, ale myślę o Victorze, który przebił kołkiem tamte wampiry, jak szybko mnie uratował. Uratował też Tegan. Zabrał nas do swojego domu. Myślę o ciepłe, jakie w sobie czułam, kiedy rozmawialiśmy, i o tym, jak dobrze było wiedzieć, że on chroni nas przed nocą. Wszystkie te obrazy i wrażenia przepływają przede mną, a ja nie mogę uwierzyć w to, co chcę powiedzieć.

- Dobrze. Kino zostanie między nami. Na razie. Ale jak nabiorę podejrzeń, że zabijasz ludzi...

- Dziękuję, Dawn. - Robi dwa kroki, zatrzymuje się i ogląda przez ramię. - Mała rada: kiedy rozmawiasz z moim ojcem, pokaż mu Dawn Montgomery, która stoi przede mną teraz. Nie zdaje sobie sprawy z tego, jaka jesteś silna. Ja też nie miałem pojęcia. -

Wygląda na zakłopotane

go tym wyznaniem. - Ja... on... myślał, że jesteś zwykłą maskotką. Kiedy się dowie, że jest inaczej, zaniepokoi się. A ty staniesz się mocniejsza.

- Dlaczego dajesz mi taką radę?

- Może nie lubię mojego ojca tak samo jak ty. Zanim zdążę pomyśleć nad odpowiedzią, wychodzi na balkon i zamyka za sobą drzwi. Pędzę przez pokój i otwieram je szeroko. Nie ma go.

Ale mam przeczucie, że jeszcze go zobaczę.

Wchodzę do kuchni i zastaję Rachel patrzącą w mały telewizor na blacie. Kilka dostępnych kanałów pokazuje wiadomości albo nisko budżetowe opery mydlane. Są nagrywane w małych studiach, przy użyciu staroświeckiego sprzętu, który ledwie działa. Jedna z tych stacji puszcza powtórki starych seriali telewizyjnych sprzed wojny. Żałuję, że nie leci akurat jakaś komedia, ale na ekranie jest w tej chwili Roland Hursch, najbogatszy człowiek w mieście i największy przeciwnik wampirów. Wygłasza tyrady przed stacją krwiodawstwa, protestując przeciwko tym, którzy wchodzą, żeby oddać krew. - To niewolnictwo! To nasze przekleństwo! - krzyczy, wyciągając do góry dwa puste pojemniki na krew. -Dajemy ją tym potworom, i za co? Ciągłe naruszają układ Wamp-Lu; ciągle znajdują sposoby, żeby dostać się do miasta; ciągle uprowadzają naszych mieszkańców i wysysają z nich krew. Czas, żebyśmy sprzeciwili się Agencji, czas, żeby nasze głosy zostały usłyszane. Czas, żeby Dawn Montgomery ustąpiła z funkcji wysłanniczki i pozwoliła

osobie z prawdziwym doświadczeniem i prawdziwą wiedzą  
usiąść do negocjacji z Valentine'em.

Musiałam wydać jakiś odgłos, bo Rachel nagle się odwróciła.

- Przepraszam. - Wyłącza telewizję.

- Nie szkodzi. To nic, czego nie słyszałam wcześniej. - Sięgam  
do lodówki po sok pomarańczowy i nalewam sobie do szklanki.

Usiłuję nie zastanawiać się nad tym, czy Roland Hursch ma rację.

Liczba uprowadzeń wzrosła, ilość oddawanej krwi zmalała. Co ze  
mnie za pożytek dla miasta? Później przypominam sobie, co  
powiedział Victor - że jestem silniejsza, niż mu się wydawało...

Kręcę głową. Nie mam zamiaru brać sobie do serca

komplementów wampira. To notoryczni kłamcy. Zrobią  
wszystko, żeby osiągnąć, co chcą, również Victor.

- Dzieciaki w szkole chyba cię nie dręczą, co? - pyta Rachel głosem  
pełnym troski.

- Daję radę. - U nich nie chodzi o politykę, ale o zwykłą zazdrość.

Pracuję dla Agencji, więc mam ładne mieszkanie, ciuchy,  
wszystko, co chcę. No i poza tym zdobyłam status celebrytki -  
choć mam raczej negatywną prasę, niektórzy mi zazdroszczą.

- Możemy porozmawiać z dyrektorem, dać ci ochronę - proponuje  
Rachel.

- Akurat bym chciała, żeby po korytarzach chodzili za mną  
ochroniarze.

- Byliby w cywilu. Nikt by nie wiedział.

- Rachel, pomyśl o tym, gdzie byłam. W posiadłości Valentine'a.  
Naprawdę sądzisz, że przejmuję się paroma

dzieciakami w szkole, bo pomalowali mi szafkę na czerwono?

- A pomalowali?

- Nie w tym rzecz. W szkole wszystko w porządku. Przygląda mi się przez chwilę.

- Dobrze - mówi w końcu. - Zeszła noc. Co właściwie robił syn Valentine'a?

Opieram się o kuchenny blat i duszkiem wypijam sok. Mój wzrok wędruje do wyblakłego rysunku przyklejonego magnesem z boku lodówki. Dziecięca ręka narysowała go świecącą kredką. Moja ręka. Widać na nim cztery osoby, uśmiechnięte. Moja rodzina. Jedyny obrazek, na którym jesteśmy wszyscy razem. Nie wiem, dlaczego go trzymam. Tak naprawdę nie jesteśmy na nim wcale do siebie podobni.

- Głównie się przyglądał. - Nie wiem, czy powinnam jej powiedzieć o tym, że Victor mnie uratował albo o tym, że jest w mieście, albo o jego wizycie w mojej sypialni, ale z jakiegoś powodu wypowiedzenie tych słów okazuje się trudniejsze, niż myślałam. Nie dlatego, że musiałabym wyznać, co naprawdę robiłam tej nocy z Tegan, ale dlatego że nie jestem gotowa powiedzieć jej wszystkiego o Victorze. Co jest bez sensu. Na pewno nie z powodu głupiej obietnicy złożonej wampirowi. Nie są wiążące.

- Masz rację. Gra w jakąś grę - stwierdza. Ustawia dwa talerze naleśników na blacie kuchennej wyspy. -Jedz.

Siedzę na stołku i polewam naleśniki syropem.



- Więc wymień mi najważniejsze punkty spotkania z Valentine'em  
- prosi.

Już to zrobiłam. Wspomniałam, że był tam Victor. Trudno mi pójść dalej, pominąć to, że był w mojej sypialni, że jego ciało dotykało mojego. To takie osobiste, takie intymne. Podnosząc widelec, wyczuwam nutę zapachu Victora - cierpki i korzenny, który wsiąkł w moje ubranie, kiedy Victor się o mnie opierał. Muszę przestać o nim myśleć.

- Uch, hm, chce więcej krwi - mówię z końcu.

- Mam nadzieję, że przy nim trochę łatwiej się wysławiałaś - mówi, marszcząc czoło.

- Tak. Jestem po prostu zmęczona. To była długa noc. - Ale wytrzymuję. Opowiadam jej o wszystkim, o czym rozmawiałam z Valentine'em. Kiedy kończę, ona mówi mi, żebym postarała się zdrzemnąć. Zanim pójde do szkoły, będę musiała przekazać raport szefowi Agencji.

Mam wrażenie, że mija cała wieczność, zanim kładę się do łóżka. Ostatnią rzeczą, o której pamiętam, zanim morzy mnie sen, jest widok balkonowych drzwi - porządnie zamkniętych, chociaż niewielki z tego pożytek - i niespokojne czekanie, aż słońce przepędzi noc.

Budzę się, kiedy słońce dopiero zagląda w okno mojej sypialni. Cieszę się, że nie może mnie już zaskoczyć żaden wampir. Wstaję ciężko z łóżka, biorę znowu prysznic, wkładam džinsy i czerwoną bawełnianą koszulkę na szarą bluzkę z długimi rękawami. Włosy spletam w dobierany warkocz.

Biorę bluzę z kapturem i moją teczkę wysłanniczki i ruszam do salonu. Rachel unosi brwi z naganą, spoglądając na mnie.

- Dlaczego nie włożyłaś garsonki? - pyta. - Wiesz, że dyrektor chce, żebyś rano złożyła raport na temat spotkania u Valentine'a. Wzruszam ramionami. Nic mu się nie stanie, jak mu przypomnę, ile mam lat.

- Nie pójdę w garsonce do szkoły.

- Możemy wpaść tu po spotkaniu, żebyś się przebrała.

- Nie chcę marnować czasu. I tak się spóźnię. - Nie mam nic przeciwko temu, żeby przepadła mi lekcja historii. Ale nie ma mowy, żebym opuściła lekcję obrony. Tłumię w sobie frustrację, którą rozpaczliwie chcę rozładować od wizyty Victora. Poza tym na tej lekcji jest Michael, a ja nie mogę się doczekać, żeby go zobaczyć. Nie wiem, czy kiedykolwiek tak się za nim stęskniłam.

- Przynajmniej bluzę zostaw w samochodzie - przykazuje Rachel. Nie ma sprawy.

Schodzimy na dół, gdzie czeka na nas czarny sedan.

- Dzień dobry, słońce - mówi Jeff, kierowca. Służy nam za ochroniarza zawsze, kiedy ja albo Rachel jeździmy po mieście w oficjalnych sprawach Agencji. Ma na sobie garnitur i słoneczne okulary. Jego mocno zarysowana szczęka świadczy o tym, że zebrał w życiu sporo ciosów. Po opanowanych dłoniach widać, że potrafi strzelić do każdego celu, w jaki zamierza trafić.

Z początku myślę, że zwraca się do mnie, ale zauważam, że Rachel się rumieni.

- Jeff - mówi tylko. Nieźle! O co tu chodzi?

Jeff otwiera tylne drzwi, Rachel wsiada. Jeff puszcza do mnie oko. Teraz zastanawiam się, czy przypadkiem nie coś innego niż uprowadzenia zatrzymało Rachel na całą noc. Wsuwam się na fotel. Zatrząskuję drzwi.

- Co jest między tobą i Jeffem? - pytam szybko, zanim Jeff wsiądzie za kierownicę.

Rachel posyła mi pełne konsternacji spojrzenie i skupia się na jakichś papierach. Może później spytam Jeffa.

Jedziemy do centrum. Kiedy mijamy Works, skręcamy ostro w prawo i kierujemy się do dzielnicy rządowej. Ulicę za ulicą wypełniają wieżowce mieszkalne - czterdziestopiętrowe budynki, w których mieszkają ludzie ze średniej i wyższej klasy, co obecnie znaczy to samo.

Kiedy wjeżdżamy głębiej w dzielnicę rządową, budynki robią się wyższe, bardziej lśniące, a jeden w jej sercu przypomina gigantyczny kryształowy papieros. Całkowicie przeszklony odbija słoneczny blask. Parkujemy na piętrowym parkingu.

- Czas na występ - mówi Rachel.

W gabinecie dyrektora ścianę za biurkiem wypełnia okno od podłogi do sufitu. Z tej wysokości widać część wysokiej barykady, która okala całe Denver. W pewnych odległościach znajdują się na niej wieże strażnicze, każda z reflektorami i żołnierzami uzbrojonymi w miotacze ognia - przerażająca broń, która sprowadzi istne piekło

na każdego wampira dość lekkomyślnego, by wspinać się po murze.

Rachel stoi obok mnie, kiedy zajmujemy miejsca po drugiej stronie imponującego biurka dyrektora.

- Panno Montgomery - zaczyna Clive, dyrektor Agencji. Jego białe włosy wyglądają tak, jakby przeczesywał je palcami setki razy, a jego lekka postać nie wskazuje na to, że mogłaby wytrzymać ciężar odpowiedzialności, jaka na nim spoczywa, ale dawno przekonałam się, że dyrektora nie można cenić zbyt nisko. Chroni mieszkańców.

- Jak wypadło pani spotkanie z lordem Valentine'em?

Dobra. No to zaczynamy. Mój pierwszy oficjalny raport.

Przedstawiam sprawozdanie ze spotkania najdokładniej, jak potrafię.

Clive jest zupełnie niewzruszony.

- Musisz go przekonać, że potrzebuje mniej krwi; że uprowadzenia to jego wina, a on musi wywalić z naszego miasta tych cholernych krwiopijców! To twoje zadanie; to robili twoi rodzice. Po raz pierwszy mieliśmy nadwyżki krwi, kiedy wysłannikami byli twoi rodzice. Od czasu ich śmierci wszystko straciliśmy.

A moja strata?

- Clive - mówi cicho Rachel. - To był jej pierwszy raz.

- Wiedziałem, że nie jest gotowa - sapie.

- Jestem gotowa! - oznajmiam stanowczo, zaskakując swoim wybuchem nie tylko Rachel i Clive'a, ale samą siebie.

Przypominam sobie, co powiedział mi Victor. -Następnym razem będę kategorierna.

Clive opiera się na krześle i przygląda mi się w skupieniu.

- Przykro mi, Dawn. Wiem, że z Valentine'em niełatwo sobie poradzić. Nigdy nie mogę rozszyfrować, jakie gierki prowadzi. Rodzina Valentine'ów była jedną z najokrutniejszych podczas wojny. To dlatego teraz mają taką władzę. To dlatego dostali Denver jako swoje terytorium.

Wiem, że Denver jest niewiarygodnie cennym miastem o strategicznym położeniu. W Stanach Zjednoczonych pozostało zaledwie dwadzieścia miast otoczonych murami, a nasze łączy pięć zachodnich z pozostałymi czternastoma na Wschodzie. Jeżeli kiedykolwiek nasze miasto zajmą wampiry, wtedy kraj zostanie przecięty na pół. Oba najbliższe miasta, Salt Lake City i Wichita dzieli odległość, której nie można przebyć za dnia. Nie ma szans, żeby w czasie walki wysłać posiłki ani uciec w inne bezpieczne miejsce. Jeżeli upadniemy, pociągniemy za sobą resztę.

- Wiesz, jak nazywano lorda Murdocha Valentine'a w czasie wojny, prawda? - pyta Clive.

- Krwawym Valentine'em - odpowiadam.

- Nie bez powodu. Uważaj tam na siebie. Nie chcę stracić również ciebie.

Clive był drugą osobą, która zobaczyła na drodze spalony powóz z moimi rodzicami.

- Mimo wszystko wykonałaś dobrą robotę jak na twój pierwszy raz. Twój rodzice byli wspaniałymi ludźmi. Byliby z ciebie dumni.

- Tak? - pytam, a oczy Rachel otwierają się szeroko.

Clive waha się, ale wie, że mówię powodowana frustracją.

- To już wszystko.

Rachel i ja wchodzimy do windy. Wpatruję się w cyfry, patrząc, jak się zmniejszają. Jednak czuję, jak Rachel świdruje mnie wzrokiem.

- Rodzice byliby z ciebie dumni - mówi w końcu.

- Nie chcę o nich rozmawiać.

Reszta drogi upływa w milczeniu. Nie chciałam jej odszczekiwać, ale mam pewne nierozwiązane problemy, jeżeli chodzi o moich rodziców. Nigdy o nich nie wspomnę, bo po rodzicach została mi jedynie mała szkatułka z prochami, a w niej nie znajdę żadnych odpowiedzi.

Kiedy docieram do szkoły, korytarze są ciche i puste. Tylko pojedynczy uczniowie zmierzają do gabinetu dyrektora. W pewnym sensie cieszę się, że nikogo nie ma w pobliżu, kiedy otwieram szafkę. Odkąd zostałam wysłanniczką, w szkole jest trochę dziwnie. Wraz z nowym stanowiskiem przyszły pewne ulgi. Nie mam kłopotów przez to, że spóźniam się na lekcje. Mogę oddawać prace domowe w dowolnym terminie albo wcale. Inni trochę zazdroszczą mi przywilejów, ale nie mogę ich winić. Jednak ich złośliwość nakłada się na wyzwania, jakie przede mną stoją, więc wolałabym, żeby się na mnie nie wyżywali.

Kiedy docieram do siłowni i przebieram się w dres, jestem gotowa na ciężkie ćwiczenia. Obrona przed wampirami jest znana bardziej jako: skop wampirowi tyłek.

Jak tylko wchodzę, namierzam wzrokiem Michaela. Rozmawia z kilkoma chłopakami, ale chyba wyczuwa, że jestem, i się odwraca. Odłącza się od grupy i podchodzi do mnie. Boże, jest niezły. Widząc, jak na mnie patrzy, cieszę się, że tu jestem.

- Cześć - mówi, przytulając mnie mocno.  
- Jak tam trening wczoraj wieczorem? - pytam.  
- Czy to ważne? - Śmieje się lekko. - Jak twoja pierwsza noc?  
W porządku, dopóki się nie dowiedziałam, kim naprawdę jest Victor.  
- Dobrze - odpowiadam.  
Czeka, aż zacznę opowiadać. Milczę, więc powtarza za mną.  
- Dobrze?  
- Tak. Dobrze. Prawdę mówiąc, nudno.  
- Stoisz przed głową rodu Valentine, sama, w środku pustkowia, negocjując życie wszystkich w mieście, kiedy jeden błąd może kosztować cię życie, i mówisz, że to nudne?  
- Skoro tak to ujmujesz...  
Przytula mnie znowu, łagodząc sytuację.  
- Jak nie chcesz o tym rozmawiać, w porządku. Po prostu cieszę się, że nic ci się nie stało - mówi.  
- Michael...  
- Nie spałem wcale w nocy. Chciałem tylko znowu cię zobaczyć. Nic innego się nie liczyło.  
Zanurzam się w niego, chcę mu opowiedzieć o wszystkim, co się stało, ale nie mogę go przytłoczyć.  
- Wszystko w porządku - zapewniam. - Nie zobaczę go przez dwa tygodnie. Do tego czasu sama robota papierkowa. Omówię sprawy z Rachel, a ona będzie mnie informować, jak idzie praca Agencji, ale na razie jestem



zwykłą marionetką, jeżeli nie liczyć spotkań z Valenti-ne'em.

- Naprawdę? - pyta Michael.

- Naprawdę.

Odsuwa się i uśmiecha. Może powinniśmy zwać ze szkoły. Mieć trochę czasu dla siebie. Po tym, co przeszłam zeszłej nocy, należy mi się trochę zepsucia.

- Hm, nie jest tu zbyt przytulnie.

Oglądam się i widzę Lilę Hursch zmierzającą do nas. Czerwone włosy ma spięte w kucyk, który kołysze się w rytm jej ruchów. Można ją podsumować trzema słowami: suka, suka, suka. Jestem zaskoczona, że nie stała u boku ojca, kiedy ten perorował przed budynkiem stacji krwiodawstwa. Jest córunką tatusia. Zawsze, kiedy wpadnie w kłopoty, on ratuje ją pieniędzmi i wpływami. Nienawidzi mnie, bo negocjuję z wampirami. Chociaż robię to, żeby chronić jej szyję, nic jej to nie obchodzi. Poza tym od jakiegoś czasu lata za Michaelem. Nie jest to wielką tajemnicą.

- W szkole całowanie jest zabronione - oświadcza, stając przed nami z rękami na biodrach.

- Dawn opowiada mi o wizycie u Valentine'a - mówi Michael, starając się utrzymać serdeczną atmosferę.

- Tak, i jak poszło? - pyta.

- Tajemnica państwowa. Będiesz musiała poczekać, aż mój raport zostanie udostępniony prasie - mówię.

- Tata może go zdobyć. On powinien być wysłannikiem, nie ty.

- Twój ojciec jest zdania, że powinniśmy przestać oddawać krew.
- Dla mnie to nie problem - potwierdza zadowolona z siebie.
- Nie rozumiesz. Zaczęłyby na nas napadać, żeby dostać to, czego potrzebują.
- Zniszczylibyśmy ich za dnia, kiedy śpią. Zaciskam zęby z frustracji.
- Naprawdę musisz się bardziej skupiać na historii. Próbowaliśmy tego. Chyba nie rozumiesz, jaką mają moc. Nie wspominając o tym, że są od nas znacznie liczniejsi.
- Tchórz - wyrzuca z siebie.
- Ej - wtrąca się ostro Michael. - Dawn jest najodważniejszą osobą, jaką znam.

Chyba nigdy nie wzruszyły mnie tak żadne słowa Michaela. Zaciskam dłoń na jego dłoni. On odwzajemnia uścisk.

- Może powinniśmy zrobić sobie kiedyś wycieczkę za mur, niech nam udowodni - mówi Lila.
- Nie ma mowy - protestuję.

Lila zna zasady równie dobrze jak ja. Rząd uważa każdego nieletniego za niedojrzałego i zbyt chętnego do przemiany. Nie pozwala im wychodzić w nocy poza mury. Ale to nie przeszkadza nastolatkom we wspinaniu się na nie. Mury otaczające Denver są tak rozległe, że mimo patroli nie każdy obszar jest pod nadzorem. Dzieciaki zakradają się w takie okolice i forsują mur, szukając sposobu na wydostanie się z miasta. Niewielu się to udaje, bo mur jest wysoki. I dobrze, ponieważ to działa w obie strony - je-

żeli dzieciaki mogą się wymknąć, wampiry mogą dostać się do środka.

Nie zdziwiłabym się jednak, gdyby Lila wspięła się na mur, mając o sobie błędne mniemanie, że jest odważna, a nie bezmyślna.

Nawet teraz w jej oczach lśni furia. Nie może znieść tego, że jestem wyjątkiem i mogę przekraczać mur.

- Nie jesteś naszą szefową - mówi.

- Jesteś naprawdę dojrzała. Zdecydowanie gotowa, by w pojedynkę opuścić miasto.

- Potrafię się o siebie troszczyć lepiej niż ty.

Zanim orientuję się, co się dzieje, powala mnie na ziemię. Moja głowa i biodra uderzają o drewnianą podłogę, w jednej chwili powietrze uchodzi mi z płuc. Siada na mnie okrakiem i unosi pięść. Pozwalam jej na cios, wiedząc, że będzie słaby. Chwytam ją za nadgarstek obiema dłońmi, zanim mnie złapie, i w mgnieniu oka ją przewracam. Biorę głęboki oddech i przyglądam się, jak walczy z moim uściskiem.

Uderzam ją w twarz. Po pląśnięciu rozlega się „oooch” wśród zgromadzonej grupki gapiów.

- Poddajesz się? - pytam kategorycznie.

- Nie, dopóki oddychasz.

Chcę ją uderzyć drugi raz, ale wygląda tak załóżnie, wijąc się na podłodze, że się waham. Wielki błąd. Wykręca się spode mnie, kopiąc mnie w brzuch.

Kiedy stoimy, uczniowie zgromadzeni wokół nas skandują nasze imiona. Nie jestem w stanie powiedzieć, czyje głośniejsze.

Lila atakuje mnie z tą samą ślełą wściekłością, którą emanuje jej ojciec, siejąc swoją antywampirzą propagandę, nawet trochę krzyczy, kiedy mnie okłada. Wykorzystuję jej wściekłość przeciwko niej, z łatwością rzucam ją na plecy jednym ruchem, którego nauczył mnie Jeff. Łąduje z satysfakcjonującym hukiem. Nagle silna dłoń zaciska się na mojej ręce i ktoś mnie odciąga. Trzyma mnie pan Timmons, główny trener obrony. Jego asystentka, pani Richards, przytrzymuje Lilę, żeby się na mnie nie rzuciła. Czuję dumę, mając świadomość, że ważniejszy nauczyciel przytrzymuje mnie, nie Lilę.

- Zachowaj to dla wampirów - mówi rozkazującym tonem.

- To ona zaczęła - piszczy Lila. Przewracam oczami. Nie do wiary. Pan Timmons ciągnie mnie w stronę manekinów.

- Ćwiczenia z kołkiem! - krzyczy. Wyswobadzam się z jego uścisku i kieruję się w stronę

manekinów stojących rzędem pod ścianą. Dzieciaki ustępują mi z drogi, a ja wiem, że moje ruchy i mina przekazują wiadomość: nie zadzierać ze mną. Tylko Michael ma odwagę, by za mną pójść.

- Dlaczego nie powiedziałaś Timmonsowi, że to Lila zaczęła?

- Mam ważniejsze rzeczy na głowie, nie będę się nią przejmować. - Mijam manekina i biorę kołek spod ściany, pod którą leżą starannie poukładane. Wybieram ładny z ciężkiego metalu.

Wbijam go w manekina. Uderzenie

prosto w serce. Wiem, bo dookoła kołka zaczyna spływać czerwony żel.

Serce wampira wykrwawia się z taką prędkością, że nic nie może tego powstrzymać. Dopóki kołek tkwi w sercu, dopóty rana nie może się zagoić. W ciągu czterech, pięciu uderzeń wampir umiera. Kule nie działają. Są za małe. Serce goi się, wypychając każdą kulę na zewnątrz albo zasklepiając się po tym, jak kula przejdzie na wylot. To dlatego kołki działają. Pierwsze uderzenie ogłusza wampira, osłabia na tyle, że człowiek może go utrzymać, żeby się wykrwawił.

- Myślałaś kiedyś o tym, żeby zrobić to Valentine'owi? - pyta cicho Michael.

Valentine'owi, a teraz Victorowi. Nigdy nie byłam po imieniu z wampirami. Nie podoba mi się to.

- Cały czas. - Jako wysłanniczka i idealny pośrednik pomiędzy wampirami i ludźmi powinnam być neutralna. I taki powinnam zachować wizerunek. Ale po walce z Lilą nie jestem w nastroju, żeby silić się na dyplomację.

Wbijam kołek w manekina jeszcze raz. Przesadzam i wbijam go głęboko w plastikowy tors. Ściskając kołek, usiłuję go wyciągnąć, ale jest zbyt głęboko. Już mam podłożyć tuż pod nim stopę, żeby łatwiej się odepchnąć, ale chwyta go Michael.

- Spokojnie - mówi z uśmiechem. - Jesteś naprawdę wkurzona, co?

Biorę pierwszy głęboki oddech od czasu przepychanki z Lilą. Boże, jak ona mnie denerwuje.

Michael wykręca kołek i powoli go wyciąga, a później podrzuca go i podaje mi.

- Nadal chcesz czekać, żeby wieczorem oglądać wjazd Nocnego Pociągu?

Nocny Pociąg jest jedynym pociągiem, jaki jedzie przez kraj, porusza się niemal bez przerwy, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dosłownie, jeden pociąg, jedne tory. Został wpisany do układu Wamp-Lu jako alternatywa dla dalekich podróży, teraz, kiedy samoloty są zakazane. Jest wolniejszy, bardziej trzęsie, jest mniej punktualny, ale spełnia swoją funkcję. Rozwozi głównie krew i inne dobra między miastami, zabiera pasażerów i przewozi pocztę. Wiem, brzmi nudno. I w dzień rzeczywiście byłoby nudno. Ale w nocy... toczy się po pustkowiach i zaledwie centymetr stali dzieli pasażerów od tysięcy wygłodniałych wampirów - ta myśl przyprawia mnie o dreszcz.

Każde miasto jest wyspą. To zasadnicze założenie Wamp-Lu. Dostawy towarów z jednego do drugiego są wystarczająco trudne, ale przekazywanie informacji jest prawie niemożliwe.

Wampiry nie chciały, żeby ludzie porównywali notatki.

Moglibyśmy mieć agenta, który raz w roku robiłby rundę Nocnym Pociągiem, dostarczając bieżące informacje do każdego miasta. Ale poza tym cisza. Wszystkie wiadomości to lokalne wiadomości. Wszystkie radiowe i telewizyjne audycje są nagrywane w mieście, dla mieszkańców. Czasami odnoszę wrażenie, że świat za murem mógłby zupełnie zniknąć i trzeba by lat, żeby się zorientować. Wampiry zniszczyły wszystkie środki komu-

nikacji z innymi poza murem. Jest pewna tradycja: kiedy ludzie odwiedzają inne miasto, przywożą ze sobą tyle gazet, ile tylko się da. Nawet jeśli nie są dla nas ważne albo są nieaktualne, czytamy je, bo pozwalają nam czuć się częścią większego świata. Czuć się częścią ludzkiej społeczności.

Nocny Pociąg służy jako symbol tego, że chociaż zostaliśmy odizolowani, nie jesteśmy sami w naszych zmaganiach. Jesteśmy delikatnie połączeni.

Michael i ja mamy zwyczaj, który zapoczątkowaliśmy jako dzieci: razem patrzymy, jak pociąg wjeżdża do miasta. Nie jestem pewna, kiedy to się zaczęło, ale zawsze było tak naturalne jak bicie serca. Uśmiecham się do niego.

- Nie opuściłabym tego. - Dotykam jego ręki. - Ani bycia z tobą. Widzę, że chce mnie pocałować, ale to jedyne zajęcia, na których naprawdę stara się zrobić dobre wrażenie i stosować do zasad, bo bez dobrej oceny od pana Timmonsa nie zrealizuje elitarnego programu.

- Ja też - mówi. - Mam ćwiczenia po szkole. Spotkamy się w Daylight Grill jak skończę?

- Dobra, super. Ja i tak muszę zostać po szkole, żeby pracować nad projektem. Nie powinno mi to zająć dużo czasu.

- Pamiętaj, żeby dotrzeć tam przed zmrokiem.

- Jasne. - Uśmiecham się. Jego troskliwość sprawia, że robi mi się ciepło. Wiem, że Michael zrobiłby wszystko, żeby zapewnić mi bezpieczeństwo.

Nagle, jakby chciał dowieść mi swojej zręczności, odwraca się i wbija kołek w trzy manekiny z rzędu, tak że z każdego leci czerwona struga. Jego ruchy są wymierzone i skuteczne. Mam wrażenie, że gdyby Michael kiedykolwiek znalazł się poza murem, przeżyłby... w każdym razie przez jakiś czas.



Po lekcji obrony idę na wampirzą metodologię, jedną z niewielu lekcji z Tegan. Ona specjalizuje się w psychologii wampirów, działaniu ich pradawnych umysłów. Podnosi rękę po każdym pytaniu zadany przez nauczyciela, a kiedy oddajemy ostatnie testy, ona, oczywiście, zagina nas wszystkich. Więc, *summa summarum*, nic nowego. Kiedy dzwoni dzwonek, Tegan i ja idziemy do kawiarni.

- W całej szkole huczy, że pobiliście się rano z Lilą - mówi Tegan.

- A co mówią, kto wygrał? - pytam.

- Zależy od opinii na temat wysłannika. Większość twierdzi, że wygrała Lila, ale ja stawiam na ciebie.

- Nadal stałam, kiedy nas rozdzielano, więc śmiem twierdzić, że masz rację. - Uśmiecham się.

Wybucham śmiechem, wydając z siebie bulgoczący odgłos, który zawsze poprawia mi humor, nawet w najgorsze dni.

- Totalna suka.

W kawiarni bierzemy tace i przesuwamy się z kolejką. Kelnerka od dań głównych wrzuca mi na talerz pulchny kawałek kurczaka.

- Musisz zachować siły - mówi, puszczając mi oko. Kobieta od warzyw daje mi pół porcji ryżu i groszku, prychnąc.

Tak wygląda moje nowe życie wysłanniczki. Stałam się dziewczyną, którą się kocha albo nienawidzi.

Tegan bierze tacę i idzie za mną do pustego stołu pod oknem.

Michael zwykle przyłącza się do nas na lunch, ale jest teraz w siłowni na dodatkowych ćwiczeniach, bo na wieczór mamy plany. Jak tylko zajmujemy miejsca, Tegan korzysta z chwili prywatności i nie tracąc czasu, zadaje mi ważne pytanie:

- Jak zeszła noc, jak twój pierwszy raz sam na sam z Valentine'em?

- Trochę strasznie, jeśli mam być szczerą.

- Ja zawsze chcę szczerości. Zwłaszcza jeśli chodzi o Stary Ród.

Wszystko, co robią, jest takie... wyrachowane.

Myślę o Victorze i wiem, że to odnosi się także do niego. O co naprawdę mu chodziło, kiedy przyszedł do mojej sypialni? I dlaczego udzielił mi rady dotyczącej ojca?

- Może następnym razem powinnam pojechać z tobą - stwierdza Tegan. - Zobaczyć go na żywo, to byłoby niesamowite.

- Nie ma mowy.

- Przestań. Mogłabym ci pomóc. Mogłabym nawet pomóc Agencji.

Wychwyciłabym szczegóły, których ty

nie zauważasz. To znaczy, jesteś niezła, Dawn. Ale nie rozumiesz psychiki wampirów tak dobrze, jak ja.

- Nie, Tegan - odpowiadam szorstko, żeby się zamknęła. - Nie wiesz, jaki on jest. Nie jest szczurem doświadczalnym, na którym można prowadzić badania. Uwierz mi.

Jest rozczarowana, bawi się kurczakiem, lekko wydymając wargi, czym nic u mnie nie zwojuje.

- Domyślam się, że nie powiedziałaś Michaelowi o przystojnym Strażniku Nocy - mówi po chwili.

Wpatruję się w nią przez chwilę zdezorientowana, a po chwili dociera do mnie, że chodzi jej o Victora. Tak, racja, nie powiedziałam jej jeszcze, że nie jest żadnym Strażnikiem Nocy. Powinnam jej powiedzieć. Mogłaby przeprowadzić tę swoją ocenę psychologiczną i pomóc mi go rozgryźć. Ale za to rozgadałaby wszystkim, że wampir ze Starego Rodu kręci się po mieście. Równie dobrze mogłabym dać jej do tego megafon. Nie, muszę kontrolować tę informację i udostępnić ją tym, którym będę chciała, i wtedy, kiedy będę chciała. Więc słyszę swój głos:

- Ach, to. W pewnym sensie obiecałam mu, że nasze spotkanie zachowamy w tajemnicy.

- Oj, jasne. - Pochyla się. - Ale w tym rzecz. Dużo o tym myślałam i stwierdzam, że mam pewną lukę w pamięci. Odkąd wyszliśmy z imprezy do chwili, gdy obudziłam się w samochodzie, przepuszczając nawet atak wampirów, o którym mi mówiłaś, wydaje mi się, że... nie wiem. Minęło za dużo czasu. Co robiłyśmy?

- Po prostu jeździliśmy. - Dławi mnie poczucie winy. Dlaczego jestem lojalna wobec Victora i okłamuję Tegan?

- Więc nie wiesz, jak się z nim skontaktować? Poważnie?

- Nie.

- Chciałabym, żeby mógł z nami pogadać, na przykład w dniu kariery czy coś takiego.

Akurat.

- Ciekawe, czy w ogóle jeszcze go zobaczymy - zastanawia się.

- Pewnie nie - kłamie.

Dziewczyna może mieć nadzieję, prawda?

Po szkole, kiedy wertuję kilka naukowych książek, które ma nasza szkoła, cieszę się, że mam czym zająć myśli. Powinnam była oddać projekt w zeszłym tygodniu, ale spędzałam więcej czasu z Rachel, przygotowując się do pierwszego samodzielnego spotkania z Valentine'em. Dziś mój nauczyciel historii, pan Chen, po prostu wręczył mi klucze do klasy i kazał mi ją zamknąć, jak skończę.

Moja praca opisuje największe bitwy podczas wojny. Szczególną uwagę zwracam na Bitwę pod Samotnym Wzgórzem. Była to ostatnia bitwa, w której walczył mój brat, zanim wrócił do domu i dostał pracę w Works. Wypracowanie jest nie bardzo wygładzone i nie wszystkie źródła są poprawnie przytoczone. Dostanę trójkę, może czwórkę. Najważniejsze, że zaliczę.

Spoglądam na zegarek. Pracowałam nad tą bzdurą dłużej, niż myślałam. Słońce zaczyna zachodzić. Michael pewnie już na mnie czeka w Daylight Grill.

Chwytam aktówkę, kładę pracę na biurku pana Chena i ruszam do drzwi. Kiedy zamykam klasę i chowam klucz do kieszeni, dociera do mnie, że szkoła stała się straszna. Co chwilę słyszę echo kroków, może inny uczeń też został dłużej i chodzi po korytarzu. Gdzieś trzaskają drzwi, inne otwierają się, skrzypiąc. Mam wrażenie, że otaczają mnie duchy. Słyszę je i czuję, ale nikogo nie widzę.

Dreszcz przebiega mi po kręgosłupie i czuję się niedorzecznie, że boję się tego miejsca. Mam przecież do czynienia z samym Valentine'em. Ale nie mogę pozbyć się wrażenia, że jestem obserwowana. Dostaję gęsiej skórki na karku.

Idę korytarzem spokojnym krokiem, większość światel jest wyłączona, żeby oszczędzać prąd, kiedy szkoła jest nieczynna. Gdy podchodzę do drzwi prowadzących na zewnątrz, widzę, że są zamknięte na kłódkę.

- Coś takiego - mówię głośno, potrząsając nimi. Muszę znaleźć inne wyjście.

Wtedy właśnie to czuję: ruch, tuż za mną. Odwracam się i widzę kogoś patrzącego na mnie z końca korytarza, z którego właśnie przyszedłam. Ma na sobie bluzę z kapturem naciągniętym na głowę tak, że całkowicie zasłania mu twarz. Jest brudny, pokryty czarną sadzą. Stoi i patrzy na mnie.

Nasłuchuję odgłosów kogoś innego, kto mógłby mi pomóc, gdyby ten chłopak nie był zwykłym podglądaczem. Nic. Wokół panuje cisza.

Przyspieszam kroku i ruszam innym korytarzem, niepewna, dokąd prowadzi, bo nigdy wcześniej tu nie byłam.

To miejsce szybko może okazać się labiryntem, a im dalej się zabrnę, tym trudniej się wydostać. Zerkam za siebie, ale Kaptur nie idzie za mną. Czuję ulgę, ale przyspieszam kroku, aż skręcę za następny róg i...

Tu jest. Patrzy na mnie z głębi korytarza, Słyszałabym go. Nawet gdyby znał skrót, usłyszałabym go. Chce mnie przestraszyć albo coś gorszego.

Nie jest zbyt wysoki, więc może zdołam go pokonać. Ale zdecydowanie większe szanse mam w biegu. Rzucam się do ucieczki. Wybieram przypadkowe korytarze i biegnę, mając nadzieję, że nie okażą się ślepyimi uliczkami.

Biegnę z całych sił i nagle wpadam na ścianę. W każdym razie, tak mi się wydaje. Łąduję na tyłku, podnoszę wzrok i widzę Kaptura tuż przede mną.

Uderzam go z całej siły, ale on nawet nie drgnie. Poruszał się tak szybko, że nie mogłam go prześcignąć. Milczy. Dobrze wiem, kim jest. Wampirem.

Cień osłania jego twarz, więc nie mogę mu się dobrze przyjrzeć ani zobaczyć jego kłów, ale wiem, że je ma. Szybko wyciągam kołek z buta i wstaję. Utrzymuję równowagę, stojąc na poduszkach stóp, żeby poruszać się sprawniej, i ściskam kołek.

- Jak chcesz mojej krwi, musisz o nią powalczyć -mówię.

Przechyliła głowę, jakby był zdezorientowany, a nawet rozczarowany. Nagle odwraca się i zaczyna oddalać.

Z tyłu kaptura ma wzór, a raczej kiedyś miał. Teraz jest spłowiały, wyblakły prawie do granic nieistnienia.

Nie mogę dociec, jaki był na początku, ale to, co pozostało, przypomina olbrzymiego węża.

Zabawne, że człowiek zauważa takie rzeczy nawet wtedy, kiedy serce bije mu milion razy na minutę.

Nie mam odwagi za nim iść. Gdybym skradała się szybko, może udałoby mi się zadać mu śmiertelny cios w plecy. Ale jaki to ma sens? Jeden fałszywy ruch i nie żyję. Może kiedy podszedł do mnie bliżej, stwierdził, że nie jestem w jego typie? Niektóre wampiry takie są. Musi być A plus albo B minus, albo zero. A może mi się upiekło i trafiłam na wybrednego. A może po prostu mnie straszył, podgrzewając mi krew na później.

Nie spuszczam z niego wzroku, dopóki nie znika w korytarzu. Przez budynek przetacza się grzmot, a na zewnątrz szaleje sucha burza.

Idąc przez szkołę, uświadamiam sobie, jak jestem zdenerwowana. Kluczę po korytarzach kilka minut, zanim trafiam na portiera, który może mnie wypuścić.

- Zna pan chłopaka, który nosi kaptur z węzłem z tyłu? - pytam z nadzieją, że to jakiś chłopak z obsługi ze spaczonym poczuciem humoru.

- Nie, ja tu tylko sprzątam. - Otwiera drzwi, wypycha mnie na schody. Drzwi zatrząskują się z odgłosem, który rozbrzmiewa we mnie echem.

Ciemne chmury przesłaniają słońce. Puszczam się biegiem w stronę Daylight Grill.

Dzień zamienia się w noc, kiedy docieram do Daylight Grill. Jestem rozczarowana, kiedy widzę, że Michaela jeszcze nie ma. Zamawiam gorącą czekoladę i siadam przy pustym stoliku pod oknem. Chyba nie panuję nad drżeniem. Żałuję, że przegapiłam zachód słońca. To dziwne, ale uwielbiam go oglądać, choć jest sygnałem dla potworów, by wejść do gry. A jednak mnie uspokaja.

Na ulicy Diennej wrażenie jest zupełnie odmienne. Kiedy cienie się wydłużają i skradają między budynkami, włączają się wielkie uliczne latarnie. Po chwili jest znów jasno jak za dnia. W końcu całe Denver będzie tak wyglądało: dzienne światło przez cały czas, żeby ludzie czuli się bezpiecznie. Niestety, sztuczne światło nie jest wielkim postrachem dla wamp...

- Czy to miejsce jest zajęte?

O wilku mowa. Odwracam gwałtownie głowę i widzę Victora, wpatrującego się prosto we mnie, z kubkiem kawy w ręce. Karygodne, że taka piękna twarz musi należeć do wampira.



Victor zdecydowanie jest ostatnią osobą, którą chcę widzieć w tej właśnie chwili.

- Tak, prawdę mówiąc, jest zajęte, więc się ode mnie odwal.

Nie robiąc sobie zupełnie nic z mojego protestu, siada naprzeciwko mnie, obiema dłońmi obejmując kubek, który stawia na stole. Jego wzrok jest tak intensywny, jakby potrafił przejrzeć mnie na wskroś.

- Co się stało? - pyta.

- Czekam na kogoś - mówię dobitnie, nie trudząc się, żeby ukryć irytację.

- Nie, drżysz. Wyczuwam tu wibracje. Wampiry posiadają niewiarygodnie wyostrzone zmysły.

- Chcę, żebyś sobie poszedł.

- Coś się wydarzyło, Dawn. Opowiedz mi. - Kładzie dłoń na mojej. Jest taka ciepła, że uświadamiam sobie, jak zimna jest moja. Wyrywam dłoń. Nie chcę, żeby mnie pocieszała. To zadanie Michaela. Gdzie on jest, do cholery?

- Nie twój cholerny interes - warczę. Ale nagle złość bierze górę nad strachem, pochylam się i szepczę ostro. - W tym mieście jest stanowczo za dużo wampirów.

Victor mierzy mnie uważnie wzrokiem. Kontroluję sytuację. Nie jest ich tak dużo.

- Kiepsko ci wychodzi to kontrolowanie sytuacji. Jak jeszcze raz któryś się do mnie zbliży, to wyjmę kolek...

- Znowu zaatakował cię wampir? Gdzie?

Czyżbym słyszała złość w jego głosie? Nie skierowaną do mnie, ale wobec niewidzialnego wroga? Porusza mnie to, sprawia, że zaczynam jeszcze raz myśleć o tym, co mogło się stać.

- Nie, nie zaatakował. Tylko śledził. W szkole. Nie wiem, co chciał zrobić. - Zakładam sobie ręce na piersi i przesuwam po nich dłońmi w górę i w dół. - Może tylko przestraszyć. Może nawet to nie wampir, słońce było jeszcze na niebie, chociaż było pochmurno. Nie przyjrzałam mu się dobrze. Twarz miał zasłoniętą kapturem. Nieważne.

Skoro słońce było na niebie, to nie mógł być wampir.

Logicznie rzecz biorąc, wiem o tym. Tylko że ten koleś był taki... dziwny. A poza tym nie chcę, żeby Victor uznał mnie za nieracjonalną.

- Może miał kryjówkę gdzieś w szkole.

- To możliwe. Mój ojciec... - zawahał się.

- Co? - dopytuję.

- Mógł kazać komuś cię śledzić. Wiem, że kazał komuś śledzić twoich rodziców.

- Żartujesz.

- Chyba nie myślisz, że zdaje się na wysłannika, żeby przyniósł mu wszystkie informacje.

- Sukinsyn. - Wyglądam przez okno. Gdzie jest słońce, kiedy go potrzebuję? Później spoglądam gniewnie na Victora. - To dlatego jesteś w mieście? Żeby dla niego szpiegować?

- Nie jestem tu po to, żeby wypełniać jego polecenia.

- Więc po co?

- Może gdybyśmy byli przyjaciółmi albo sprzymierzeńcami. .. Ale, cóż, powiedziałaś, że tak się nie stanie, więc moje motywy zachowam dla siebie. Ale daję słowo, że moja obecność nie naraża ludzi na niebezpieczeństwo.

- Tak, jasne. Musiałeś to powiedzieć, prawda? - Pocieram czoło. - Powinnam powiedzieć Agencji, że tu jesteś.

- A nie powiedziałaś?

Nie zamierzałam się do tego przyznawać.

- Nie było okazji, żeby poruszyć temat. Czas mnie gonił. Musiałam iść do szkoły, więc ważniejsze było omówienie negocjacji z twoim ojcem.

- Dziękuję - mówi cichym, uwodzicielskim głosem, od którego czuję się rozkosznie. Co się ze mną dzieje? Dlaczego przejmuję się tym, czy jest zadowolony?

- Proszę, możesz iść? - pytam.

- Nie będę długo.

- Nie rozumiesz? Wolałabym, żeby nie było cię wcale.

Przygląda mi się przez minutę, jakby próbował stwierdzić, czy mówię prawdę. Poza pogrożeniem kołkiem nie mam innych argumentów, by przeforsować swoje stanowisko.

- Dobrze. Przyszedłem tu, żeby dać ci to. Miałem to zrobić dziś rano, ale... hm, byłem trochę rozkojarzony. -Sięga do kieszeni dzinsów i kładzie na stole między nami mój telefon komórkowy.

Chwytam go. Jeszcze nie zebrałam się na odwagę, żeby powiedzieć Rachel, że go zgubiłam. I na pewno mogłabym z niego skorzystać, kiedy w szkole śledził mnie Kaptur.

- O mój Boże, wróciłeś po niego?

Wzrusza ramionami, jakby nie było to nic wielkiego. Ale w okolicy mogły być inne wampiry. Albo Strażnicy Nocy przeszukujący tramwaj. Z jednym martwym wampirem w środku. Nie chcę czuć wobec niego wdzięczności, ale to właśnie czuję, cholera.

Włączam telefon. Są wiadomości od Michaela. Nieodebrane połączenia.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Dziękuję?

Podnoszę wzrok i spoglądam na niego. Zupełnie nie jestem w stanie zrozumieć jego motywacji. Czego ode mnie chce? Wampiry nie robią niczego, jeżeli nie spodziewają się korzyści.

- Tak, dziękuję.

- Nie ma za co - odpowiada Victor, jakbyśmy byli znów w posiadłości Valentine'a i musieli zachowywać się grzecznie i oficjalnie.

Ponieważ wygląda na to, że nie zamierza odejść, postanawiam przeprowadzić małe przesłuchanie, a jeżeli wprawię go w zakłopotanie, tym lepiej. Nie jestem w posiadłości i nie znajduję się pod baczny okiem jego ojca, więc mam więcej swobody, żeby zapytać, o co chcę.

- Więc walczyłeś na wojnie? Waha się.

- Tak - odpowiada cicho.

- Jak długo?

- Od początku.

Trzydzieści lat. Wpatruję się w niego, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Brady walczył tylko dwa lata, a zaszła w nim tak wielka zmiana, że nawet ja, chociaż byłam dzieckiem, zauważyłam ją. Kiedyś radosny i optymistyczny, nabawił się głębokiej depresji. Pamiętam, że czasami wpatrywał się w próżnię i nie było sposobu, żeby przywołać go do rzeczywistości. Nikt nie wie, jakie koszmary nawiedzały co noc jego umysł. To wszystko

po zaledwie dwóch latach. Zastanawiam się, jaką cenę za trzydziestoletnią walkę zapłacił Victor. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, że wampiry, ze swoją nieśmiertelnością i zdolnością szybkiego leczenia niemal wszystkich ran, nie mają nigdy przerwy w walce.

- Pewnie powinienem pójść - mówi Victor, skrepowany moim milczeniem.

- Tak, zdecydowanie.

- Zobaczą, czy uda mi się dowiedzieć czegoś o tym chłopaku, który wystraszył cię w szkole.

- Nie. - Nie chcę od niego żadnej przysługi. Nie chcę, żeby miał pretekst, żeby ze mną rozmawiać. - Mój chłopak się tym zajmie. Michael jest niezły. A propos, naprawdę lepiej, żeby cię tu nie było, jak się pojawi, bo...

- Victor, o mój Boże! Bałam się, że już nigdy cię nie zobaczę - wybucha Tegan, opadając na miejsce obok niego, jakbyśmy ją zaprosili. Nie jestem zaskoczona, że ją tu widzę. Daylight jest głównym miejscem spotkań wszystkich z naszej szkoły. Jednak jej obecność jest jak klątwa bogów. Wreszcie się go pozbywałam.

- Chyba wydobrzałaś? - mówi Victor, uśmiechając się do niej. Zdumiewające jest to, jak panuje nad kłami w obecności ludzi.

- Zupełnie. Okropnie mi wstyd, że widziałeś mnie w takim stanie.  
- Tegan spogląda na mnie, na Victora, i znowu na mnie. - Co wy tu robicie?

- Ja czekam, aż Michael skończy trening. Victor znalazł się tu przypadkiem.

- Niesamowite. Że nasze ścieżki znów się skrzyżowały, tak szybko. Co? To musi być przeznaczenie.

- Chyba nie - mówi Victor. - Muszę iść.

- Żeby chronić mieszkańców - szepcze Tegan, pochylając się do niego. - Wiem. Ale twoja tajemnica jest bezpieczna.

- Mam nadzieję. - Victor przenosi wzrok na mnie.

Nabieram dziwnego wrażenia, jakbyśmy byli połączeni na płaszczyźnie, która wcześniej nie istniała. To wróg, przypominam sobie, a później dociera do mnie, że kiepsko ze mną, skoro muszę sobie o tym przypominać.

Tegan nie spuszcza z niego wzroku, kiedy wychodzi. Szczerze mówiąc, ja też nie. Jego kroki są długie, pewne, spokojne.

Stanowcze. Pewnie potrafiłby zniszczyć wszystkich w tym budynku, zanim zdążyłabym wyjąć kołek z buta.

- Rany! Nie mogę uwierzyć, że znów na niego wpadliśmy! -

Tegan odwraca się do mnie twarzą. - On tak na ciebie patrzył...

Chyba cię lubi. No, wiesz. Naprawdę cię lubi.

- Co? Nie. Nie ma mowy. Po prostu... oddał mi komórkę. -

Wyciągam telefon i pokazuję jej, jakbym potrzebowała dowodu dla moich słów. - Znalazł ją.

- Musiał mieć szczęście.

- Wiedział, gdzie ją zgubiłam. Nic wielkiego.
- To czemu jesteś podenerwowana?
- Nie jestem. I nie jestem wampirem, więc nie musisz mi robić psychoanalizy. - Pochłania nas dziwna cisza, a ja wiem, że jej wyczulony umysł rozbiera mnie na czynniki pierwsze. Tak, uwielbia lekcje psychologii wampirów, ale zaskakujące, z jaką łatwością przekłada tę wiedzę na ludzi. Czuję ulgę, kiedy pojawia się Michael.
- Hej - mówi, siadając na krześle obok mnie, obejmuje mnie za szyję i pochyla się, żeby dać mi całusa. Przy nim czuję się bezpieczna, a ostatnie ślady dwóch dziwnych spotkań - z chłopakiem w szkole i z Victorem - znikają.
- Jezu, czemu nie umówiliście się gdzie indziej - mruczy Tegan. Michael uśmiecha się szeroko, prostując się, i opuszcza rękę po moim ciele, wciąż mnie obejmując.
- Nie spodziewałem się, że cię tu spotkam - mówi do Tegan.
- Nie widziałeś mnie? Czyżby szkoleni Strażnicy Nocy nie musieli być uważni?
- Jesteśmy. I dlatego wiem, że coś jest nie tak. - Spogląda znów na mnie. - Byłaś... rozkojarzona jeszcze sekundę temu. Tegan wypowiada bezgłośnie „ooo”, i wiem, że myśli, że to z powodu Victora i może w pewnym sensie tak jest. Ale w umyśle mam wciąż Kaptura.
- To tylko gonitwa myśli - zapewniam go.
- Daj spokój, Dawn, co się dzieje? Wiem, że nie odpuści. To instynkt łowcy.

- Kiedy wychodziłam ze szkoły... po korytarzach gonił mnie wampir.

- Kurczę, nie powiedziałaś mi - wtrąca Tegan.

- Nie miałam okazji. A zresztą ty nic byś na to nie poradziła. - Ale Michael... Widzę, jak się zmienia pod wpływem instynktu łowcy. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie zrobiłam źle, mówiąc mu o tym. Jest niezły, ale jeszcze nigdy nie miał do czynienia z wampirem.

- Jesteś pewna? - pyta. Kiwam głową, a potem nią kręcę.

- Nie wiem. Nie widziałam kłów, ale był szybki, szybszy niż powinien. Kiedy zagroziłam mu kołkiem, po prostu odszedł.

- Słońce jeszcze świeciło? - pyta Michael.

- Tak, ale było pochmurno, może schował się w szkole. A może przeszedł zeszłej nocy i na mnie czekał.

- A może to wcale nie był wampir - mówi.

- Tak, jasne. Może mam po prostu świra. - Jestem wściekła, że nie wierzy mi na słowo.

Ale Michael chwyta mnie za rękę.

- Nie, nie to chciałem powiedzieć. Parę dni temu słyszałem plotki, że jakieś dzieciaki mają coś do ciebie. Jakieś protesty przeciwko wysłannikowi, pewnie pomysł Liii.

- Nie powiedziałaś mi?

- Plotek krąży sporo, nie chciałem zawracać ci nimi głowy, bo czekał cię pierwszy samodzielny wyjazd.

To brzmiało sensownie, o wiele lepiej niż jakiś szalony, dziki wampir, który dał mi spokój, chociaż byłam



łatwym celem. Lila miała ogromny wpływ na swoje wielbicielki. Może próbowała zrobić wrażenie na ojcu, strasząc wysłanniczkę: miała zemsta za lekcję obrony przed wampirami z dzisiejszego ranka.

- Zajmę się tym - zapewnia Michael. - Dojdę, skąd wyszła plotka, nie martw się. Ale od tej pory nie będziesz już zostawała w szkole po lekcjach, okej? Będę w pobliżu, kiedy tylko się da.

Ścisła mnie mocno, a ja czuję się lepiej. Michael ma pewnie rację: jakiś głupi gówniarz w kapturze chciał mi zagrać na nerwach. Dzwoni mój telefon. Wydobywam go z kieszeni dzinsów i spoglądam na wyświetlacz. Rachel, wypowiadam bezgłośnie, zanim odbieram.

- Cześć.

- Gdzie jesteś? - pyta.

- W Daylight Grill z Michaeliem i Tegan.

Słyszę lekkie westchnienie i wiem, że jest rozdarta pomiędzy chęcią chronienia mnie a świadomością, że powinna pozwolić mi rozwinąć skrzydła. Nie ma doświadczenia w byciu rodzicem, ale szybko się uczy.

- Michael i ja idziemy oglądać przejazd Nocnego Pociągu. Nie będę długo - obiecuję, domyślając się, że w tym tkwi problem. -1 Michael odprowadzi mnie do domu.

- Nie jestem przekonana, czy to taki dobry pomysł - zaczyna.

- Będą ludzie. Nic mi się nie stanie. Zawsze to robimy. Przecież wiesz.

- Tylko uważaj. I zaraz potem wracaj prosto do domu.

- Dobrze. - Rozłączam się i wzruszam ramionami. -Rachel i jej rodzicielska troska. Nie mogę być długo.

Michael ma zmarszczone czoło, ale nie sądzę, że ma to coś wspólnego z Rachel.

- Myślałem, że zgubiłaś telefon.

Ściska mnie w żołądku. Nie cierpię go okłamywać, ale nie chcę, żeby dociekał prawdy.

- A tak, okazało się, że był na dnie teczki. Bateria padła. Nie mogłam go znaleźć w tych wszystkich śmieciach. Chyba powinnam zrobić dziś porządek. Z torbą. Nie z telefonem. - Bredzę, wiem, starając się ukryć kłamstwo. Ostatnio okłamuję wszystkich i nie mogę tego znieść.

- Ja tak mam cały czas - wtrąca Tegan, pomagając mi.

- Idziesz z nami oglądać Nocny Pociąg? - pytam, odwracając uwagę Michaela.

- Nie. Pokręcę się tutaj. Kto wie, może pojawi się ktoś interesujący?

- Porusza brwiami, a ja wiem, że ma nadzieję, że Victor wróci.

- Chyba powinniśmy iść - stwierdza Michael.

- Bawcie się dobrze, dzieciaki - mówi Tegan, machając nam dłonią.

- Nie dajcie się pogryźć wampirom.

Zastanawiam się, jak by się czuła, gdyby wiedziała, że nie dalej jak dziesięć minut temu flirtowała z jednym z nich.

Kiedy maszerujemy w stronę jednej jedynej stacji kolejowej, Michael obejmuje dłonią moją dłoń. Gdy byliśmy dziećmi, zawsze trzymaliśmy się za ręce, żeby nie zgubić się w tłumie. Teraz robimy to, bo lubimy poczucie, że należymy do siebie.

- Jak zobaczysz tego dupka, który nastraszył cię w szkole, wyślij go do mnie - mówi Michael. - Pójdziemy na małą randkę.

- Chyba przesadnie zareagowałam. - Nagle wszędzie widzę wampiry.

- Nie reagujesz przesadnie. Nie byłaś taka nawet jako dziecko.

- A wtedy na podwórku, jak zrzuciłam cię z huśtawki, bo nie przyniosłeś mi prezentu?

- Nie wiedziałem, że masz urodziny. - Uśmiecha się promiennie.

Miałam osiem lat. Myślałam, że powinien dać mi prezent, bo jesteśmy przyjaciółmi. Zrobił to po szkole.

- Jeszcze go mam, wiesz? Kamień, który mi dałeś.

- No i dobrze, bo ja mam jeszcze bliznę na łokciu po tym, jak, upadłem na ziemię.

Uśmiecham się. Michael zawsze umie znaleźć odpowiednią perspektywę. Jest w moim życiu od bardzo dawna, był we wszystkich ważnych i mniej ważnych chwilach. Nie mieści mi się w głowie, że mogłoby go nie być.

Na chodniku zaczyna być tłoczno. Wyobrażam sobie to miejsce przed wojną, ulice często były pełne ludzi robiących wieczorami różne rzeczy. Teraz zdarza się to tylko wtedy, kiedy przejeżdża Nocny Pociąg. Na zewnątrz jest więcej policji, straży i Strażników Nocy. Ludzie czują się bezpieczni. A może po prostu potrzebują tego jednego wieczoru, kiedy mogą udawać, że nie boją się ciemności.

Panuje imprezowa atmosfera, ludzie się śmieją, rozmawiają, krzyczą. Niektórzy nawet śpiewają. Otacza nas beztroska.

Widzimy tłum płaczący się wokół stacji. Nocny Pociąg jest nie lada wydarzeniem, nie tyle z powodu towarów, które przywozi, ile powodu lana Hightowera, największego łowcy wampirów w historii. Jedyny człowiek, który jedną ręką zabił wampira ze Starego Rodu, przebijając kołkiem jego złe serce. Teraz jest najważniejszą osobą. Zajmuje się ochroną Nocnego Pociągu i jego ładunku.

- Dobrze, Dawn - mówi Michael, kiedy docieramy do tłumu. - Użyj swojej magii.

Kiedy byliśmy młodszy, przeciskaliśmy się między nogami ludzi, którzy krzyczeli na nas za to, że przepychamy się naprzód. Teraz to nie wchodzi już w rachubę.

Stojąc tam, gdzie tłum jest najrzadszy, unoszę plakietkę.

- Agencja, proszę mnie przepuścić, Agencja, odsunąć się.

Ludzie rozglądają się i wyglądają na wkurzonych, dopóki nie dostrzegają obok mnie Michaela. Używając rąk jak wiosła, robi nam przejście w morzu ludzi. Paru gliniarzy usiłuje nas powstrzymać, dopóki nie podetknę im pod nos kawałka błyszczącego metalu. Wtedy nas przepuszczają.

Podchodzimy do policyjnych barykad. Wielokrotnie przeżyliśmy rozczarowanie, kiedy nie udało nam się podejść tak blisko. Nie jest to już problemem.

- Przyznaj się, Michael. Zostałeś moim chłopakiem, żeby dzięki mnie dostać się przed tłum.

- Dla tego i twoich pocałunków. - Uśmiecha się szeroko.

Żeby to udowodnić, całuje mnie. Odsuwa się i orientujemy się, że jesteśmy przyciskani do barierki.

Po drugiej stronie stoi kilku kamerzystów i dziennikarzy wiadomości z lokalnych rozgłośni, ze słuchawkami w uszach i wysoko wyciągniętymi mikrofonami. Chociaż Nocny Pociąg przejeżdża co tydzień, jest sensacją. A w każdym razie jest nią łan. Kilka minut później w oddali ukazuje się czarny słup dymu i wszystkich ogarnia podniecenie. Napiera na nas zbity tłum, wpychając nas boleśnie na barierkę. Przez chwilę się boję, jestem pewna, że mnie zgniotą. Ale staje za mną Michael, kładzie ręce na metalowej barierce

i odpycha się do tyłu. Jego ręce otaczają mnie bezpiecznie. Czuje na sobie jego ciężar, który zapewnia mi ochronę.

- Wiesz, że to moja ulubiona rzecz w przychodzeniu tutaj - mówi. -

Mam pretekst, żeby być naprawdę blisko ciebie.

- Jakbyś potrzebował pretekstu. - Wybucham śmiechem.

- Pomyśl, czy nas to kiedyś znudzi? - pyta.

- Raczej nie.

Monstrualnych rozmiarów pociąg wtacza się na stację, a jego pogwizdywanie zagłusza radosne krzyki obserwujących. Cały chroniony jest grubym czarnym metalem, przez co wygląda jak noc na torach, przemieszczająca się od miasta do miasta. Szpecą go wgniecenia i rysy pozostałe po nieudanych próbach wampirów, które usiłowały dostać się do środka, by pożywić się ludźmi i przewożoną w workach krwią.

Dziennikarze koło nas zaczynają paplać.

- Nocny Pociąg właśnie wjechał. Zobaczmy, czy uda nam się uchwycić łana. Może zaszczyci nas swoją obecnością. Pomoże podnieść wszystkich na duchu.

Kilku pasażerów wysiada na peron, a członkowie rodziny witają ich uściskami i pocałunkami. Widzę dziecko w objęciach kochających rodziców i odpycham wspomnienie spalonego powozu oraz smutnej twarzy Clive'a, kiedy przekazywał mi potworną wiadomość, że mama i tata nie wrócą do domu. Była przy mnie Rachel, która mnie pocieszała, ale to Clive wziął na siebie odpowiedzialność za moje złamane serce.

Po chwili wychodzi konduktor, by podpisać dokumenty. Tu i ówdzie stawia parafki, a później mówi pracownikom stacji, gdzie znajduje się towar do rozładowania.

Z pierwszego wagonu wyskakuje wysoki mężczyzna i w jednej chwili rozbłyskują lampy aparatów. Tłum za nami wrzeszczy, wyciągając ręce, szaleńczo próbując dosięgnąć znakomitości, Ian się uśmiecha, mruży oczy od wrzawy i macha do wszystkich. Krótkie rękawy koszuli odsłaniają patchwork tatuaży na jego rękach, każdy nierówny i poszarpany, jakby został wykonany w okopach podczas wojny, w której tak odważnie walczył. Jego tors przecina ukośnie skórzany pas, z dziesiątką zatkniętych w nim metalowych kołków. Krótkie czarne włosy poruszają się na wietrze.

- Chcę być kiedyś nim - mówi Michael.

- Będziesz większym łowcą wampirów niż Ian - zapewniam go.

Widzę, że moje słowa sprawiają mu radość. Nie jest to wymuszony komplement. Mam absolutną wiarę w jego łowieckie i obronne umiejętności. Ale wiem też, na jakie narazi go to niebezpieczeństwo, i żywię nadzieję, że kiedy nadejdzie czas, będzie poruszał się po mieście incognito, żeby Valentine nie skupił na nim uwagi, Ian, dla odmiany, jest obecnie za bardzo rozpoznawalny.

Wielki łowca podchodzi dużymi krokami do barierki i zaczyna gryzmolić swoje imię na skrawkach papieru, które ludzie wygrzebują ze swoich kieszeni i torebek. Parę osób zdołało uwiecznić tę chwilę, przechylając się

przez metalową barierkę i obejmując go ramieniem, gdy ich przyjaciele pstrykali zdjęcie. Widzę, że nie sprawia mu to radości, że traktuje to bardziej jak obowiązek, żeby podtrzymać morale, pracę tak samo ważną jak ochrona pociągu.

Kiedy Ian podchodzi do Michaela i do mnie, tak ogłusza mnie wrzask ludzi, którzy usiłują zwrócić jego uwagę, że nie słyszę nawet własnych myśli. Zawsze zadziwia mnie wygląd Iana. Jego twarz zachowuje młodość - jest dopiero po trzydziestce - ale blizny na brodzie i szyi go postarzają. Jest wysoki i mocno zbudowany, a mały długopis ginie w jego masywnej dłoni. Wpatruję się w te dłonie, wyobrażając sobie, że zaciskają się wokół kołka, wbijają go w pierś wampira, tak jak zawsze chciałam uczynić. Jest w nim coś potężnego. Coś tak... zaraźliwego.

I nagle znika. Przechodzi do następnej osoby. Dziennikarze starają się go skłonić, żeby odpowiedział na kilka pytań, ale ich lekceważy. Widzę, jak chwyta niemowlaka, patrzy w obiektyw i oddaje dziecko matce, a potem znika wśród wyciągniętych rąk jego rozszalałych wielbicieli.

Dostrzegam jednego z nich. Tylko nie rozszalałego. Jest nieruchomy jak śmierć. To Victor.

Co on tu robi, do cholery? Wzrok Victora się przesuwa i zatrzymuje na mnie. Nie mogę się ruszyć. Ledwie oddycham. Bo wiem, co powinnam zrobić. Powinnam krzyknąć: wampir! Obudziłabym instynkt łowcy w lanie. Dołączyłby do niego Michael. Więc czemu tego nie robię? Czemu nie alarmuję wszystkich, że jest wśród nas wampir?



Ktoś na mnie wpada i tracę Victora z oczu. Kiedy się odwracam, już go nie ma, znikł w tłumie. Zastanawiam się, czy w ogóle go widziałam.

- Nie mogę uwierzyć, jakie to emocje, nawet po tylu latach, łan jest świetny! - emocjonuje się Michael, zacieśniając uścisk. - Hej, drżysz.

- Trochę mi zimno. - Przyciąga mnie jeszcze bardziej do siebie. Przenika mnie jego ciepło.

- Chodźmy do domu - proponuję. Przechodzimy przez ulicę, gdzie jest już mniej ludzi, i poruszamy się bez trudu. Nie mogę przestać się zastanawiać, czy ktoś z nich nie jest wampirem.

- Masz - mówi Michael, zdejmując prochowiec. - Nie do wiary, że tak się trzęsiesz. Chyba nie widziałaś tego typu ze szkoły, co?

- Nie.

Ale widok Victora najwyraźniej zakłócił czujniki temperatury w moim ciele. Jest mi potwornie zimno. Wsuwam się w jego prochowiec. Pachnie nim i ma ciepło jego ciała. Zanurzam się w nim. Rąbek ociera się o chodnik.

- Ubrudzi się.

- I co z tego? - Chwyta mnie za rękę. - Ciepło może płynąć ode mnie do ciebie.

- Gładki ruch. - Śmieję się.

- Uwielbiam twój śmiech - mówi. - Zawsze mnie zadziwia, że po tym wszystkim, co się stało, potrafisz się jeszcze śmiać.

Ulice znów są zatłoczone, bo wszyscy spieszą się do domu.

- Kiedy jestem z tobą, prawie udaje mi się zapomnieć, że nie wszystko jest idealne. - Wzdycham. - Co za banał. Nie wierzę, że to powiedziałam.

- Mnie się podobało. Słuchaj, mam pomysł. - Chwyta mnie za rękę i ciągnie w uliczkę.

- Michael, co robisz? Rachel powiedziała, że mam się nie włączyć.

- Powiedz jej, że wracaliśmy wolno, bo był tłok. Jesteśmy znów na ulicy, zmierzamy w kierunku przeciwnym do tego, w którym powinniśmy iść.

- Dokąd idziemy? - pytam.

- Zaufaj mi.

- Ufam. Przecież wiesz.

Wyciąga latarkę z kieszeni bojówek. Jasny strumień oświetla nam drogę lepiej niż rzadkie latarnie. Bardziej z przyzwyczajenia niż z niepokoju rozglądam się po okolicy. Znam ten teren, ale ulica jest opustoszała. Z żadnego z mijanych okien nie bije blask światła.

Docieramy do ogromnego budynku z cegły, ogrodzonego siatką. Szkoła Podstawowa Dawson. Jak wszystkie szkoły, nazwana imieniem wojennego bohatera.

- Masz, trzymaj - mówi Michael i wręcza mi latarkę. Kieruję światło na niego i patrzę, jak wyjmuję z kieszeni mały przedmiot, otwiera go i wyciąga dwa metalowe narzędzia. Wtyka je do kłódki.

- Włamujesz się? - pytam zdumiona. - Gdzie się tego nauczyłeś?

- Zaawansowane treningi obrony przed wampirami nie ograniczają się tylko do walki wręcz.

- Żartujesz.

- Nie. Musimy umieć dostać się do wampirów. -Uśmiecha się, kiedy zamek ustępuje.

- Możesz mnie tego nauczyć? - pytam.

- Jasne. - Popycha furtkę, otwierając ją.

Bierze ode mnie latarkę, zaciska doń wokół mojej i prowadzi mnie na szkolny dziedziniec.

- Nigdy bym nie pomyślała, że włamiemy się do szkoły - szepczę, nie bardzo wiedząc, dlaczego nagle wydaje mi się, że powinniśmy być cicho.

- Nie do szkoły. Na boisko.

Okrażamy szkołę, idąc na jej tyły, a mój wzrok pada na jedną z huśtawek.

- Pamiętasz... - zaczyna, ale nie czekam, aż skończy. Podbiegam do huśtawki i wskakuję na siedzenie. Stoję,

dłońmi obejmując metalowe linki. Pewnego razu Nocnym Pociągiem przyjechała grupa akrobatyczna. Rozstawili się na ulicy i dali niewiarygodny pokaz. Wydarzyło się to niedługo po śmierci Brady'ego. Chociaż byłam przekonana, że jestem za stara na huśtawki, później Michael i ja spędziliśmy tu całe popołudnie. Świetnie się bawiliśmy.

- Droga Dawn powraca! - oznajmia, ustawiając latarkę tak, żeby strumień światła padał na mnie.

- A niesamowity Michael?

- Też tu jestem - mówi.

Kładzie dłonie ponad moimi i jedną nogę stawia na drewnianej ławce, a potem odpycha się od ziemi drugą. Jesteśmy więksi niż kiedyś, huśtawka protestuje głośnym skrzypnięciem i jękiem.

- Utrzyma nas? - pytam.
- Chyba się zaraz przekonamy.

Zaczynamy poruszać się w tandemie, a kołysanie unosi nas coraz wyżej i wyżej. Nasze ciała ocierają się o siebie przy każdym ruchu. Teraz jest inaczej niż wtedy, gdy byliśmy dziećmi. Jest napięcie, świadomość.

Michael jest o wiele wyższy ode mnie i muszę odchyłać głowę, żeby widzieć znajome rysy jego twarzy, żeby spotkać się z nim wzrokiem.

Zawsze był przy mnie. I wiem, że zawsze będzie.

- Nie pamiętam, żebyśmy kiedyś huścili się tak wysoko - mówię, kiedy wychylamy się do przodu, a potem do tyłu. To trochę przerażające.

- Nie byliśmy tacy silni. Nie ważyliśmy tyle.

- Myśleliśmy, że byłoby tak fajnie uciec z tamtą trupą - przypominam mu. - Ciekawe, czemu nigdy więcej nie przyjechali.

- Może gdzieś im się spodobało i zostali na stałe.

- Może. - Jego wyjaśnienie podoba mi się bardziej niż to, które przemyka mi przez myśl: że dopadły ich wampiry.

Michael puszcza linkę i ujmuje moją brodę w dłoń. Nasz ciężar nie jest już rozłożony równomiernie i zaczynamy huścić się szaleńczo.

Krzyczę, a Michael zakrywa mi usta swoimi, tłumiąc dźwięk.

Szaleńcze kołysanie przenika do mojego serca, kiedy całujemy się namiętnie. Ręką obejmuje mnie i przyciska do siebie. Kiedy prawie się nie poruszamy, Michael odsuwa się i dotyka czołem mojego.

- Tej sztuczki na pewno wcześniej nie ćwiczyliśmy -mówię.
- Podobała mi się.
- Mnie też. - Dotykam jego zarośniętej brody. - Potrzebuję tego. Ostatnich kilka dni, tygodni... czasami jest mi ciężko.
- Wiem.

Przez chwilę spoglądam za niego, żeby jeszcze lepiej przypomnieć sobie tę świętą ziemię wspomnień. I właśnie wtedy dostrzegam dwie czarne plamki w krzakach, w których odbija się blask księżyca. Puls mi przyspiesza.

- Michael, nie jesteśmy sami.

Zeskakuje z huśtawki i chwyta kołek, przybierając pozę wojownika, zanim dociera do mnie, co ma zamiar zrobić.

- Gdzie? - pyta.

Zeskakuję na ziemię i staję obok niego.

- To było tam, przy budynku, w krzakach. Wyglądało jak para czarnych oczu. Teraz ich nie widzę.

- Może to był kot albo coś innego.

- Może. Ale musiał to być bardzo wysoki kot.

Powoli kuca, chwyta latarkę i przesuwając snop światła po boisku. Nic nie ma. Nagle noc rozdziera mrozący krew w żyłach krzyk. Wydaje się, że dobiega spod szkoły, stamtąd, gdzie widziałam parę oczu. Potem zapada głucha cisza, niemal tak straszna jak krzyk.

- Stój tu - nakazuje Michael.

- Nie, Michael. - Chwytam go za rękę. - Pójdziemy razem. - Mam sucho w ustach, ale dłonie wilgotne.

- Dobrze, ale trzymaj się za mną. Pilnuj tyłów. - Chodzi mu o to, żebym miała oko, czy nikt nie zakrada się do nas od tyłu.

Ostrożnie podchodzimy do szkoły, okrążając budynek. Przez całą drogę Michael przeczesuje latarką okolicę. Obchodzimy żywopłot i widzimy rozciągniętą przed nami postać. Światło latarki Michaela pada na nieruchome ciało.

W oddali słyszę echo dudniących kroków kogoś, kto się pośpiesznie oddala.

- Nie goń go - mówię, wiedząc, że właśnie to chce zrobić Michael, ale odgłos już zostaje wchłonięty przez noc. Nigdy go nie znajdzie.

Michael kieruje strumień światła dookoła nas. Poza tym, że ktoś tu zginął, okolica wygląda na nienaruszoną. Światło wraca do ofiary. Usta ma szeroko otwarte, kły wysunięte. Nie ma połowy szyi, jakby ktoś, coś, próbowało go pożreć.

- Wampir - mówi szeptem Michael. - Co tu się stało, do cholery? Moje myśli biegną do Victora. Czyżby znowu uratował mnie przed wampirem?

- Czemu ma taką szyję? - pytam.

- Nie wiem. Może wziął go za człowieka i chciał się napić krwi? Kiedy uświadomił sobie pomyłkę, rzucił się do serca.

Kieruje latarkę na drewniany kołek wbity w pierś wampira.

- Muszę zadzwonić do Rachel - mówię.

- Jasne, dzwoń.

Widzę, że jest wyjątkowo czujny, jeszcze raz latarką przeczesuje teren wokół nas.

Wyciągam z kieszeni komórkę szczęśliwa, że znów ją mam.

Wybieram numer i zastanawiam się, jak wytłumaczę to, co odkryliśmy z Michaeliem. Mamy nowego potwora w mieście.

Do diabła, którego słowa nie zrozumiałaś, jak mówiłam „wracaj prosto do domu”? - głos Rachel drży ze złości, ze strachu albo z obu powodów naraz.

Światła przeczesują całą okolicę. Ona i Jeff przyjechali chwilę przed jednostką specjalną Agencji, która zajmuje się martwymi wampirami. Ona, Jeff, Michael i ja stoimy z boku, a jednostka pracuje.

- My tylko... my tylko chcieliśmy się chwilę pokręcić - mówię, wiedząc, że to niewłaściwa odpowiedź.

- Ty się nie masz kręcić, Dawn. - Tak, to zdecydowanie złość. - Teraz jesteś wysłanniczką...

- To był mój pomysł - wyznaje Michael.

Rachel spogląda na niego gniewnie. Jest niższa ode mnie, ale w tej chwili mam wrażenie, że byłaby w stanie przestraszyć nawet samego Valentine'a.

- Co? Związałaś ją, przerzuciłaś sobie przez ramię i zaciągnęłaś tutaj, wierzgającą i krzyczącą?

- No, nie.

- Więc miała wybór i powinna była zrobić to, co jej...



- Rachel - ucina cicho Jeff.

Teraz wrogie spojrzenie zwraca w jego stronę.

- Już po wszystkim. Jest bezpieczna. Ty też przecież byłaś nastolatką. Czasami musi się trochę zbuntować.

- Nie rozumiesz, o co mi chodzi? Jeff drapie się po brodzie.

- Nie twierdzę, że powinno jej to wejść w krew, ale kiedy Nocny Pociąg przejeżdża przez miasto, zawsze jest bezpieczniej.

- Bezpieczniej nie znaczy, że nie ma zagrożeń. - Spogląda wymownie w stronę wampira.

- Wiem, ale była z Michaeliem. Widziałem go na treningu. Jest dobry.

Wymieniam spojrzenie z Michaeliem i posyłam mu ukradkowy uśmiech. Wsparcie Jeffa wiele znaczy.

- Nie rób tego więcej - mówi Rachel kategorycznie.

- Tak, proszę pani.

Słyszymy kroki i unosimy wzrok, kiedy zbliża się koroner.

Wszyscy mówią o nim Kosa - od Kostuchy. Czasami mam wrażenie, że nie tyle ze względu na jego pracę, ile raczej na wygląd. Jest wysoki i chudy, lekko przygarbiony, jakby ciągle stykanie się ze śmiercią przygniatało go.

- I? - pyta Rachel.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Ślady po ukąszeniu na szyi są niechlujne, zostawione pośpiesznie, wskazują na napaść wampira. Ale ofiara jest wampirem; ich krew jest dla nich bezużyteczna, nie dostarcza wartości odżywczych.

- Więc czemu?

- Nie mam pojęcia. - Wzrusza ramionami. Spogląda na zegarek i zapisuje przybliżony czas zgonu. - Zabierzemy go do kostnicy, zrobimy sekcję zwłok, a potem wystawimy na słońce do spopielenia, ale nie sądzę, że znajdziemy jakąś odpowiedź.

- W porządku - mówi Rachel. - Proszę powiedzieć zespołowi, że ten wypadek jest sprawą poufną, tylko dla tych, którzy muszą o nim wiedzieć. Nie chcę, żeby dowiedziała się o nim opinia publiczna, zanim dojdziemy, co się, do cholery, stało.

- Dobrze.

Kiedy odchodzi, Rachel odwraca się do nas.

- Nie powiecie nikomu o niczym, co tu się wydarzyło.

- A co z Valentine'em?

- Nie. - Kręci głową. - Na pewno jeszcze nie teraz.

- Może to był wściekły pies czy coś takiego? - sugeruje Michael.

- Cokolwiek to było, najwyraźniej nie lubi wampirów - mówi Jeff.

- Więc może mamy nowego sojusznika? - spekuluje Michael.

Tyle że nie jestem pewna, czy to sojusznik, jakiego chcemy.

Jedynym plusem dzisiejszych wydarzeń jest to, że przynajmniej teraz Michael i ja jedziemy samochodem Agencji, trzymając się za ręce na tylnym siedzeniu. Jeff i Rachel siedzą z przodu. Chyba żadne z nas nie ma zbyt wiele do powiedzenia.

- Mam nadzieję, że nie będziesz miał kłopotów z mamą - szepczę. Jest wyjątkowo niespokojna i skłonna do zamartwiania się, ale nic dziwnego. Michael nawet nie poznał swojego taty, który zmarł w czasie wojny, niedługo po tym, jak Michael się urodził.

- Nie. Powiem jej po prostu, że miałem dłużej trening. O ile w ogóle jest w domu. - Jego mama pracuje na dwóch etatach, a on w zasadzie musiał zatroszczyć się o siebie sam, odkąd skończył dwanaście lat. Wiele dzieciaków ma taką historię.

Zatrzymujemy się przed blokiem Michaela. Po wojnie wysiłki związane z odbudową skierowane zostały na wznoszenie bloków mieszkalnych zamiast domów. Ludzie lubią mieszkać we wspólnocie, gdzie czują się bezpieczni.

Michael ściska mnie za rękę.

- Do zobaczenia jutro w szkole.

- Tak. - Pochyliłam się i całuję go przelotnie, chociaż wiem, że czuje się niezręcznie w takiej sytuacji, w obecności Jeffa. - Byłeś dziś niesamowity.

- Dzięki. Ty też. - Uśmiecha się. Wysiada, a ja się opieram, kiedy Jeff rusza.

Gdy docieramy do domu, Jeff wchodzi z nami na górę. Jest już po północy. A ja jestem wykończona.

- Idę spać. - Podchodzę do Rachel i przytulam się do niej. - Dzięki, Rachel. Dzięki, że przyjechałaś nam z pomocą.

- Niech ci to nie wejdzie w krew - mówi.

- Możesz mi wierzyć, mam dość przygód. - Ruszam do swojego pokoju. - Tylko zachowujcie się przyzwoicie! - krzyczę przez ramię.

Rachel wzdycha, Jeff się śmieje. Między nimi na pewno coś jest. I cieszy mnie to. Rachel potrzebuje faceta.

Wszystko dociera do mnie, kiedy zamykam drzwi mojej sypialni. Kiedy szykuję się do spania, czuję się tak, jakbym poruszała się w gęstym syropie z melasy - biorę prysznic, wkładam flanelowy top i spodenki, kładę się do łóżka. Staram się z całych sił nie myśleć o tym, co się stało.

Ale kiedy tak leżę, myśli przychodzą same. Po chwili słyszę ciche stukanie i domyślam się, że Rachel też nie może zasnąć. Siadam i już mam zawołać, żeby weszła, kiedy pukanie rozlega się ponownie, a do mnie dociera, że dobiega od drzwi balkonowych. Zastanawiam się, czy się położyć i je ignorować. Może to ptak dziobie w szybę. Tak, akurat. Słysząc je znowu i wiem, że on nie odejdzie.

Włączam lampę, wstaję mozolnie z łóżka, chwytam kołek z nocnej szafki i drepcę do balkonu. Odsląniam zasłony i widzę wysoką postać Victora. Otwieram drzwi.

- Tym razem przynajmniej zapukałeś. Tak czy siak, odejdz.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Victor...

- Słyszałem, że dziś zginął wampir.

- Wampiry giną co noc. Dostarczają roboty Strażnikom Nocy.

- Ale nie ten, Dawn. Muszę wiedzieć dokładnie, jak zginął.

Możliwe że nie mówi o tym, którego znalazłam z Michaeliem, ale jeżeli tak, muszę uważać, żeby zdradzić jak najmniej. Chociaż nie cierpię oddychać tym samym po-

wietrzem co on, wzdycham, wychodzę na balkon i krzyżuję ręce na piersiach.

- Co dokładnie słyszałeś? I jak się dowiedziałeś?

- Ktoś widział zbiegowisko przy szkole Dawsona. Chciał przeprowadzić śledztwo, ale nie mógł zbliżyć się na tyle, żeby zobaczyć cokolwiek, bo ludzie z Agencji się tam kręcili. Ale wyczuwał, że wszyscy... się boją.

- Strach pojawia się zawsze, kiedy potwierdza się fakt, że w mieście są wampiry.

- Podśluchał, jak ktoś mówił, że wampir został ugryziony w szyję i pewnie ktoś się nim pożywił. - Jego głos dudni z niecierpliwości. Chyba nie mogę winić go za to, że chce informacji.

- Dobra, słuchaj, powiem ci, co wiem, ale musisz mi przyrzec, że nie powiesz o tym ojcu.

- Zaufaj mi, Dawn. Jestem bardzo dobry w ukrywaniu spraw przed ojcem.

- No więc dobrze. Tak, wampir miał na szyi ślady po ugryzieniu. Naprawdę dzikie. Michael i ja... - przerywam, bo wpada mi do głowy coś innego. - Widziałam cię przy Nocnym Pociągu.

- Wiem, ja też cię widziałem. Ten chłopak, z którym byłaś...

- To mój chłopak, Michael.

- Wygląda na... zdolnego.

- Jest bardzo zdolny. - Pozwalam, aby w moim głosie słyszeć było dumę z umiejętności Michaela. - Czemu tam byłeś?

- Poznawałem wroga.

- Ian Hightower nie poluje już na wampiry, o ile nie atakują pociągu.

- Nie chodzi mi o lana, tylko o ciebie.

Czuję się, jakbym dostała cios w brzuch. Zawsze uważałam wampiry za wrogów, nienawidziłam ich bezgranicznie za to, co zrobiły mojemu bratu. Ale nigdy nie patrzyłam na to od drugiej strony. Nigdy nie spojrzałam na siebie jako na ich wroga.

- Myślałam, że to ty chcesz, żebyśmy byli sojusznikami - przyjaciółmi. Poza tym, jak możesz mówić, że jestem twoim wrogiem, skoro pracuję jako wysłanniczka, żeby było dość krwi dla wampirów?

- Jak możesz patrzeć na mnie jak na wroga, skoro od zakończenia wojny nie zaatakowałam ani jednego człowieka ani nie brałam krwi bezpośrednio od ludzi?

Spoglądałam na niego zmrużonymi oczami.

- Sprytna wypowiedź, Victor. Myślisz, że nie zrozumiałam? Robiłeś to w przeszłości. Pewnie siłą, wbrew ich woli.

- W czasie wojny, owszem. Robiłem, co musiałem, żeby przeżyć. Jak wszyscy żołnierze.

Czarne i białe. Zawsze postrzegałam zależności między ludźmi i wampirami w czarno-białych barwach. Oni biorą. My dajemy. Ale on miesza zjawiska, pokazuje mi odcienie szarości, komplikuje kwestie, które powinny być proste. Nie podoba mi się to.

Przychodzi mi do głowy pewna myśl.

- Szedłeś za mną i za Michaeliem, prawda? Kiedy wyszliśmy z dworca.

- Na początku, dopóki nie uświadomiłem sobie, że pewnie potrzebujecie trochę samotności.

Uderzam go pięścią w ramię. Prawie nie drgnie.

- Ty dupku! Podchodzę do drzwi...

Chwyta mnie za rękę, ale się wyrywam.

- Dawn, po twoim spotkaniu w szkole chciałem tylko mieć pewność, że jesteś bezpieczna.

- Nie chcę, żebyś mnie śledził.

- Masz rację. Jestem zbyt zepsuty, żeby próbować cię chronić.

Sprawia, że czuję się drobna i mała, ale nie chcę go w moim życiu. Jednak...

- Widziałeś w okolicy jakieś wampiry? Waha się.

- Parę, ale nieszkodliwych.

- Nie ma nieszkodliwych wampirów.

- Myślisz tak, bo nigdy nie miałaś okazji żadnego poznać.

Owszem, wielu niższych ma tendencję do zatracania człowieczeństwa, kiedy zostają przemienieni. To dlatego, że zakochują się w swoim nowym wcieleniu -w sile, w tym, że są niepokonani. Popadają w obłęd. Ale inni dobrze się dostosowują. Nie różnią się od ciebie.

- Nie porównuj mnie do wampira.

- Chodzi mi o to, że nie są jak tamte wampiry z tramwaju - wzdycha. - Tamte są jak młodociani ludzie przestępcy. Ale gdybyś zobaczyła innych, może bardziej ceniłabyś swoją funkcję wysłanniczki.

- Cenię moją funkcję wystarczająco. A w szkole to nie był wampir. Nie mógł być. To jakiś zwykły dzieciak. Nie potrzebuję twojej ochrony.

Czuję, że mi się przygląda. Nie chcę być tu na zewnątrz z nim, nie chcę się zastanawiać, czy może ma rację, że nie wszystkie wampiry są takie same.

Victor cofa się o krok, jakby uświadamiał sobie, że potrzebuję przestrzeni.

- Masz rację, że w szkole to był jakiś dzieciak. Sprawdziłem to, zanim tu przyszedłem. Nie znalazłem żadnych śladów kryjówki wampira.

- Ale powiedziałbyś, gdyby było inaczej, co? Poproszę Michaela, żeby to zbadał, jeżeli nie masz nic przeciwko. - Już nie wierzę, że to był wampir, ale jestem po prostu uparta. Victor tak na mnie działa.

- Więc nawet kiedy się ze mną zgadzasz, będziesz się ze mną kłócić? - pyta.

- Raczej tak. Nie ufam ci. Nie lubię cię. Nie chcę cię w moim życiu. Czemu nie możesz tego pojąć?

Wzdycha sfrustrowany.

- Dobrze, w takim razie przekaż mi informacje, których potrzebuję, i sobie pójdę. Jest jeszcze coś, co możesz mi powiedzieć o wampirze, którego dziś zabili? - pyta poważnym głosem, niemal smutnym, jakby wreszcie pogodził się z tym, jak bardzo go nie lubię.

Z jakiegoś powodu mnie to martwi, jakbym go zraniła. Muszę sobie przypomnieć, że to wampir. Nie ma uczuć. Przetykam z trudem ślinę.



- Miał rozdartą szyję. I serce przebite kołkiem. Na razie nic więcej nie wiemy. - Przemieszcza się do krawędzi balkonu, z dala od słabego światła padającego z pokoju. Ale widzę, jak ściska poręcz i schyla głowę. Szepcze coś, co brzmi jak „pragnienie”, ale nie jestem pewna.

- Co? - Przysuwam się do niego trochę.

- Nic. - Kręci głową. - Muszę go zobaczyć. Dokąd go zabrali?

- Do kostnicy, ale nie uda ci się tam wejść.

- Poradzę sobie. Gdzie to dokładnie jest? Podaję mu adres.

- Dzięki - mówi Victor.

Jestem zaniepokojona jego wdzięcznością, właściwie całą jego wizytą.

- Dlaczego to takie ważne?

- Mam nadzieję, że się mylę i że nigdy się nie dowiesz.

- Co to znaczy?

- Nie mogę ci powiedzieć.

Nim zdążę się sprzeciwić, przerzuca nogę przez poręcz i znika za krawędzią. Podbiegam i wychylam się, ale go nie widzę. Wampiry zachowują się jak koty. Upadek, nawet z takiej wysokości, niczym im nie grozi.

Kiedy odwracam się, żeby wrócić do pokoju, mój wzrok pada na długie białe pudełko przewiązane czerwoną wstążką, które leży na balkonowym krześle. Waham się, ale podnoszę je i zabieram do pokoju. Zamykam za sobą drzwi.

Oglądam pudełko i dostrzegam róg bileciku wystającego spod wstążki. Wyciągam go ostrożnie, jakbym się spodziewała, że wybuchnie.

*Na wypadek, gdybyś znów zmierzyła się z nocą.*

Odkładam kołek, który wzięłam wcześniej z nocnej szafki, siadam z podwiniętymi nogami na łóżku i niepewnie zaczynam rozpakowywać pudełko. Nie przypominam sobie, kiedy po raz ostatni ktoś dał mi prezent. Może rodzice. Na siedemnaste urodziny. W pudełku znajduje się futerał na pasek z bardzo miękkiej skóry. Wysuwam to, co w nim się kryje - lśniący kołek z nierdzewnej stali. Jest idealnie wyważony, a od jego powierzchni odbija się światło, kiedy nim obracam.

Nie mogę uwierzyć, że wampir dał mi taką ładną broń, której mogłabym użyć, żeby go zabić.

Przysuwam się do lustra, owijam sobie pasek wokół bioder i zapinam sprzączkę. Leży jak ulał. Przypinam sobie futerał do uda skórzanymi paskami. Wyciągam kołek. Wyślizguje się z łatwością, która mnie zdumiewa. Czemu to zrobił? Dlaczego jestem wzruszona? Przecież to wampir? Mój wróg. Zdejmuję pasek, chowam go do dolnej szuflady mojej komody i przykrywam koszulkami. Cofam się, aż uderzam nogami o łóżko, a potem na nie padam.

Gdyby ten prezent był od Michaela, byłabym wniebowzięta, bo nawet diamentowy naszyjnik bardziej by mnie nie ucieszył.

Wiem, że powinnam powiedzieć Rachel, ale zawzięłam się, żeby poradzić sobie z Yictorem na własną rękę,

a rozmowa z Rachel byłaby... porażką. Nie chcę zostać pokonana. Jednak przerażające jest to, jak dobrze zna mnie Victor Valentine. Tej nocy nawiedza mnie we śnie. Przewracam się i zamiast niego pojawia się Michael. Całujemy się, ale gdy się odsuwa, to znowu Victor. Widzę jego kły na chwilę przed tym, jak się we mnie zanurzą. A potem się budzę. Spocona, zdyszana, roztrzęsiona. Wstaję powoli z łóżka, wychodzę na balkon i wpatruję się w znikający księżyc. Niebo robi się szare, potem niebieskie. Słońce w końcu zaczyna wschodzić. Odpędza ciemność i potwory. A jednak nie mogę się oprzeć wrażeniu, że nadal czają się w pobliżu.

Jestem nadal niespokojna, kiedy idę do szkoły. Drobiazgi zaczynają mnie potwornie irytować. To, że słońce chowa się za gęstymi, ciemnymi chmurami. To, że jestem spóźniona. To, że zepsuł mi się zamek w bluzie. To, że nie mogę pozbyć się wrażenia, że ktoś mnie śledzi.

Chodnik jest zatłoczony ludźmi idącymi do szkoły, do pracy, na zakupy. Spieszących się, żeby zrobić to, co mogą, dopóki słońce jest na niebie. Odwracam się...

Dostrzegam czarny kaptur. Inny chłopak trąca mnie ramieniem i odsuwa do tyłu; tracę tamtego w kapturze z oczu. Namierzam uliczkę, w którą mógł uciec. Pędzę w jej kierunku. Ale jest pusta, nie licząc śmieci na ziemi. Odwracam się, rozglądam się po twarzach, widzę inne bluzy z kapturami, ale nie ma tej jednej, której szukam. I nie widzę żadnej z wężami z tyłu. Jakaś dziewczyna spogląda na mnie zniecierpliwiona, mijając mnie. Ruszam w kierunku szkoły. Przyspieszam kroku, żeby zdążyć przed porannym dzwonkiem. Udaje mi się dotrzeć na czas. Kiedy płynę wraz z innymi dziećmi, łapię się

na tym, że bacznie przyglądam się ich ciuchom, szukając tego głupiego węża. Kiedy docieram do mojej szafki, nie jestem szczęśliwa, widząc, co na mnie czeka. Zdjęcie zrobiono mi do Denver Times, kiedy zostałam mianowana wysłanniczką. Teraz ten artykuł jest przyklejony do drzwiczek szafki gumą do żucia, która wychodzi z moich ust ze słowami wypisanymi w środku: Oooch! Uwielbiam wampiry!

Słyszę szydercze śmiechy, oglądam się za siebie i widzę Lilę z paroma jej klonami. Zdzieram zdjęcie, zgniatam je w kulkę i wrzucam głęboko do szafki.

- Ciężko spojrzeć prawdzie w oczy - mówi Lila, uśmiechając się przymilnie. - Któregoś dnia Michael uświadomi sobie, wobec kogo jesteś lojalna. A wtedy nie zdołasz go zatrzymać.

Po moim głupim śnie jej uwaga jest trochę zbyt bliska prawdy.

- Jedno tanie zdjęcie i jeden z twoich nękających mnie chłopaczków nie wystarczą, żeby mnie zranić. -Wiem, że to ona nasłała na mnie Kaptura. Michael nie doszedł jeszcze do źródła plotek, ale ja właśnie patrzę na źródło. Czuję to.

- Nieważne, Dawn. Nie muszę nic robić, wystarczy, że będę patrzeć. Twój upadek jest nieunikniony. Później wysłannikiem zostanie mój ojciec, a moja rodzina stanie się sławniejsza niż twoja. Wpatruję się w nią ogłuszona.

- Nie rozumiesz. To nie jest konkurs popularności, Lila.

- Wiem.

Wcale nie jestem pewna, czy wie.

- Nie przejmuj się nią - mówi Tegan, która nagle pojawia się obok mnie. - Tylko podkreścisz jej schizę, bez względu na to, co powiesz. Ma rację. Lila ma spaczony umysł. Najlepsze, co mogę zrobić, to ją ignorować. Odwracam się do przyjaciółki, wdzięczna za jej pomoc.

- Poza tym mamy tematy do omówienia - stwierdza Tegan.

- Jakie?

Kątem oka widzę, jak Lila odchodzi, tupiąc. Punkt dla Tegan i dla mnie.

- Nowy chłopak - mówi Tegan.

- Kto?

- Nie słyszałaś? - pyta, jakby to było nie do wiary, żebym do tej pory nie słyszała o nowym chłopaku.

- Nie.

- Spodoba ci się to - obiecuje, kiedy ruszamy korytarzem. - Przyjechał Nocnym Pociągiem. Z Los Angeles. Niesamowite, co? Nigdy nie znałam nikogo, kto naprawdę podróżował Nocnym Pociągiem. Mam do niego milion pytań.

Kiedy docieramy pod naszą klasę, w jednej chwili pojmuję, o co ten cały raban. Nowy stoi na początku sali, obok pana Chen. Jest przystojny, stanowi konkurencję dla Michaela w kategorii największego przystojniaka w szkole. Ma półdługie włosy, opadające mu na oczy, które są

ciemne, jakby spędziły całą wieczność w cieniu i podobało im się tam. Ubrany jest w ładne ciuchy, co oznacza, że ma pieniądze.

Bogactwo i uroda - z tymi dwiema cechami natychmiast przyciąga uwagę dziewczyn z klasy. Włącznie z Tegan.

- Cześć, mój przyszły chłopaku - szepcze. Uśmiecha się do niego, idąc do ławki.

- Masz nie po kolei w głowie - mówię, siadając obok niej.

- Jest niezły. Więcej nie muszę wiedzieć.

Zanim zdążę się odezwać, rozlega się dzwonek i pan Chen przywołuje klasę do porządku.

- Przedstawiam wam Sinclaira.

- Sin\* - poprawia go nowy chłopak. - Wszyscy mówią na mnie Sin.

- Wygląda jak stworzony do grzechu - mruczy szeptem Tegan.

Przewracam oczami, ale w duchu muszę przyznać, że ma rację.

Widać po nim, że może sprawić kłopot. Taki pozytywny.

Zabawny.

Sin rozgląda się po sali. Czuję, że jego wzrok zatrzymuje się na mnie i lustruje wysłanniczkę, potem przesuwa się do następnego ucznia. Dopiero co wszedł do jaskini lwa, jaką jest liceum, a już rządzi.

Pan Chen wskazuje puste krzesło, które akurat stoi obok Tegan.

Boję się, że zemdleje z wrażenia. Sin zajmuje

Sin (ang.) - grzech (przyp. red.).

miejsce. Pan Chen usiłuje prowadzić lekcję, ale jest na straconej pozycji. Wszystkich interesuje tylko nowy chłopak. Nawet ja nie jestem obojętna i rzucam mu ukradkowe spojrzenia, kiedy mogę. Niedługo potem szepcze do Tegan, a ona śmieje się albo kiwa głową. Wydaje się tak zauroczony nią jak ona nim. Nie dziwię się mu. Byłby stuknięty, gdyby się nią nie zainteresował. Tylu chłopaków się za nią ogląda. Ale intryguje mnie to, że Tegan nie wpadła we flirciarski ton. Wygląda na to, że jest nim naprawdę zafascynowana.

Po lekcji Tegan i Sin wychodzą razem, rozdzielają się dopiero na korytarzu. Tegan doskakuje do mnie i chwytam mnie za rękę, żeby nie stracić równowagi.

- O mój Boże. Jest przystojny, co nie?
- Zdecydowanie przystojny. Ruszamy na następną lekcję.
- Chyba się ze mną umówi - stwierdza.
- Wszyscy chcą się z tobą umówić - przypominam jej.
- Ale on to co innego. Albo ja chcę, żeby to było co innego. Chcę tego, co jest między tobą i Michaeliem.

Nigdy mi tego wcześniej nie mówiła, ale pamiętam, jak się cieszyła, że Michael nie idzie z nami na imprezę, jak nie chciała, żebym do niego dzwoniła. Może moja bliska więź z Michaeliem była dla niej trudna. Nigdy właściwie się nad tym nie zastanawiałam, bo to ona jest prawdziwym magnesem dla chłopaków. Myślałam, że taka sytuacja jej odpowiada. Jednak czuję, że muszę się odezwać.

- Ale ja Michaela znam całe życie. Ty Sina dopiero co poznałaś.



- Ale mimo wszystko możemy mieć taką więź. - Słyszę w jej głosie upór. - Między nami jest taka więź - upiera się. - Lubisz go, prawda?

Stawia mnie w niezręcznej sytuacji.

- Właściwie go nie znam. To nie ja z nim rozmawiałam.

- Polubisz go - zapewnia. - Dla mnie jest idealny.

Wierzę jej na słowo. Mam na głowie własne romantyczne problemy. Nazywając rzeczy po imieniu - dlaczego śni mi się Victor.

Czuję ulgę, kiedy Tegan znika, a jej miejsce zajmuje Michael, obejmując mnie ramieniem i przyciągając do siebie. Jego ramię jest silne. Pewne. Niesie pociechę, ciepło.

- Wiesz coś więcej na temat wczorajszych wydarzeń? - szepcze, pochylając się.

- Nie. - Reap zadzwonił do Rachel rano. Sekcja zwłok nie ujawniła niczego nowego. Zastanawiam się, czy Victor zdążył obejrzeć ciało, zanim zostało wystawione na słońce. - Reap spytał, czy chcemy kły. - Niektórzy ludzie zbierają je jako trofea. Nie bardzo wiem, dlaczego nagle ta praktyka mnie niepokoi. Michael wygląda na zdumionego.

- Po co miałbym je chcieć?

Jego reakcja mnie uspokaja, sprawia, że chcę go uściskać.

- Zbieranie ich jest trochę makabryczne, co? - pytam.

- Tak. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego ludzie to robią. - Kręci głową, a potem zmienia temat. - Słyszałaś o tym nowym chłopaku?

- Tak. Sinclair zwany Sinem przyjechał Nocnym Pociągami z Los Angeles.

- Nieźle! - Wygląda na zdumionego. - Wysłannicy gromadzą szczegóły na temat każdego?

- Nie. - Śmieję się. - Miałam z nim pierwszą lekcję.

- I co o nim myślisz?

- Nie byłam nim tak zachwycona jak Tegan. Ona chyba po lekcjach pójdzie wybierać suknię ślubną.

Uśmiecha się. Ma najładniejszy uśmiech. W siłowni rozdzielamy się i idziemy do odpowiednich szatni. Wśród pozbawionych sympatii twarzy dziewczyn szybko przebieram się w dres i idę do sali.

Oczywiście jest z nami Sin. Jego dres i dopasowana koszulka wyjawiają nieco więcej na temat jego budowy. Jest szczupły, ale każdy mięsień ma tak widoczny, że mógłby służyć jako okaz na ćwiczeniach z anatomii.

Nauczyciel prawie nie zwraca na niego uwagi, po prostu dopisuje do listy obecności. Ale ja widzę, że Michael bada Sina wzrokiem, starając się go ocenić. Odkąd został przyjęty do elitarnego programu szkoleniowego, patrzy na wszystkich trochę innym okiem, odruchowo oceniając silne i słabe strony. Jego ambicje zwiększyły się dwukrotnie i stały się bestią same w sobie.

Przypuszczam, że teraz zawsze czuje, że musi coś udowodniać; musi pokazać, że zasługuje na to, by być Strażnikiem Nocy, bardziej niż ktokolwiek inny.

- Dobrze, panie za mną - mówi pani Richards i prowadzi nas w jedną stronę sali.

Zaczynamy standardowo - bieg, potem szybkie wyciąganie kolka, bieg, szybkie walenie w manekiny gołymi dłońmi, bieg i przekłuwanie im serca. Wyobrażam sobie, że każdy z nich to Victor, ale okazuje się, że chybiam celu. Dziwne. Więc zaczynam wyobrażać sobie jednego z wampirów, które spotkałam w tramwaju - tych, przed którymi uratował mnie Victor. Za każdym razem trafiam dokładnie w samo serce. Jeżeli spytałabym o to Tegan, powiedziałyby pewnie, że podświadomie nie chcę skrzywdzić Victora. Myliłaby się.

Nagle zauważam, że tylko ja nadal wykonuję ćwiczenia. Wszystkie pozostałe dziewczyny po prostu stoją i gapią się na drugą stronę sali. Staję obok jednej z nich, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Chłopcy dobrali się w pary i siłują się ze sobą, ćwicząc skomplikowane rzuty i ruchy na macie. Sądzę, że nie przez przypadek Michael dobrał się w parę z Sinem.

Bezwiednie zaczynamy przesuwać się w stronę akcji, a niedługo potem pozostali chłopcy przestają ćwiczyć i otaczają pojedynkującą się parę. Michael i Sin są pochłonięci walką. To tylko trening, oczywiście, i nie próbują się pozabijać, ale z pewnością usiłują coś udowodnić. Myślę, że Michael spodziewał się łatwego pojedynku, chciał szybko zdominować Sina, żeby wiedział, kto rządzi w szkole. Ale nie ulega wątpliwości, że Sin zmusi Michaela, żeby na ten tytuł sobie zapracował. Obaj są zdolnymi wojownikami.

Michael chwyta Sina za rękę i próbuje go sobie przerzucić przez ramię, ale Sin jest zbyt szybki, jego żyłaste

ciało znajduje słaby punkt i go wykorzystuje. Jakimś sposobem to Sinowi udaje się powalić na ziemię swojego przeciwnika. Ciało Michaela uderza o matę z łoskotem. Po raz pierwszy widzę, jak ktoś stoi nad Michaeliem jako zwycięzca. Ale tylko przez chwilę. Michael kopniakiem podcina Sinowi nogi, a on ląduje ciężko na plecach.

- Niezłe - mówi Lila tak skupiona na walce chłopaków, że chyba nie wie, że stoję obok niej. Publiczność nie dopinguje żadnej ze stron, ale ja oczywiście jestem za Michaeliem. Nie tylko dlatego, że jest moim chłopakiem. Nie byłoby dobrze, gdyby wygrał nowy. To przecież nowy! Wiem, jak ciężko Michael pracuje i trenuje. Pojedynek trwa, a ja robię się coraz bardziej zdenerwowana. Wydają się równi, jakby każdy z nich walczył z przeciwnikiem w lustrze. Jedyna różnica polega na tym, że Sin więcej się uśmiecha, bawi się tym, i może trochę lżej oddycha.

Nagle robi się zbyt pewny siebie i atakuje. Sapię, kiedy Michael wykorzystuje impet Sina przeciwko niemu i jednym końcowym ruchem odrywa go od maty, i powala z powrotem. Krzywię się na dźwięk, przypominający odgłos łamanej kości. Sala jest nieruchoma, wszyscy czekają, zastanawiając się, czy walka będzie toczyć się dalej. Michael stoi wyprostowany, ale nie jest przygotowany na ciąg dalszy. Chce skończyć.

Mam wrażenie, że Sin też to zauważa. Wyciąga rękę, a Michael ją chwyta, podnosząc Sina z ziemi. Dochodzi między nimi do głosu swoiste męskie porozumienie. Nic

nie zostaje powiedziane, ale wszystko jest jasne. Michael pozostanie górą, ale Sin ląduje tuż za nim.

Rozlegają się rzadkie brawa, a chłopcy nam machają. Pan Timmons gwizdże i zaczyna zaganiać wszystkich z powrotem do ćwiczeń.

Pędzę przez salę i kładę Michaelowi dłoń na ramieniu.

Wyczuwam, że drży pod wpływem adrenaliny. Odwraca się, żeby na mnie spojrzeć, i widzę jego oczy wojownika. Dla niego to nie było zwykłe ćwiczenie. Jest w walecznym nastroju.

- Byłeś niesamowity - mówię.

- Gość jest dobry.

- Miał po prostu szczęście.

- Może.

Przytulam go mocno. Nie obchodzi mnie, kto na nas patrzy.

- Zawsze czuję się bezpiecznie, kiedy jestem z tobą.

- Hej, co jest? - Odsuwa mnie na odległość ręki i mi się przygląda.

Nie wiem, czy z powodu tego głupiego snu, czy dlatego, że patrzyłam, jak zapamiętałe walczy o miejsce najlepszego wojownika w szkole, czy z powodu szaleństwa ostatnich paru dni, mówię:

- Chcę tylko, żebyś wiedział, że jesteś dla mnie ważny.

Michael uśmiecha się triumfalnie, zadowolony z moich słów.

- Wiem.

- Colt! - wrzeszczy pan Timmons.

- Później - mówi Michael, całując mnie przelotnie, a potem pędzi przez salę do miejsca, w którym ćwiczą chłopcy.

Ja wracam do dziewczyn i kończymy nasze ćwiczenia. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś był tak bliski pokonania Michaela. Teraz jestem ciekawa Sina i nie mogę przestać się zastanawiać: jaka jest jego historia?

Prooooooszę, powiedz mi, że jesteś wolna po szkole - mówi Tegan, kiedy siadamy na krzesłach na ostatniej tego dnia lekcji.

- O ile mi wiadomo - odpowiadam.

- To dobrze, bo chcę, żebyś z Michaelem spotkała się w Daylight Grill ze mną i z Sinem.

- Nieźle, szybko ci poszło.

- Co mam powiedzieć? Jak czegoś chcę, biorę to.

- A chcesz Sina?

- Zdecydowanie. Czego w nim można nie chcieć? Jest przystojny. Podróżował. To znaczy, był w Nocnym Pociągu. A wspominałam, że jest przystojny?

Tylko za każdym razem, kiedy mijałyśmy się w ciągu dnia.

Zaczynam bazgrolić w zeszycie.

- Wczoraj byłaś zainteresowana Victorem.

Nie bardzo wiem, dlaczego w ogóle to powiedziałam, dlaczego z nim wyskoczyłam, dlaczego rysuję dwie V, jedną nad drugą.

Zabazgruję je.

- To było wczoraj - wyjaśnia Tegan. - Poza tym nie zrobiłam na nim najlepszego wrażenia. Z Sinem nie mam obciążenia pod tytułem „mdłości” i wszyscy mówią o tym, jak dołożył Michaelowi...

- Prawdę mówiąc, nie dołożył - słyszę, jak mówię, odruchowo, stając za swoim chłopakiem. - Może niewiele mu brakowało, ale wygrał Michael.

- Ale Sin jest praktycznie bogiem, a skoro ja jestem już boginią... Rozlega się dzwonek, przerywając jej. Nigdy nie widziałam, żeby w ten sposób reagowała na chłopaka. Zawsze ma ich wokół siebie wianuszek, w każdy weekend umawia się na randki. Ale tym razem jest inaczej. Nie umiem stwierdzić, czy to dobrze, czy źle. Nie chcę tylko, żeby stała jej się krzywda.

Kiedy spotkam się z nią i z Sinem, sama zobaczę, czy jest dla niej wystarczająco dobry. W końcu jest moją przyjaciółką. Chcę dla niej wszystkiego, co najlepsze.

Po lekcjach przy szafce obejmują mnie dwie ręce.

- Zgadnij, kto to?-głos Michaela jest promienny.

Odwracam się i staję w jego objęciach. Jest rozpromieniony, kiedy mówię mu o planach Tegan. Najwyraźniej miał lekcję z Sinem i zawiązało się między nimi porozumienie oparte na wzajemnym szacunku.

- Umie walczyć - mówi, kiedy czekamy na zewnątrz. - Będzie dobrym Strażnikiem, jak zechce.

- Nie tak dobrym, jak ty - mówię lojalnie.

Tegan i Sin nie trzymają się za ręce, kiedy do nas podchodzą, ale są tak blisko siebie, że każdy widzi, że są już parą.



Jak jej się to udaje z taką prędkością? To pewnie wiedza psychologiczna - wychwytyje sygnały, które mój radar by zlekceważył, i wie, jak na nie zareagować. Chemia pomiędzy nimi jest oczywista. Muszę przyznać, że stanowią niezłą parę.

Idąc do Daylight Grill, rozmawiamy o błahostkach - nudnych lekcjach, paskudnej pogodzie i ustawicznym braku prądu, który ostatnio nęka miasto.

- Mam nadzieję, że nie jesteś fanatykiem światła - mówi Michael swojemu nowemu koledze. - Tutaj światło robi, co chce.

W środku jest jak w zwykły wtorek - połowa stolików jest zajęta, dzieciaki grają w bilard, inni piją słynną lemoniadę. Zajmujemy łóżę w tyle i zamawiamy.

Na zewnątrz słońce opada za horyzont i salę opanowuje spokój, bo każdy udaje, że nie patrzy. Moi rodzice chcieli świata, w którym zachody słońca byłyby piękne, a nie groźne. Muszę sobie przypominać, że ja też tego chcę. O to walczę.

, - Nie cierpię patrzeć, jak słońce znika - oznajmia Tegan.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że boisz się ciemności - żartuje Sin, patrząc na nią tak, jakby noc była jej niestraszna.

- Jestem nieustraszona - odparowuje.

- Lubię takie dziewczyny - zapewnia.

Michael wyciąga rękę pod stołem i chwyta mnie za kolano. Kiedy spoglądam na niego, lekko przewraca oczami, a ja zastanawiam się, czy jego zdaniem Sin nie

przesadza. Michael i ja zawsze czuliśmy się ze sobą swobodnie. Pierwszy pocałunek wydarzył się niespodziewanie i sprawił, że staliśmy się świadomi siebie nawzajem w nowy sposób, ale nigdy nie przechodziliśmy fazy poznawania się. A może i tak, ale dawno temu, gdy byliśmy dziećmi. Nigdy nie musieliśmy robić na sobie wrażenia.

Jemy burgery, a przynajmniej tak wyglądają. Nasze miasto ma teraz gigantyczną, piętrową szklarnię, która wydaje plony przez okrągły rok. Zebrane warzywa kroi się i miesza ze sztucznymi aromatami, żeby nadać im wygląd, smak i konsystencję mięsa. Moim zdaniem smakuje świetnie, ale nigdy nie jadłam prawdziwego, więc co mogę wiedzieć?

- Jak się jedzie Nocnym Pociągiem? - pyta Michael, biorąc frytkę i zanurzając ją w ketchupie.

- Dość niesamowicie - mówi Sin. - Zwłaszcza w nocy. Na zewnątrz jest mnóstwo wampirów.

- Atakowały pociąg? - pyta Tegan.

- Tylko parę razy. Myślę, że po prostu młode wampiry szalały. Wiedzą, że nie można się do niego dostać.

- Nie rozumiem, po co w ogóle go atakują - mówię. - Wamp-Lu pozwala, żeby pociąg przewoził towar przez kraj, od miasta do miasta. Jeżeli nie możemy dostać towarów, których potrzebujemy z innych miast... jak mamy przeżyć? A jeżeli nie przeżyjemy, jak przeżyją wampiry?

- Wiem - odpowiada Sin. - To czyste szaleństwo ten cały układ. Nikt nie przestrzega zapisów Wamp-Lu, na-

wet wampiry, które go stworzyły. Moim zdaniem, to nie może trwać wiecznie.

Czuję, że Michael jest gotów poprzeć Sina.

- Co masz na myśli?

Sin rozgląda się dookoła, jakby bał się, że ktoś może nas podsłuchać.

- Strażnicy Nocy są świetni. Mamy ich też w Los Angeles, ale... są pewne podziemne ruchy... Chyba nie powinienem o tym mówić.

- To tam zdobyłeś wyszkolenie? - pyta Michael. - W podziemnej grupie?

- Wyznam bardzo prostą filozofię: jeżeli czegoś chcesz, musisz zrobić wszystko, żeby to zdobyć. - Sin uśmiecha się.

Tegan promienieje, słysząc przekonanie w głosie Sina, i przysuwa się trochę do niego.

Zapada szczególna cisza, kiedy kończymy posiłek. Chyba Michael i ja próbujemy rozszyfrować, o czym właściwie mówi Sin. Gdy kelnerka zabiera nasze talerze, Michael proponuje Sinowi partię bilarda.

- I co, niesamowity jest, prawda? - pyta Tegan, kiedy odprowadzamy ich wzrokiem, jak idą do stołów bilardowych.

- Tak - potwierdzam. - Fajny. Ale ta cała „prosta filozofia” trochę mnie martwi. Domyślałam się, że chodziło mu o grupy członków straży obywatelskiej.

- Tak, i co?

Dobra. Po jej tonie widzę, że nie podoba jej się, że wypytyuję ją o Sina.

- Muszę robić wszystko zgodnie z układem Wamp-Lu, więc jeżeli masz zamiar wpakować się w jakieś... podziemie... to mi o tym nie mów, dobrze?

- Dopiero tu przyjechał. Nie mówi o przewrocie, chociaż wcale nie jestem pewna, czy byłoby to takie złe.

Nim zdążę odpowiedzieć, Michael celuje we mnie kijem.

- Chcecie grać w parach czy wolicie tylko popatrzeć?

- W parach - mówię, biorąc kij.

- Dokopiemy im - szepcze mi do ucha, a przeze mnie przebiega znajome podniecenie. Jesteśmy drużyną. Michael i ja.

Tegan rozbija. Wbija kulę do dołka, ale za drugim razem pudłuje.

Następny ruch jest mój, wbijam dwa razy, a potem pudłuję i dołączam do Michaela pod ścianą. Patrzę, jak uśmiech Tegan staje się coraz bardziej promienny z każdą kulą, którą wbija Sin.

- Jest dobry we wszystkim - stwierdza Michael, przyglądając się grze przeciwnika.

- Trochę tak jak ty.

W jego oczach pojawia się wdzięczność. Pochyla głowę, żeby mnie pocałować. Wspinam się na palce i obejmuję go za szyję. Przesuwa swoje wargi na moje z rozmysłem.

- Hm.

Michael odsuwa się, a Sin spogląda na niego przepaszająco.

- Sorry, nie trafiłem. Twoja kolej.

- Kusi mnie, żeby odpuścić kolejkę.

- Nie dziwię ci się. - Sin puszcza do mnie oko.

Czuję, że się rumienię. Nie mogę zaprzeczyć, że jest czarujący, ale nie działa na mnie w ten sposób co Michael. Patrzę, jak Michael długimi krokami podchodzi do stołu, długimi nogami pokonuje odległość. W jego ruchach jest piękno - kiedy posługuje się kijem czy kołkiem - które bierze się z pewnością siebie i nieustannej praktyki.

Kilka szybkich ruchów i gra skończona. Wygrywamy. Michael zaczyna zbierać kule do rewanżu, a Sin idzie do baru i wraca z lemoniadą. Biorę łyk, marszczę nos. Jest w niej coś dziwnego. Tegan musiała pomyśleć o tym samym i powiedziała coś do Sina, bo słyszę, jak mówi:

- Kazałem mu dodać specjalny składnik. Oczywiście Tegan otwierają się szeroko.

- Alkohol? Jak go namówiłeś? Jesteśmy nieletni.

- Wiem, jak dostać to, co chcę - mówi, uśmiechając się.

- Ty naprawdę jesteś jednym wielkim grzechem, co? - mówi Tegan, chichocząc.

Obejmuje ją ramieniem, przyciąga do siebie i całuje. Sądząc po oszołomieniu na jej twarzy, kiedy Sin się odsuwa, myślę, że pocałunek wydał jej się jeszcze bardziej odurzający niż drink.

Tracimy poczucie czasu, rozgrywając partię za partią - a Tegan pije lemoniadę za lemoniadą. Czekać na swoją kolej, opiera się o Sina, jakby nie mogła ustać bez podpory. Widzę potworne obrazy z imprezy, na której wszystko poszło nie tak.

Kiedy Sin idzie wykonać swój ruch, podbiegam do Tegan.

- Nie zapominaj, co się stało ostatnio - szepczę jej do ucha.  
- Za dużo się martwisz.  
- Jak wrócisz do domu?  
- Oczywiście z Sinem. Wyluzuj. Zabaw się. Ostatnio, kiedy się wyluzowałam, mało nie straciłyśmy życia. Gdyby nie Victor... I nagle, jakbym przywołała go myślami, widzę go w rogu kawiarni.

Obserwuje mnie i jak tylko nasze spojrzenia się spotykają, rusza w moją stronę.

- O nie - mruczę.  
- Co? - Tegan zerka w jego stronę. Jej oczy rozbłyskują, a ona uśmiecha się, kiedy Victor do nas podchodzi. - Cześć, Victor.  
- Cześć, Tegan. - Spogląda na mnie. - Dawn.

Chcę go spytać, czy zwariował. Jak może tak po prostu się pojawiać, jakby... nie był wampirem? Michael zjawia się przy mnie od razu, a ja czuję promieniujące od niego napięcie. Gdyby mógł, oznaczyłby mnie jako swoje terytorium. Może i chce, bo jego ramię obejmuje mnie i przyciąga. Przekaz jest jasny: ona jest ze mną. Sin unosi głowę znad strzału, który miał oddać, i widzę w jego oczach zastanowienie, kiedy spacerowym krokiem zbliża się do naszej dziwnej grupki.

- Kim jesteś? - pyta stanowczym głosem Michael.  
- Och, to jest Victor - mówię i przedstawiam ich sobie.  
- Dawn, muszę z tobą chwilę porozmawiać - oznajmia Victor.

- Więc mów - rozkazuje Michael.

- Na osobności - dodaje Victor tak ostro, że przypomina mi swojego ojca, który oczekuje posłuszeństwa.

- Nie sądzę - odparowuje Michael, w którym budzi się instynkt obronny. Może nawet jest trochę zazdrosny.

- Michael... - zaczynam niepewna, jak go uspokoić. Nie mogę znieść świadomości, że Victor postawił mnie w takiej sytuacji. Ale zanim zdążę powiedzieć coś więcej, odzywa się Tegan.

- To nic takiego. Pewnie sprawy Agencji. On jest Strażnikiem Nocy. - Jej oczy robią się wielkie i z pląśnięciem zakrywa sobie dłonią usta. - Ups! Miałam tego nie mówić. Przepraszam, Victor, chyba o jedną specjalną lemoniadę za dużo.

Widzę, że Michael jest rozdarty. Nie lubi Victora, ale skoro jest Strażnikiem Nocy, jak ma go nie podziwiać?

- Hm, tak, Tegan ma rację. Sprawy Agencji. Zaraz wracam. - Chwytam Victora za rękę i ciągnę go w stronę korytarza, który prowadzi do łazienek.

- Co ty sobie wyobrażasz? Po co przyszedłeś? - pytam ściszym głosem, kiedy w końcu znajdujemy się w mrocznym, pustym korytarzu.

- Potrzebuję twojej pomocy. Czekałem pod domem, zniecierpliwilem się i przyszedłem cię szukać.

- Victor...

- Potrzebuję krwi.

Ogarnia mnie złość. Byłam taka głupia, zastanawiając się, czy on rzeczywiście nie jest inny, skoro uratował Tegan i mnie, przejmował się moim spotkaniem z Kapturem,

dał mi głupi prezent. A jemu, jak wszystkim wampirom, tak naprawdę chodzi tylko o jedno.

- I myślisz, że zostanę twoim osobistym dawcą? Nie sądzę. -  
Istnieje czarny rynek dawców krwi. Ludzie za opłatą pozwalają wampirom brać krew bezpośrednio ze źródła. Wampiry twierdzą, że nic nie równa się z krwią pobieraną prosto z szyi, kiedy przechodzi przez bijące serce, ma ciepło i smak nieporównywalny z niczym innym.

Wiele wampirów oprotestowało warunki banku krwi w Wamp-Lu i starają się znaleźć ludzi zdesperowanych z powodu pieniędzy.

Ale ci, którzy służą jako dawcy krwi, są piętnowani. Przyłapani, trafiają do aresztu. Oddawanie krwi powinno przechodzić przez Agencję, która ściśle je kontroluje.

- Nie od ciebie. Z banku krwi. Ze dwanaście torebek.

Przypuszczam, że jako wysłanniczka masz do niej dostęp.

Mam.

- Krew zostanie dostarczona twojemu ojcu w piątek. Weź sobie wtedy od niego.

- Będzie za późno.

Nie rozumiem, jak to możliwe. Victor jest pełen wigoru, energii.

Nie przypomina wygłodzonego wampira.

- Jesteś taki sam jak on. Chciwy, chcesz pić tyle, ile się tylko da.

Zdegustowana odwracam się, żeby odejść, ale on chwytą mnie za rękę.

- Dawn...



- Weź rękę - warczy Michael. Nie widziałam, kiedy przyszedł, ale fakt, że kołek ma cały czas w pokrowcu, sygnalizuje, że nie usłyszał, o czym rozmawialiśmy.

Poziom testosteronu jest tak wysoki, że mam wrażenie, że mnie oblepia.

- Victor, proszę - mówię po cichu, bo wiem, że jeżeli dojdzie do bójki, pokona Michaela.

- Zmuszasz mnie, żebym zrobił coś, czego nie chcę - odpowiada równie cicho. Uwalnia mnie, odwraca się na pięcie i rusza pędem przez korytarz do tylnego wyjścia. Drzwi drżą pod wpływem siły, z jaką je otwiera i zamyka.

Chcę za nim biec, powstrzymać go. Ma zamiar kogoś napaść, wziąć krew siłą? Czyżbym skazała na śmierć niewinnego mieszkańca? Powinnam powiedzieć Michaelowi i Sinowi. Mogliby za nim pobiec, ale wiem, że do tej pory zdążył już zniknąć. Nie znajdą go. Poza tym nie chcę ich narażać na niebezpieczeństwo.

- W porządku? - Michael mnie obejmuje. - Trzęsiesz się.

- Nic mi nie jest - mówię, tuląc się do niego, odnajdując spokój w jego sile.

- Czego on chciał, do cholery?

- Sprawy Agencji. Nie mogę o tym rozmawiać. -A nawet gdyby, co miałabym powiedzieć? Tam jest dziki wampir? Mogłabym powiedzieć Agencji o kinie, ale wątpię, że Victor będzie tam dziś wieczorem. Mogę mieć jedynie nadzieję, że Strażnicy Nocy są zawsze czujni i Victor będzie się trzymał swojej zasady, że nie pije krwi bezpośrednio od ludzi.

- To ma coś wspólnego ze wczorajszym wieczorem?

- Nie.

- Agencja ma dużo tajemnic. - Marszczy brwi.

- Niezupełnie. Tylko się tak wydaje.

- Nie osądzam. Chyba po prostu nie zdawałem sobie sprawy, jaki to ciężar być wysłannikiem. Może jednak powinniśmy byli uciec z tamtą grupą akrobatów.

Śmieję się, a Michael prowadzi mnie z powrotem do stołu bilardowego, gdzie czekają Tegan i Sin.

- Dokopmy im naprawdę.

- Załatwione. - Cieszę się, że mam coś, co odwróci moje myśli od Yictora.

Noc mam niespokojną, rzucam się i przewracam, budzi mnie każdy dźwięk. Spodziewam się, że zobaczę nad sobą Victora, który przychodzi po moją krew. Ale drzwi balkonowe są zamknięte.

Następnego ranka zwlekam, szykując się do szkoły. Kiedy wchodzę do kuchni, Rachel spaceruje ze słuchawką przy uchu.

- Jak to się mogło stać? Jesteś pewien, że nic im nie będzie?

Dobrze, tak, musimy dostarczyć to, co zostało. -Wyłącza telefon, odwraca się na pięcie i zamiera na mój widok.

- Kłopoty? - pytam.

- Ktoś włamał się do piątego oddziału krwi i ukradł dwanaście torebek. To musiał być wampir. Strażnikom zamazał się obraz przed oczami, a potem stracili przytomność. Rano bolała ich głowa, ale nic więcej. Chyba dobrą wiadomością jest to, że ten wampir, kimkolwiek, do cholery, jest, wziął legalną krew, a nie wypił jej od strażników. Oczywiście, zła wiadomość jest taka, że będziesz

musiała tłumaczyć się Valentine'owi, dlaczego jest za mało krwi. - W dłuższej perspektywie dwanaście torebek nie stanowi wielkiej różnicy, ale Valentine dopilnuje, żebym swoje usłyszała, i zażąda odszkodowania.

Rachel siada i zaczyna mieszać swoją owsiankę, jakby spodziewała się, że znajdzie w niej odpowiedź.

Siadam na stołku przed miską, którą dla mnie nakryła. Ona je, a ja bezwiednie posypuję swoją owsiankę cukrem. To na pewno Victor. Bałam się, że kogoś zaatakuję, i uczynił to, ale nie tak, jak myślałam. Po głowie krąży mi tysiąc pytań. Ciężko w to uwierzyć po tym wszystkim, co się ostatnio wydarzyło, ale dziś jest dopiero środa.

- Mamy trochę czasu. Może do piątku uda się zorganizować dodatkowe porcje krwi - sugeruję.

- Tak, może. - Czoło ma tak mocno zmarszczone, że musi ją boleć.

- Ale to nie ma sensu. Jeżeli chce ją sprzedać na czarnym rynku, dlaczego wziął tylko dwanaście? Jeżeli tak desperacko chciał krwi, po co w ogóle ryzykował włamanie do strzeżonego budynku? Dlaczego nie wziął jej od samych strażników?

Te same pytania przyszyły do głowy mnie, tyle że ja wiem, skąd wziąć odpowiedź. I dopilnuję, żeby zapamiętał, że nie będę tolerować kradzieży krwi. Przed wyjściem do szkoły wracam do swojego pokoju i otwieram szkatułkę z biżuterią na komodzie. Była prezentem od taty. Kiedy się otwiera, wyskakuje z niej mała baletnica, która obraca się do melodii. Ale szkatułka jest wyjątkowa dlatego, że ma ukrytą małą przegrodę. Tata wykorzystywał ją, żeby chować rzeczy, które miałam znaleźć. Nigdy nie wiedzia-

łam, kiedy ani co to może być. Drobiazgi, głupoty. Lśniący cent. Guma do żucia. Karteczka: Kocham cię.

Teraz znajduje się w niej klucz, który Victor dał mi w kinie tamtej nocy, kiedy uratował Tegan. I mnie. Biorę głęboki oddech, otwieram szufladę, w której schowałam prezent, który mi zostawił. Z jakiegoś powodu kolek wygląda o wiele groźniej niż ten, który noszę w bucie. Chwytam go i wkładam do torby. Jeżeli nie chciał, żebym go używała, nie powinien był mi go dawać. Wiem, że niebezpieczna jest już sama myśl o konfrontacji, ale zmęczyły mnie jego gierki, skłanianie mnie, żebym myślała, że jest kimś, kim nie jest. Wiem, że najrozsądniej byłoby powiadomić Agencję o nim i o kinie, ale Victor sprawił, że to rzecz osobista. Chcę pokonać go sama, bez pomocy.

Podczas lekcji klucz wypala mi dziurę w kieszeni dzinsów, a ja obmyślam strategię. Tegan i Michael są nadal strasznie zakochani w Sinie, na przerwach i w czasie lunchu zasypują go pytaniami o życie w Los Angeles. Nie zauważają, że jestem nieobecna myślami. Michael po szkole ma trening i zaprasza Sina, żeby poszedł z nim. Tegan chce zostać ze mną, ale mówię jej, że mam sprawę agencyjną. Co jest zgodne z prawdą.

Mam mgliste pojęcie o tym, gdzie znajduje się kino. Wskakuję do tramwaju, który przejeżdża przez tę dzielnicę. Mam kolek schowany w bucie i prezent od Victora w torbie, ale słońce nadal stoi na niebie, a ono jest o wiele skuteczniejszą bronią. Wsiadam z tramwaju i ruszam przez labirynt opustoszałych budynków w tej części

miasta. Słyszę trzask i oglądam się. Ze śmietnika uciekają szczury, które kot płoszy z kryjówki.

Nie wiem, czemu jestem taka strachliwa. Idę dalej. Kilka minut później, ku mojej ogromnej uldze, dostrzegam kino.

Za dnia wygląda inaczej. Straciło swój romantyzm, swoją dostojność. Zamiast reliktu przeszłości, walczącego z upływem czasu, przypomina bardziej podziurawioną muszlę, podtrzymywaną przez połamane filary i zaprzepaszczone marzenia. Wyobrażam sobie właściciela, pięćdziesiąt lat temu, uśmiechającego się do wielkich liter i szklanych gablot, w których wisiały plakaty filmów dawno wymazanych z pamięci. Nie miał pojęcia, czym się stanie.

Jednak kino przypomina mnie samą. W nocy jest inne. Zmienia się wraz z zachodem słońca, tak jak ja zamieniam się w wysłanniczkę, w kogoś, kto musi przedkładać potrzeby mieszkańców miasta ponad swoje.

Rozglądam się, ale nikogo nie widzę. Wyciągam klucz z kieszeni, wsuwam do kłódki i...

Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, kłódka otwiera się, a łańcuchy opadają. Martwiłam się, że Victor do tej pory zmienił zamek. Otwieram szeroko drzwi i wchodzę do ciszy. Serce mi łomocze. Powinnam mieć przy sobie kadrę strażników Agencji, ale przemykają mi przez myśl moje spotkania z Victorem. Może chcę mu dać jeszcze jedną szansę, by udowodnił, że jest inny od pozostałych.

Wyciągam latarkę, włączam ją i wyjmuję kołek z torby. Ciężar tego, co robię, przygniata mnie jak ciężki ka-

mień, kiedy zapinam w pasie futerał. Nie bardzo wiem, czemu go zakładam. Zależy mi tylko na kołku, a w tej chwili trzymam go w śmiertelnym uścisku. Idę przez hol i skręcam w korytarz. Może być wszędzie, ale podejrzewam, że jego sypialnią jest pokój, w którym położył Te-gan, że tam śpi za dnia.

Zakradam się po schodach i zatrzymuję się przed drzwiami. Tuż przede mną jest pokój, gdzie przeczekiwaliśmy wampiry, kiedy myślałam, że jest Strażnikiem Nocy. Kiedy myślałam, że jest człowiekiem. Kiedy... go lubiłam.

Powoli otwieram drzwi. Victor jest tam, gdzie się go spodziewałam - wyciągnięty na łóżku. Sen wampirów jest tak głęboki, że stanowi jedną z ich niewielu słabości. Nawet kiedy świecę mu latarką prosto w oczy, nie otwierają się. Jego pierś się nie porusza. Jest jak martwy.

Czy wampiry śnią?

Czemu mnie to obchodzi? Przesuwam się w stronę małej lodówki, w której znajdował się napój w puszcze, który mi wtedy dał.

Otwieram ją. Jest zapchana workami z krwią.

Wstrząsa mną ogłuszające rozczarowanie. Aż do tej pory nie uświadamiałam sobie, jak rozpaczliwie chciałam się mylić w jego kwestii. W głębi duszy nie chciałam, żeby był jak inne wampiry. Ale to jest dowód. Chciwości, samolubstwo, myślenia tylko o sobie i nieustannej żądzy krwi.

Podchodzę z powrotem do łóżka. Jest cudowny, ale to tylko fasada, za którą kryje się potwór. Chcę, żeby znalazł się z dala od mojego miasta - on i wszystkie wampiry. A jeżeli nie odejdzie...

Słońce musiało zająć, uruchamiając wewnętrzny zegar Victora, bo otwiera szeroko oczy. Nie, to nie słońce, jest o wiele za wcześnie. To coś o wiele bardziej nieodpartego - krew płynąca w moich żyłach. Wyczuł ją mimo głębokiego snu. Wampir ze Starego Rodu wpatruje się we mnie teraz, zniewalając mnie swoimi pięknymi błękitnymi oczami. Nie wygląda na zaskoczzonego moim widokiem, właściwie wcale nie reaguje. Po prostu mi się przygląda.

- Widzę, że dostałaś mój prezent - mówi w końcu. Ogarnia mnie złość i nie mogę ukryć jej w moim głosie.

- Nie rozumiem cię, Victor. Sprawiasz wrażenie... prawie miłego, a potem... kradniesz krew z banku.

- Nie zostawiłaś mi wyboru. - Podnosi się i siada.

- Jeszcze nie powiedziałam Agencji, bo jestem ci to winna za uratowanie życia mojego i Tegan, ale zabieram krew...

- Nie zabierasz. - Mija mnie po drodze do lodówki, ocierając się, jakbym była zwykłą muchą, która irytuje, ale nie stanowi prawdziwego zagrożenia.

Wściekła, spoglądam na niego gniewnie niepewna, dlaczego nie wbiłam mu kołka w serce. Wyciąga plecak, otwiera lodówkę i zaczyna upychać krew do plecaka.

- Muszę ją dostarczyć dziś wieczorem. Wczoraj było zbyt duże ryzyko.

- Nie mogę ci pozwolić jej zabrać. Wstaje i zarzuca sobie plecak na ramiona.

- Nie możesz mnie powstrzymać, Dawn.



- Vice...

- Więc chodź ze mną, a zobaczysz, dlaczego muszę ją mieć.

Nie bardzo pamiętam, co sobie myślałam, kiedy zgodziłam się przyjąć jego zaproszenie. Może, że dowiem się więcej na temat jego nielegalnej operacji i będę mogła dostarczyć Agencji nazwiska i kryjówki wampirów. Czekaliśmy w milczeniu, aż zapadnie noc, i dopiero wtedy wyszliśmy z kina. Teraz kluczymy w ciemności pomiędzy ruinami, przemykając uliczkami. Potykam się.

Victor chwyta mnie za rękę i ratuje przed upadkiem.

- Przepraszam, że nie możemy skorzystać z latarki -mówi. -

Zdradziłaby nas. Trzymaj się mnie, a ja cię poprowadzę.

Bierze mnie za rękę, splatając palce z moimi. Wampiry widzą w ciemności. Uświadamiam sobie teraz, że tej pierwszej nocy, kiedy prowadził mnie i Tegan do kina, używał latarki ze względu na nas. I żeby zatuszować, kim naprawdę jest.

Nie rozmawiamy. Kolejna metoda, żeby nasze ruchy nie zostały odkryte. Zadziwia mnie, jak cichy jest Victor. Ubrany na czarno stapia się z cieniami nocy. Gdyby nie to, że jego dłoń ściska moją, mogłabym pomyśleć, że nie ma go już przy mnie. Nie wydaje żadnych dźwięków, stawia kroki ostrożnie, unikając stąpania na coś, co wyjawiliby jego położenie. Mój ojciec kiedyś tłumaczył mi, że nie wszystkie wampiry potrafią być bezszelestne. To cecha Starych Rodów, tych, którzy urodzili się w ciele wampira i znają wszystkie jego możliwości. Ci, którzy

zostali przemienieni bardzo rzadko całkowicie asymilują się z ciałem wampira. W głębi duszy są ludźmi - którzy osiągnęli nieśmiertelność, wieczną młodość i pragnienie krwi.

Nie jestem nawet pewna, skąd mój ojciec wziął wszystkie swoje informacje. Ale jako wykładowca musiał badać starodawne teksty i dokumenty.

Mam wrażenie, że idziemy całą wieczność. Rozumiem, dlaczego nie przyjechaliśmy tu samochodem. Dzielnica jest zniszczona, wąskie uliczki zaśmiecone. Moja wyobraźnia szaleje i przed oczami stają mi wszelkiego rodzaju nielegalne interesy tu załatwiane. Krew za pieniądze, krew za narkotyki, krew za jedzenie. Cenna purpura, która płynie w moich żyłach, stała się walutą nowego świata.

W końcu Victor zatrzymuje się przy jednym z budynków i otwiera drzwi, których ja nawet nie zauważyłam. Wślizgujemy się do środka.

- Schody - szepcze Victor.

Wyciągam wolną rękę i chwytam się poręczy. Łatwiej się wchodzi. Liczę stopnie, liczę skrzydła, tylko po to, żeby mieć zajęty umysł i nie myśleć o tym, że jestem z wampirem na pełnym odludziu.

Na czwartym piętrze ruszamy prosto. Wyciągam rękę i czuję, że ociera się o ścianę. Jesteśmy na korytarzu, który od jakiegoś czasu nie widział dziennego światła. Drewno jest pokaleczone i poplamione, z zaciekami od latami przesiąkającego deszczu, który rozkłada budynek od środka.

Victor zatrzymuje się i słyszę lekkie pukanie. Drzwi skrzypią.

- Victor - odzywa się łagodny kobiecy głos. - Dzięki Bogu.  
Victor wprowadza mnie do środka. Kiedy drzwi się zamykają, zapala się światło. Widzę blask latarki w dłoni Victora.  
Wyswobadza moją dłoń i stawia latarkę na stole. Zalewa pokój dziwną poświatą. Widzę kobietę, która musiała otworzyć drzwi. Jest szczupła. Ma głęboko osadzone oczy.

- Martha... to moja przyjaciółka, Dawn. Jak Justin? -pyta.  
- Nie ruszył się przez cały dzień. Gdyby mógł umrzeć, pewnie już by go nie było.

Victor zrzuca plecak i przechodzi przez próg, a jedynym świadectwem tego, że kiedyś znajdowały się w nim drzwi, są połamane zawiasy. Rozglądam się i postanawiam iść za nim. Światło latarki wdziera się w tę przestrzeń i rzuca dziwny blask na około dziewięcioletniego chłopca, który leży na łóżku pod kocami.

- Cześć, Justin - wita go Victor, otwierając plecak. -Przyniosłem ci coś.

Wyciąga torebkę z krwią i wciska ją chłopcu do ust. W jednej chwili kły Justinea wydłużają się i przekłuwają torebkę. Miedziany zapach krwi unosi się, kiedy łapczywie pochłania zawartość. Patrzę, jak jego gardło się porusza, połykając życiodajny płyn, i wiem, że powinnam czuć odrazę. Ale jestem zafascynowana. Po kilku mililitrach krwi Justin wygląda o wiele lepiej. Nigdy wcześniej nie rozumiałam w pełni cudu naszej krwi. Teraz rozumiem,

że potrzebują jej do życia - w jakiś dziwny sposób, może nawet bardziej niż my.

- Zamienił go ojciec, nas oboje - wyjaśnia mi Martha cichym głosem, jakby mogła im przeszkodzić. - Wrócił z wojny jako wampir i nie mógł znieść myśli, że miałyby się zmierzyć z wiecznością bez nas. - Wzdycha, spoglądając na mnie. - Jesteś wysłanniczką.

Kiwam głową, nie wiedząc, czemu czuję się niezręcznie pod jej badawczym spojrzeniem, jakbym ją zawiodła.

- Wiem, że nie powinno być nas w mieście, ale nie podoba mi się tam, za murami. Tu zawsze był nasz dom.

Brakuje mi słów. Mieszkanie, wampiry, wszystko jest bardzo nierealne. Jak coś, co widziałam w telewizji i teraz mi się śni.

Biorąc pod uwagę miejsce, w którym jestem, powinnam się bać. A jednak się nie boję. To są wampiry, o których opowiadał mi Victor tamtego wieczoru - te, które nie różnią się wiele ode mnie.

- Zanim zostałam przemieniona, uważałam wampiry za potwory - mówi cicho Martha. - Śmieszne, teraz myślę tak o ludziach. Śmieję się i płaczę zupełnie tak jak oni. Nigdy nie skrzywdziłabym żywej duszy, ale gdybym przeszła ulicami, przekłuli by mnie kołkiem.

Jeżeli znajdą nas Strażnicy Nocy, zabiją nas. A następnego dnia w gazetach znajdzie się mały artykuł na cześć morderców. Mój syn i ja stalibyśmy się statystyką, odznakami na ich piersiach.

- Czemu twój syn tak osłabł? Rozciera dłońmi ręce w górę i w dół.

- Mój mąż, Robert, pracuje dla Valentine'a, za murami. Valentine nie popiera tych, którzy żyją w mieście. Gdyby to zrobił, przyznałby, że w mieście żyją wampiry. - W jej głosie słyszę pogardę. - A to byłoby wbrew Wamp-Lu. Ma być naszym władcą, ale o nas nie dba. Robert przynosi nam, co może, ale zawsze jest za mało, poza tym trudno mu dostać się do miasta. Ostatnio widziałam go trzy tygodnie temu.

Widać, że się o niego martwi. Mógł wpaść na patrol, Strażników Nocy albo na czujnego mieszkańca. Mógł nawet wpaść na istotę z tamtej strony.

- Przez cały ten czas Justin marniał - opowiada. -Z początku powoli, ale teraz jego płacz niesie się echem po nocy, a ja nie mogę nic zrobić, tylko go przytulam i mówię, że jutro będzie lepiej. Za tydzień zostałaby z niego pusta skorupa, żywa od środka, ale nie mógłby się ruszyć, dopóki by się nie pożywił. Obawiam się, że wcześniej wyszedłby z domu zdesperowany i kogoś zabił.

Próbowałam go nauczyć, że życie jest cenne, że nie może brać krwi z ludzkiej szyi, ale znam ból, jaki czuje, i wiem, jak szybko zapomina się takie lekcje.

- Jak to jest? - pytam. - Być bez krwi?

- Strasznie. Tyle czasu poświęcasz na to, żeby ujarzmić potwora w sobie, ale kiedy jest się wygłodniałym, wszystko inne się nie liczy. To jak czasowe szaleństwo. Nic innego nie ma znaczenia, dopóki się nie najesz. To okropne. A teraz przechodzi przez to mój syn.

Ale już niedługo. Za godzinę Justin będzie biegał po mieszkaniu. Jego matka wypija porcję krwi, którą przyniósł Victor.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, po co potrzebna ci krew? - pytam, kiedy jesteśmy z powrotem na zewnątrz.

- Nie dałaś mi szansy. A poza tym raczej nie byłaś skłonna mi uwierzyć.

- Dziwisz mi się? Kłamałaś, odkąd się poznaliśmy...

- Nigdy cię nie okłamałem, Dawn. Może nie powiedziałem ci całej prawdy...

- Oszukałaś mnie. Sprawiałaś, że myślałam, że jesteś czło...

Bez uprzedzenia wpycha mnie w szparę, plecami do ceglanej ściany i przyciska ciało do mojego.

- Co... - zaczynam.

- Cii. Strażnicy - głos Victora łagodnie brzmi w moim uchu, jego policzek dotyka mojego.

Wtedy ich słyszę. Szuranie butów. Ciche szepty. Jedna moja dłoń leży płasko na piersi Victora, a ja czuję dudnienie jego serca. Bije w rytm mojego.

- Idiota - mówi głosem tak cichym, że gdyby jego wargi nie ocierały się o moje ucho, nie usłyszałabym żadnego z jego słów. -

Że cię ze sobą zabrałem, naraziłem cię na niebezpieczeństwo.

Chciałem tylko, żebyś zrozumiała, że nie wszystkie wampiry to potwory.

Słyszemy trzask, ktoś coś przewraca. Victor zamiera zupełnie, nieruchomo jak skamieniały.

- Bo jestem wysłanniczką, tak? Więc będę miała więcej współczucia dla wampirów?

- To nie jedyny powód. - Przerywa. Cisza zalega między nami, kiedy czekam, żeby wyjaśnił mi resztę. - Znam ludzi - mówi w końcu. - Ale nigdy nie poznałem nikogo takiego jak ty, Dawn Montgomery. Jesteś tak przekonana do swoich racji. My żyjemy wiecznie i wiele rzeczy zaczęliśmy traktować jak oczywiste. Ty wszystko doceniasz.

Nie wiem, dlaczego o tym mówi. Może chce odwrócić moją uwagę od tego, jak blisko siebie jesteśmy.

- Odciągnę ich - szepcze. - Jeżeli po ciebie nie wrócę, zostań tu do wschodu słońca.

- Nie. - Dociera do mnie, że ściskam jego koszulkę. Jestem naiwna, myśląc, że mam siłę, żeby go tu zatrzymać. - Poczekaj.

I czeka. Nic więcej nie mówi. Nasze serca biją wolniej. Mijają długie, niekończące się minuty. Nocne powietrze staje się chłodniejsze, ale ciało Victora emanuje ciepłem. Wiem, że Strażnicy by mnie nie zabili, gdyby mnie rozpoznali. Ale nie spodziewaliby się mnie w tej części miasta, o tej porze w nocy. A jeżeli znaleźliby worki z krwią, które jeszcze są w plecaku Victora, pojawiło by się za dużo pytań.

Wszystko cichnie. Nie słychać już kroków. Nie ma głosów w oddali. Po chwili słyszę odgłosy drobnych istot, które znów się poruszają.

- Poszli dalej - mówi Victor. - Dzięki, że ich nie zawołałaś.

Odsuwa się, a mnie uderza świadomość, że nie zakrył mi ust dłonią. Że mogłam krzyknąć do Strażników, mogłam im wydać Victora. A mnie coś takiego ani razu nie

przeszło przez myśl. Mówię sobie, że to dlatego, że byłam zaskoczona. Że nie odsunęłam go ani nie ściągnęłam na nas uwagi, bo gdyby Strażnicy Nocy nas znaleźli, musiałabym się nieźle tłumaczyć przed Agencją. Po prostu chroniłam siebie. To o wiele sensowniejsze niż przyznać, że bałam się o życie Victora. Bierze mnie za rękę i wyprowadza ze szczeliny. Ostrożnie idziemy przez gruzy, spieszymy się. Przystajemy jeszcze dwa razy, ale nigdzie nie wchodzimy. Victor tylko wsuwa krew przez wąską szparę, kiedy drzwi uchylają się na jego pukanie.

- Nigdy wcześniej nie kradłeś krwi z banku, prawda? - pytam, kiedy oddaliśmy się od ostatniego miejsca.

- Nie, zwykle mam ją z zapasów ojca, ale te wampiry nie mogły czekać. One nie umierają, Dawn. Po prostu cierpią, usychają, aż mogą tylko siedzieć w kacie, nie są w stanie się ruszyć, czekają aż zostaną przebite kołkiem przez przygodnego Strażnika albo zniszczy je słońce. Wampir może tak spędzić całą wieczność, sam ze swoimi myślami.

Drzę. Dziś wieczorem zobaczyłam wampiry jako... rodzinę. I Victora w roli Robin Hooda, który kradnie w lesie króla, żeby dostarczać jedzenie ubogim. Tyle że tym razem zabrał z banku krwi, żeby dać wampirom w mieście - tym zaniedbanym przez lorda Murdocha Valentine'a.

Dziwnie się czuję, kiedy uświadamiam sobie, że znów trzyma mnie za rękę. Owszem, jesteśmy w ciemności, owszem, prowadzi mnie. A jednak nie mogę się pozbyć przekonania, że chodzi o coś więcej. Coś między nami się



zmieniło, kiedy byliśmy w tej głupiej szczelinie, i czuję się winna na myśl o Michaelu.

- Ilu ich jest w mieście? - pytam, próbując obrać pierwotny cel i wykorzystać to jako misję wywiadowczą.

- Co za różnica, Dawn? Skoro nikomu nie robią krzywdy, dlaczego nie można zostawić ich w spokoju?

Uniknął odpowiedzi na moje pytanie.

- Ale wiedzą, że mogą do ciebie przyjść, jeżeli czegokolwiek potrzebują?

- Robię, co mogę.

- Twój ojciec wie o tym wszystkim? Wie, co robisz?

- A Rachel wie o wszystkim, co ty robisz? - pyta.

- Nie cierpię, kiedy ktoś odpowiada pytaniem na pytanie.

- Więc przestań pytać.

Wiem, że skrywa tajemnice. Mimo tego, co stało się dzisiejszej nocy, nie ufa mi bardziej niż ja jemu. Ta świadomość mnie zasmuca.

Jednak nie mogę się powstrzymać, chcę wiedzieć więcej, sprawdzić, czy ufa mi choć trochę.

- A czemu twojemu ojcu zależy, żebym ubierała się w stroje z epoki wiktoriańskiej? Chyba ma na tym punkcie obsesję.

- To były czasy naszej świetności. Rozumieliśmy świat. A później przyszła cała ta technologia i nagle ludzie wiedzieli więcej niż my.

Nie jesteśmy twórczy. Nie możemy wyobrazić sobie możliwości, tak jak wy. Mamy bardzo małą wyobraźnię.

- Nie wiedziałam.

- Malowanie, pisanie opowieści czy wierszy... przerasta nas. Ale mogę sobie wyobrazić świat, w którym wampiry i ludzie współistnieją. Gdzie ludzie chętnie oddają krew, żebyśmy nie musieli cierpieć. Gdzie my służymy jako ochrona przed złem, zamiast być synonimem potwora.

Próbuję sobie wyobrazić świat, jaki opisuje. Chcę, ale wydaje mi się to niemożliwe, zastanawiam się więc, kiedy stałam się taką pesymistką.

- Mówiąc o złym... odkryłeś coś, kiedy oglądałeś wampira w kostnicy? - pytam.

- Nie znałem go. Wiem tylko, że zaatakowało go coś dzikiego. Kiedy docieramy do części miasta, w której jest trochę widniej, wyswobadzam dłoń z dłoni Victora. Nie jestem pewna, gdzie dokładnie jesteśmy, ale w końcu docieramy do torów tramwajowych.

- Dojadę stąd do domu - mówię, nie patrząc na niego.

- Nie pozwolę ci samej jechać przez miasto. Jest prawie dziesiąta. Wydaję lekki jęk.

- Rachel mnie zabije. - Wyciągam telefon. Jak było do przewidzenia, są nieodebrane połączenia i wiadomości.

Wyciszyłam telefon, kiedy szłam do kina, bo nie chciałam, żeby zadzwonił i obudził Victora, zanim znajdę się na miejscu.

- Wybacz ci, jak dotrzesz bezpiecznie do domu -mówi.

- Wątpię. - Po trosze chcę, żeby znów wziął mnie za rękę, chcę poczuć jego dotyk. Ale zakładam sobie ręce na

piersiach, żeby mieć pewność, że moja dłoń nie znajdzie się w jego zasięgu. - Nie martwi to twojego ojca? Ze tu mieszkasz? To znaczy, wampir ze Starego Rodu podporządkowujący się ludzkiemu miastu. To nie jest do końca... właściwe.

- Znasz go całkiem dobrze. - Uśmiecha się. - Dokładnie tak powiedział. Ale mnie to nie obchodzi.

- Myślałam, że obowiązkiem syna jest posłuszeństwo ojcu.

- Cytujesz treści z podręczników Starego Rodu. - Widzę frustrację na jego twarzy.

- Przepraszam - mówię odruchowo. Kiwa ręką od niechcenia.

- Nie, to świadczy o tym, ile nauczyłaś się od swojego ojca, jak bardzo nas poznałaś. Niewielu jest ludzi w tym mieście, którzy wiedzą tyle o wampirach. To znaczy czytanie podręczników to jedno, a co innego obserwowanie wampirów na żywo. Jedynie garstka ludzi miała sposobność rozmowy z moim ojcem i przeżyła. To daje wyjątkowe spojrzenie, doświadczenie, jakie posiada niewielu.

- Moi rodzice je mieli - mówię. Nie bardzo wiem dlaczego. Ale chyba chcę, żeby Victor o nich mówił. Musiał ich znać. Ich śmierć otwiera we mnie otchłań, jak rana, która nagle zaczyna krwawić w sposób niemożliwy do opanowania.

Zapada długa, przeciągająca się cisza. Nasze spojrzenia spotykają się od czasu do czasu, ale żadne z nas nie chce się odezwać.

- Znałeś ich? - pytam w końcu.

- Przykro mi, Dawn. - Kręci głową. - Kiedy pełnili funkcję, byłem w mieście. Nigdy ich nie spotkałem podczas niewielu moich wypraw do posiadłości.

Kiwam głową, godząc się z tym. Z jakiegoś powodu wydawało mi się, że Victor byłby w stanie uleczyć tę ranę lepiej niż ktokolwiek inny. Dziwne, że sądzę, że ten wampir, uosobienie wszystkiego, czego nienawidzę, mógłby ukoić mój ból.

Dzięki Bogu, w końcu przyjeżdża tramwaj. W środku jest zaledwie parę osób. Wchodzimy i siadamy na tylnej ławce. Victor dotyka udem mojego uda. Myślę o czasie, kiedy napełniłoby mnie to odrazą. Teraz z jego bliskości czerpię pociechę. A przynajmniej poczucie bezpieczeństwa - księżę nocy eskortuje mnie do domu. Nie rozmawiamy po drodze. Ani kiedy wysiadamy. Ani kiedy idziemy w stronę mojego bloku. Cisza kończy się dopiero, kiedy stajemy po drugiej stronie ulicy.

- Powinnam oddać ci klucz - mówię i sięgam do kieszeni.

- Zatrzymaj go. Nigdy nie wiadomo, kiedy zachce ci się wpaść, żeby obejrzeć film.

- Naprawdę masz filmy?

- Kino bez filmów byłoby trochę dziwne.

- Chyba tak. Skąd je masz?

- Mam przyjaciela w Los Angeles, który mi je przysyła, jak na jakiś trafi.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że wampiry mogą mieć przyjaciół, że wyświadczają sobie nawzajem drob-

ne, specjalne przysługi. Victor z każdą chwilą wydaje mi się bardziej ludzki.

- Carrolltona? - pytam. - To Stary Ród, który rządzi w tamtej części kraju.

- Zgadza się. Znasz chyba nazwiska wszystkich Starych Rodów i ich terytoria. Ma na imię Richard. Myślę, że byś go polubiła.

- Jeżeli jest wampirem, to nie.

- Nie mówisz już tego z takim przekonaniem.

To prawda. Odkąd poznałam Victora, wszystko, co do tej pory myślałam o wampirach, zostało przewrócone do góry nogami. Czuję się tak, jakbym miała mu podziękować, ale nie bardzo wiem za co.

- Dobra, chyba już pójdę. - Ruszam przez ulicę, staję, wracam. - Nie jesteś taki, jak myślałam.

Uśmiecha się. Niewiarygodnie pięknym uśmiechem.

Pędzę przez jezdnię do mojego bloku, do domu i bezpieczeństwa. Bo ten uśmiech przeraża mnie z powodu, którego nie umiem wyjaśnić. Wiem tylko, że chcę ten uśmiech zobaczyć znowu.

Gniewne spojrzenie Rachel, kiedy wchodzę do mieszkania, jest niemal tak świdrujące jak spojrzenie Valentine'a, kiedy mu powiedziałam, że nie będzie dodatkowej krwi.

- Wiem, wiem - ucinam, zanim zdąży cokolwiek powiedzieć. -  
Siedziałam na schodach i rozmyślałam.

Unosi obie brwi, słysząc moje kłamstwo.

- Dlaczego? Coś się stało?

Opadam na kanapę i podciągam nogi pod brodę.

- Nie czuję, żeby był ze mnie jakiś pożytek jako z wysłanniczki.

- Rozmawiałaś z Valentine'em. Jego wampiry nie atakują murów.

- Ale bycie wysłannikiem to coś więcej. Moi rodzice organizowali zbiórki krwi. - Wszystkie te myśli bombardowały mnie, kiedy jechałam windą. - Organizowali pięciokilometrowe biegi krwi...

- I nie zebrali ani mililitra, o ile pamiętam.

- A jaka była nagroda? Bawełniana koszulka? Na to nikt się nie skusi.

Siada przy mnie na kanapie, podciąga nogi do piersi i obejmuje je. Wygląda młodo. Łatwo jest zapomnieć, że jest ode mnie starsza o niecałe dziesięć lat. W tych czasach wszyscy dorastamy szybciej.

- Więc chcesz zacząć płacić za krew?

- Nie, ale... bierzemy krew od każdego, kto skończył siedemnaście lat. Ale nie znam w szkole nikogo, kto oddawałby krew. Więc młodzież jest nieodkrytym źródłem. Jak ich skłonić do oddawania krwi?

Przykłada starannie wymanikiowany palec do brody. Widzę, że poważnie myśli nad tym, co powiedziałam.

- Większość plakatów w mieście skupia się na rodzicach oddających krew, żeby chronić dzieci - zauważam.

- Bo zawsze myśleliśmy, że to oni są najbardziej prawdopodobnymi dawcami. Ale masz rację. Jeżeli uda nam się wyrobić w nastolatkach nawyk oddawania krwi, wejdą z nim w dorosłość. Masz pomysł, jak to zrobić?

- Tańce? - proponuję. - Oddać krew i dostać wejściówkę gratis?

- To chyba musi być coś więcej niż tańce. - Marszczy czoło. - To chyba musi być porządna impreza.

- Podoba mi się twój tok myślenia. - Uśmiecham się.

- Napisz plan, kosztorys. Podrzucimy to Clive'owi, jak będę cię rano odwozić do szkoły.

- Dzięki. - Zeskakuję z kanapy, przystaję i przyglądam się jej. -

Rachel, znałaś jakiegoś wampira? Poza Valentine'em, oczywiście?

- Pytając, czy znałam, masz na myśli czas inny niż ten, którego potrzeba, żeby przebić kołkiem serce?

- Tak. - Kiwam głową.

W jej brązowych oczach o odcieniu toffi pojawia się cień smutku.

- Wiele z tego, co wiem o wampirach, dowiedziałam się od jednego, którego uważałam za... przyjaciela. Byłam młodsza od ciebie, wojna jeszcze szalała. Przychodził do miasta nocą. Wtedy było łatwiej nie było muru. Rozmawialiśmy. W końcu pewnej nocy... potrzebował krwi. Chciał mojej. A kiedy się nie zgodziłam, próbował ją wziąć sam. Krzyknęłam. Ludzie wybiegli z domów i... zabili go. Przez długi czas czułam się winna. Bo on tylko prosił o pomoc.

- Gdyby naprawę był twoim przyjacielem, nie próbowałby cię zmusić.

- Nie. Nie próbowałby. Ale gdybym ja była prawdziwą przyjaciółką, chyba dałabym mu to, czego potrzebował. Związki z wampirami są skomplikowane, Dawn. Pamiętaj o tym. Valentine nigdy nie będzie twoim przyjacielem.

Ma rację, nie będzie. Ale ja nie mam na myśli Valentine'a. Myślę o Victorze. Możemy być przyjaciółmi?

- Zrobimy tak. Po lekcjach wszyscy pójdziemy do piątego punktu krwiodawstwa i oddamy krew. Rachel załatwi ekipy telewizyjne, żeby nadały relację. Zaczniemy specjalną kampanię na rzecz krwi

- Inicjatywę Młodzieży. Każdy, kto odda pół litra krwi od dzisiaj do soboty, dostanie bilet wstępu na imprezę w Daylight Grill.

Jedzenie i napoje gratis.



Siedzę w stołówce z Tegan, Michael'em i Sinem. Widzę, że ich umysły pracują na zwiększonych obrotach, gdy rozważają, czy podchwycić ten niewiarygodnie kiepski pomysł. Agencja zatrzymała w tajemnicy kradzież krwi z banku, więc nikt o niej nie wie. Nie ma sensu straszyć i tak przestraszonych mieszkańców.

Rachel i ja spotkałyśmy się przed lekcjami z Clive'em. Moje wyszkolenie wysłanniczki przydało się, bo nie potrzebowałam nawet pięciu minut, żeby przekonać Clive'a, żeby przynajmniej dał szansę Inicjatywie Młodzieży.

Po mojej wczorajszej wyprawie z Victorem zawzięłam się, żeby zwiększyć ilość oddawanej krwi. To należy do moich obowiązków wysłanniczki, z którymi na razie tak opornie sobie radzę. Muszę przyznać, że wyjście z Victorem pomogło mi zrozumieć wartość naszej krwi.

- Mówisz, jakbyś stanęła trochę po stronie wampirów - stwierdza Michael po paru minutach.

- Co? Nie. Tylko one potrzebują naszej krwi. A ja powinnam zadbać o to, żebyśmy zdobyli dla Valentine'a odpowiednią ilość. - Chociaż gdyby trochę poszło do Vic-tora, nikt by się nie dowiedział. - Żeby utrzymać pokój. Pomyślałam, że to będzie zabawny sposób.

- Ja, niestety, dopiero oddałem krew w Los Angeles - mówi Sin. - Dla mnie jest trochę za wcześnie. Ale na pewno rozpuszczę wici, może nawet pomogę zorganizować imprezę.

- Nienawidzę igieł. - Tegan wzdraga się wyraźnie, a potem uśmiecha do Sina. - Ale jeżeli potrzywasz mnie za rękę, zrobię to.

- Jasne, ale pottrzymałbym cię za rękę i bez tego.

- Michael? - Zerkam na niego.

- Tak, pewnie.

Żałuję, że wczoraj nie widział tego, co ja. Wiem, że wtedy byłby bardziej entuzjastyczny. Staram się jak mogę nie porównywać jego oporu do determinacji Victo-ra, by przekazać krew wampirom na skraju wygłodzenia. Porównanie jest niesprawiedliwe, bo Michael zrobiłby wszystko dla ludzi. Chociaż Victor również nie zawahał się, żeby uratować Tegan i mnie tamtej nocy w tramwaju.

- Chyba mógłbyś namówić paru chłopaków ze szkoły, żeby się do nas przyłączyli? Mnie ostatnio za bardzo nie słuchają - mówię.

- Porozmawiam z chłopakami na treningu.

- Dzięki. - Wyciągam rękę, splatam palce z jego palcami i z niepokojem uświadamiam sobie, że nie pasują tak idealnie jak wczoraj z Victorem. To bez sensu. Michael jest dla mnie wszystkim. A Victor... Nie wiem już, co o nim myśleć.

Ekipa telewizyjna czeka pod piątą stacją krwiodawstwa, kiedy zjawiam się z moją małą świtą - Tegan, Micha-elem, Sinem i czterema kolegami Michaela. Sześć innych osób oddaje właśnie krew. Nawet ja jestem zaskoczona pozytywnym odzewem.

Uśmiecham się, wyciągam się na leżance i podwijam rękaw, jakbym właśnie miała przeżyć najbardziej ekscytujące chwile.

Michael zajmuje kozetkę obok mnie, a Tegan siada po mojej drugiej stronie. Jest blada. Sin chwyta ją za rękę.

Przy drzwiach i windach stoi kilku ochroniarzy Agencji, strategicznie rozmieszczonych. Stacja w tej chwili przypomina Fort Knox z krwią. Tylko dawcy mają wstęp na to piętro, a na kilku niższych poziomach zamrożona krew czeka na transport. Oczywiście za dnia. Zostawiana jest w każdy piątek przed posiadłością Valentine'a w izolowanych pojemnikach.

- Dawn - zaczyna dziennikarz z mikrofonem, kiedy pielęgniarka przeciera mi zgięcie ręki nasączonym alkoholem gazikiem. -

Gdybyś nie była wysłanniczką, oddawałabyś krew?

- Tak, Chip - mówię, rozpoznając go z wiadomości. - Wampiry nie mogą przeżyć bez naszej krwi. Oddawanie krwi... to dla mnie dobroczynność.

- Niektórzy uważają wampiry za pasożyty.

- To prawda, że do przeżycia potrzebują naszej krwi. Ale ostatnio miałam okazję odwiedzić rodzinę wampirów. - Stojąca za nim Rachel otwiera szeroko oczy i wiem, że będę musiała się tłumaczyć. - Żywią się wyłącznie legalnie pobraną krwią. Chyba... mamy obowiązek robić, co w naszej mocy, żeby chronić każde życie. Możemy oddać krew wampirom dobrowolnie albo być jej pozbawionymi siłą. Oddając ją, mamy kontrolę nad tym, w jaki sposób jest pobierana i w jakiej ilości. Jednocześnie najlepszym sposobem, by upomnieć się o miejsce równe wampirom, są negocjacje.

Rachel lekko kiwa głową z aprobatą. Kiedy wczoraj wieczorem poprosiłam ją o pomoc, dała mi listę punktów do zapamiętania.

- Naprawdę uważasz, że Valentine kiedykolwiek uzna nas za równych sobie?

On nie, ale może jego syn? Jednak Chip nie precyzuje, czy chodzi mu o lorda Murdocha Valentine'a, czy o Victora.

- Z czasem, tak - mówię tylko.

Krzywię się, kiedy igła wślizguje się do mojej żyły.

- Z całym szacunkiem, Dawn, ale jesteś dzieckiem, którego Valentine raczej nie traktuje serio...

- Nie słyszę w twoich słowach wiele szacunku, Chip. Owszem, jestem młoda, ale dużo nauczyłam się od rodziców. I nie noszę w sobie nienawiści, jaką żywią ci, którzy brali udział w wojnie. - Wysłannik musi czasem skłamać. - Naprawdę wierzę, że mogę odmienić los mieszkańców Denver. Inaczej nie przyjąłabym tej funkcji.

- No cóż, jest tu jeden dziennikarz, który ma nadzieję, że ty i Agencja wiecie, co robicie.

- Agencja dokładnie wie, co robi, i darzy Dawn pełnym zaufaniem

- mówi Rachel, wychodząc do przodu. - Jak widzicie, z Dawn przyszło paru nastolatków. Pod jej przewodnictwem uruchamiamy nowy program pod nazwą Inicjatywa Młodzieży. Na rozgrzewkę za tydzień od najbliższej soboty urządzamy imprezę w Daylight Grill. Będzie zespół na żywo, darmowe jedzenie i napoje dla każdego nastolatka, który odda krew w ciągu najbliższego tygodnia.

Rachel bierze na siebie trudniejsze pytania, a ja odpoczywam, opierając głowę o poduszkę. Aparaty pstrykają. Michael pochyla się i ujmuje moją dłoń w swoją.

- Nie jest to chyba nasza najbardziej romantyczna randka - mówi.  
- Może będziemy mogli zrobić coś potem. - Śmieję się cicho. -  
Dzięki, że przyszedłeś.

- Już po wszystkim. - Pielęgniarka wyjmuję igłę. Każe mi przycisnąć do małej ranki bawełniany gazik i zgiąć rękę, żeby krwawienie ustało. Później przykleja mi plaster.

- Okej, dzieciaku - mówi Rachel. - Zrobiłaś dobry uczynek.  
Chodźmy to uczcić.

Ona i Jeff zabierają naszą małą grupkę do chińskiego bufetu.  
Michael zasypuje Jeffa pytaniami. Nie jest tajemnicą, że był Strażnikiem Nocy, zanim został ochroniarzem w Agencji.

Po kolacji Jeff podwozi wszystkich do domu. Jestem pewna, że będę mieć sposobność zobaczyć, gdzie mieszka Sin, ale on wysiada z Michałem. Widocznie zamierzają poćwiczyć razem ruchy obronne.

- Co wiesz o Sinie? - pyta Rachel, kiedy odjeżdżamy.

- Niewiele. Dlaczego?

- Po prostu lubię wiedzieć, z kim się zadajesz.

- Boisz się, że wpędzi mnie w kłopoty?

- Czuć od niego takie wibracje.

Wyglądam przez okno. Rzeczywiście, to prawda. Rachel odwraca się z przedniego fotela i spogląda mi w oczy.

- Więc... skoro już mowa o tym, z kim się zadajesz... mogłabyś mi wyjaśnić, jak to się stało, że poznałaś rodzinę wampirów?

Trafiony!

- Byli w posiadłości u Valentine'a. - Zastanawiam się, ile kłamstw będę musiała wypowiedzieć. Wygląda na to, że stałam się notoryczną kłamczuchą, odkąd do mojego życia wkroczył Victor.

- Pomyślałam, że jak o nich wspomnę, uda mi się uczłowieczyć wampiry.

- Tyle że to nie ludzie.

- Ale mieszkańcy muszą przestać postrzegać je jako potwory. A przynajmniej nie wszystkie.

Rachel przygląda mi się przez chwilę.

- Jestem pod wrażeniem tego, jak szybko zaczynasz rozumieć swoją rolę wysłanniczki, ale dlaczego nie wspomniałaś o nich, kiedy omawialiśmy spotkanie z Valenti-ne'em?

- Byłam zdezorientowana obecnością Victora Valentine'a.

- Nie wyglądałaś na zdezorientowaną.

- Boże, Rachel, to nie ja jestem tu wrogiem.

- Po prostu nie podoba mi się, że nie wiem o wszystkim, co się dzieje. Owszem, miałaś dwa miesiące szkolenia, ale potrzeba lat, żeby stać się naprawdę skutecznym w kontaktach z wampirami, zwłaszcza z takim jak Valentine. Nie łudź się, Dawn. Jesteś jeszcze nowicjusz-ką. Muszę wiedzieć o wszystkim, żebym mogła ci radzić i zapewnić bezpieczeństwo. Tobie i mieszkańcom. Więc czego jeszcze mi nie powiedziałaś?

Wielu rzeczy. Powinnam jej powiedzieć o Victorze.

- Niczego.

Za oknem widzę światła Works. Zbliżamy się do do mu. Kusi mnie, żeby poprosić Jeffa, by jechał trochę szybciej.

Kiedy dojeżdżamy do domu, Jeff wchodzi z nami. Zanurzam się w kanapie i włączam telewizor. W jednej chwili wita nas obraz Rolanda Hurscha przed stacją krwiodawstwa, w której byliśmy. - Agencja robi z nas niewolników! - krzyczy z prowizorycznego podium, które, przyrzekam, nosi wszędzie ze sobą. Przy rozwścieczonym podżegaczu zgromadził się niewielki tłum. Kamery nagrywają jego tyradę, a lampy błyskowe odbijają się od jego spoconej, rozzłoszczonej twarzy. - Teraz na celownik wzięli młodzież, nasze własne dzieci. Każą im sprzedawać dusze za imprezę. Imprezę! Agencji nie wystarcza dojenie dorosłych. Nie, sięgnęli po nasze dzieci. To tragedia!

- Nieźle - mówię. - Uwierzycie? Zero reakcji.

Oglądam się za siebie. Rachel i Jeff są w kuchni i stoją zdecydowanie bliżej siebie niż to konieczne. Słyszę, jak rozmawiają po cichu, i czuję się jak intruz albo jeszcze gorzej, jak przeszkoda dla tego kwitnącego romansu. Ściszam telewizję.



- Idę do swojego pokoju! - krzyczę. - Muszę odrobić lekcje.  
- Dobrze - odpowiada Rachel.

Zamykam drzwi sypialni i czuję taką samą ulgę jak oni, że mam chwilę dla siebie. Siadam z podwiniętymi nogami na łóżku i zaczynam pisać raport na temat Inicjatywy Młodzieży, który przekażę do naszego działu PR. Jeżeli uda im się rozpowszechnić wiadomość w mieście, może wywoła zainteresowanie innych uczniów. Byłaby to niezła przeciwwaga dla tego idioty Hurscha. Jest prawie północ, kiedy mam szkic na temat tego, jak promować wydarzenie. Zadowolona ze skończonej pracy, kładę się na łóżku i wpatruję w sufit. Zastanawiam się, co robią Michael i Sin. Od pojawienia się Sina Michael i ja mamy dla siebie jeszcze mniej czasu. A może to moja wina? Ostatnio wiele mojej energii poświęcam na rozszyfrowywanie Victora.

Obracam się na łóżku i wstaję, idę przez pokój, otwieram drzwi balkonowe i wychodzę na zewnątrz. Noc jest czysta, księżyc jasny, a dostawy energii z Works idealne. Całe miasto wygląda jak kolekcja światełek.

Siadam na poduszce w fotelu z kutego żelaza. Zamykam oczy i biorę głęboki oddech. W powietrzu unosi się znajomy zapach, ten, którego o wiele za dużo nawdychałam się zeszłej nocy.

Otwieram oczy i nie jestem zaskoczona tym, że na krawędzi balkonu stoi Victor. Jego wysoka postać opiera się beztrąsko o barierkę; nie boi się niebezpiecznego upadku, gdyby stracił równowagę.

- Co tu robisz? - pytam.

- Chciałem ci podziękować. Widziałem dzisiejsze wiadomości. Za twoją... Inicjatywę Młodzieży.

- Wykonuję swoją pracę. - Wzruszam ramionami.

- Tak?

Nie chcę analizować motywów, które mną kierowały, a już na pewno nie mam ochoty, żeby analizował je on.

- Chyba lepiej, żeby cię tu nie było. Jeff jest w środku. - Chyba. Nie słyszałam, żeby wychodził.

- Wiem. Bez problemu ucieknę, jak będzie trzeba. - Spogląda na miasto. - Żałuję, że nie mogę zobaczyć tego miejsca w słońcu.

Spoglądam na ulice przesłonięte dławiącym smogiem wypluwany przez Works.

- A ja żałuję, że nie mogłam go zobaczyć, zanim zniszczyły go bomby.

- Kiedyś lubiłem tu spacerować, przed wojną. Wtedy wszystko było o wiele jaśniejsze i tętniło życiem. Tam... -wskazuje

skrzyżowanie, przez które z rzadka przejeżdża samochód - ..

.uratowałem dziecko przed ciężarówką. Wtedy był człowiekiem. Teraz jest niższym.

- Masz na myśli Justina? Odwraca się znów do mnie.

- Tak. Kiedy miał trzy, może cztery lata, wybiegł na ulicę. Ale na początku wojny przemieniono jego ojca. Wrócił tu, żeby zatrzymać rodzinę w jedyny sposób, jaki znał. Z niższymi jest tak, że... nie starzeją się, nie zmieniają się od momentu, gdy zostają przemienieni. Justin na

zawsze pozostanie dzieckiem. Nigdy nie wyrośnie z zabawek, nie zakocha się ani nie będzie marzył o tym, żeby zmienić świat. Wkurzam się, kiedy wampiry przemieniają dzieci, nawet swoje. Nie wiem, co powiedzieć. Tyle rzeczy w Victorze potrafi odebrać mi mowę.

- Ludzie są napadani przez wampiry albo po prostu sami chcą się stać jednymi z nas - mówi. - Ale nikt nie jest przygotowany na życie, które trwa wieczność.

- Nigdy mnie to nie kusiło. I kwestia tej całej nowej diety. Blee. Uśmiecha się szeroko i spogląda znów na miasto.

Łapię się na tym, że jestem go ciekawa, bardziej niż powinnam. Czterysta lat. Nie mogę sobie tego wyobrazić. Dla mnie trudne było siedemnaście lat. Zastanawiam się, czy lata mają dla niego mniejsze znaczenie niż dla mnie.

- Co się stało z twoją mamą? Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś mówił o lady Valentine.

- Nie ma lady Valentine. - W przeciwieństwie do ojca Victor spogląda mi w oczy. - Miałem jakieś sto lat, kiedy mój ojciec się jej pozbył.

- Co? Chcesz powiedzieć, że się z nią rozwiódł?

- Wygnał ją. U nas tak to działa. U wampirów nie ma tego całego „dopóki śmierć nas nie rozłączy”.

- Domyślam się. Dla was to by było prawdziwe małżeństwo na zawsze. - Wsuwam sobie stopy pod pupę. -Więc twój tata po prostu się nią zmęczył?

- Chciał więcej dzieci.

Dziwnie jest wyobrażać sobie Valentine'a jako kochającego ojca. Ja myślę o nim jako o władcy i mistrzu, jak o potworze, moim wrogu.

- Kobiety ze Starego Rodu mogą rodzić tylko raz. Później stają się bezpłodne. - Victor wzrusza ramionami. -

i trzeba się urodzić wampirem, żeby począć wampira. Ci przemienieni nie mogą się rozmnażać. To pewnie naturalna metoda kontroli urodzin u gatunków nieśmiertelnych.

- Mój ojciec kiedyś mi mówił, że wampir nie może mieć dzieci z człowiekiem.

- To prawda. Twój ojciec znał temat.

W jego głosie słyszę szacunek, jaki żywił do mojego ojca, mimo że nie miał okazji go poznać.

- I co, Valentine ma inne dzieci? - pytam.

- Tak, córkę. Faith.

- Nie wiedziałam. Czy Agencja o tym wie?

- Nie wiem. To nie ich sprawa.

- Chyba nie. - Spoglądam na Works i myślę o Bra-dym, zastanawiając się, czy Victor docenia to, że ma rodzeństwo. - Brady, mój brat, tam pracował. W Works. Po powrocie z wojny.

- Tęsknisz za nim.

- Bez przerwy.

- Podziel się ze mną jakimś miłym wspomnieniem. Wracam myślami do Victora. Jego prośba wydaje się zwyczajna, ale wspomnienie Brady'ego jest osobiste, zbyt osobiste. Był moim starszym bratem. Czasami, kiedy zamykam oczy, nadal słyszę, jak się śmieje. Miał najfajniejszy śmiech. Ale najpotworniejszy krzyk.

Nie mogę rozmawiać z Victorem o jego śmierci. Chociaż miałam wtedy dopiero dziewięć lat, a Brady dwadzieścia, wspomnienie jest ciągle świeże, bolesne. Umarł przede mną. Mieszkaliśmy wtedy w starszej części miasta. Moi rodzice pracowali do późna na uniwersytecie, kiedy przyszły wampiry i Brady zamknął mnie w szafie. Żebym była bezpieczna. Żeby mnie chronić. Czułam przerażenie. Nie chciałam, żeby mnie zostawiał.

- Nie bój się ciemności. - Chciał mnie uspokoić i dodać otuchy. To były ostatnie słowa, jakie do mnie wypowiedział. Zatrzęsął drzwiami. Potem słyszałam tylko walkę. I okropny krzyk. Zwinęłam się w kłębek, chciałam stać się tak mała, żeby wampiry mnie nie zobaczyły, gdyby zajrzały do szafy. Minęło parę godzin, zanim drzwi się otworzyły. Matka wzięła mnie na kolana. Brady'ego nie było.

Nie mogę znaleźć słów, żeby opowiedzieć Victoro-wi, jaka złość trawiła mnie przez te wszystkie lata. Brady umarł, chroniąc mnie. Jego śmierć wpłynęła na mnie, ukształtowała we mnie nienawiść do wampirów. Każdy wampir, którego widzę, jest istotą bez twarzy, która go zabiła. Żyję z jego krzykiem, mam wrażenie, jakby był zawsze w pokoju obok, a ja nadal uwięziona w tamtej szafie słucham z dłońmi na uszach, modląc się, żeby przez okno wpadł promień światła. Ale tak się nie stało. Wiem, że to nieracjonalne. Miałam tylko dziewięć lat, byłam dzieckiem. Żałuję po prostu, że nie mogłam go uratować.

Chcę, żeby Victor zostawił mnie w spokoju. Wspomnienie Brady'ego jest zbyt osobiste, zbyt prywatne, zbyt bolesne. Kręcę głową.

- Nie mogę o nim rozmawiać. - Mój głos jest ochrypły, jakbym płakała, ale jeżeli chodzi o Brady'ego, nie mam już łez.

- Ja podzieliłem się z tobą kawałkiem mojego świata. - Victor kuca przede mną. - Opowiedz mi coś o Bra-dym. Pomóż mi zrozumieć... twoje serce.

Victor potrafi być przekonujący. Nagle chcę, żeby wiedział o tym miejscu wewnątrz mnie, które ciągle krwawi. On pokazał mi inną stronę wampirów; może to pomoże mu trochę lepiej zrozumieć ludzi.

- Kiedy pracował, pył węglowy dostał mu się do otwartej rany na dłoni, a kiedy rana się zagoiła, uwięziła pył. - Palcem kreślę koło na grzbiecie lewej dłoni. - Wyglądało to jak mały kwitnący kwiat, nie większy niż paznokieć kciuka. Czasami kolorował ze mną malowanki. Obserwowałam, jak jego dłoń ostrożnie wypełnia rysunek, a małe płatki poruszały się w tył i w przód, jakby owiewała je delikatna bryza. Fascynowały mnie.

W każdym razie, pamiętam, że tak to wyglądało.

Ciała mojego brata nigdy nie odnaleziono. Kiedy zostałam wysłanniczką, zyskałam dostęp do raportu Agencji w tej sprawie. Mówił, że znaleziono tyle krwi, że podejrzewali, iż Brady zmarł w mieszkaniu i wampiry odciągnęły go, może do ścieków albo do swojej kryjówki. Tego obrazu nie cierpię najbardziej: horda wampirów powoli racząca się ciałem chłopaka z tatuażem w kształcie kwiatka na dłoni. Niewiedza o tym, co się z nim stało, pozwala mi wyobrazić sobie najgorsze.

- Zastanawiałam się nad czymś - mówię cicho.

On milczy. Czeka. Domyślam się, że kiedy masz przed sobą całą wieczność, cierpliwość przychodzi w sposób naturalny.

- Ty chyba znasz wszystkie wampiry, które żyją w mieście.

Pewnie nie słyszałeś, kto go zabrał. Czy umierał szybko, czy powoli.

- Przykro mi. Nie. Nigdy nic nie słyszałem.

- Pomyślałam, że spytam. - Wzdycham.

- Rozumiem, że jego śmierć ukształtowała twoją opinię o nas. Ale proszę, uwierz, że nie wszyscy jesteśmy potworami.

- Tak, zaczynam to sobie uświadamiać. - Znow spoglądam na Works. Na niego nie mogę patrzeć, bo boję się, że wtedy coś we mnie pęknie, że moja ochronna skorupa się stopi. I zacznie mi zależeć na wampirach. Co gorsza, zacznie mi zależeć na Victorze.

W piątkowe popołudnie po lekcjach Michael i ja idziemy do Daylight Grill. Potrzebuję czasu z nim. Ostatnia noc z Victorem była bardzo intensywna, pełna wzburzonych emocji. Sprawiała, że czuję się wobec Michaela jak zdrajczynie. Wiem, że nie pochwalaliby tego, że spędzam czas z wampirem. A na Michaelu strasznie mi zależy. Kocham w nim wszystko i po drodze chłonę każdy jego szczegół. To, jak napinają się jego mięśnie, kiedy się porusza. To, jak się uśmiecha, kiedy na mnie patrzy.

W Daylight Grill siadamy naprzeciwko siebie i trzymamy się za ręce. Nie mogę nacieszyć się jego dotykiem.

- Wszystko w porządku? - Marszczy brwi.

- Tak, jasne.

- Ten chłopak z wężem na kapturze już cię nie nachodzi?

- Chyba nie.

- Chyba?

Kręcę głową. Jak mu to wytłumaczyć, żeby nie wyszło na to, że oszalałam?



- Czasami mam wrażenie, że jestem obserwowana. I wydawało mi się, że widziałam go któregoś ranka po drodze do szkoły, ale kiedy za nim poszłam...

- Poszłaś za nim?

- Nic takiego. Był tłok na ulicach. Nawet nie wiem, czy to był on. Straciłam go z oczu.

- Dobra, od następnego poniedziałku odprowadzam cię do szkoły. Nie zamierzam pozwolić, żeby coś ci się stało.

Jest taki pewny siebie, taki zdecydowany. Ale Brady też taki był. Podchodzą Tegan i Sin i przysiadają się do nas. Rozmawiamy chwilę, ale rozmowa się nie klei. W końcu proponuję, żebyśmy zagraли w bilard.

- Czy wam się to miejsce nie nudzi? - pyta Sin.

- Pewnie - mówi szybko Tegan, co jest dla mnie nowością.

- A co powiecie na to, żebyśmy porobili coś innego? - proponuje Sin.

- Na przykład co?

Nie wiem, do czego zmierza.

- Może spacer pod murami? - pyta z błyskiem w oku. Wiedziałam, że będą przez niego kłopoty.

- Zapomnij - mówię. - Nie po zachodzie słońca. Musi być stuknięty, skoro zaproponował coś takiego.

Za dnia to co innego, ale w nocy... prosilibyśmy się sami, żeby stać się wieczorną przekąską. Słyszałam, że ludzie zastawiają pułapki na wampiry. Ale ja wolę zostawić tę robotę Strażnikom Nocy i straży na murach.

- Daj spokój - mówi Michael. - To niezła zabawa.  
- Łaziłeś tam? - Wpatruję się w niego.  
- Jasne. Tak jakby. To znaczy poszedłem tam w dzień, chodziłem wzdłuż muru ze trzy godziny. Znalazłem parę naprawdę dziwnych rzeczy. Ale nie udało mi się znaleźć szpary na zewnątrz.

- Uwierz mi. To zbyt niebezpieczne. Może jutro po południu, ale nie w nocy.

- Ale wtedy jest najfajniej - przekonuje Sin. - Michael i ja będziemy was ochraniać. Nikt wam nic nie zrobi.

- Ja się ludźmi nie martwię. Martwię się wampirami.

- Niepotrzebnie - nalega Michael. Widzę, że podoba mu się myśl, że będzie mnie chronił przed uzbrojonymi w kły wrogami.

- Ja pójdę, jeśli pójdzie Dawn - oświadcza Tegan, odwracając się do mnie.

Super. Inaczej mówiąc: jak nie pójdziesz, będę na ciebie wściekła, bo zaprzepaściłaś moje szanse na Sina, a teraz wszystko na nic i ple, ple, ple...

- A co wy na to - odzywa się Michael. - Wyjdziemy, a jak będziesz chciała wrócić, tylko mi powiesz i pójdziemy. Żadnych pytań. Żadnych skarg. Odwrócimy się na pięcie i wrócimy do domu.

Oczy Tegan otwierają się szeroko, jakby mówiły: zrobmy to!

To zły pomysł, ale ostatnio złe pomysły chyba mnie prześladują.

- Dobrze.

Wsiadamy w tramwaj i jedziemy do końca linii. To najbardziej oddalone od centrum miasta miejsce, w jakim byłam w obrębie murów. Zwykle, kiedy jadę do posiadłości Valentine'a, Winston prowadzi powóz główną drogą, która ciągnie się prosto z serca miasta do wielkiej bramy posiadłości. Ale jesteśmy daleko od uczęszczanej drogi. I od każdej, która prowadzi do południowych i zachodnich bram oraz wielu innych mniejszych pomiędzy nimi. Niektórzy mówią, że to właśnie dlatego miasto nie jest bezpieczne - za dużo dróg do środka.

- Tędy - mówi Sin. - Mam dobre przeczucie. Ja też mam przeczucie. Że będę tego żałować. Idziemy wzdłuż rzędu opuszczonych domów, równo stojących i jednakowych, z wyjątkiem tych z powybijanymi oknami. Wyglądają na przedwojenne. Zaczynam rozumieć, co miał na myśli Michael, kiedy mówił, że znalazł tu dużo dziwnych rzeczy. Nie do wiary, co jest w tych domach. Pamiątki z przeszłości, rodzinne zdjęcia ludzi, którzy już nie żyją... albo wampiry. Strażnicy Nocy lubią robić tu obławy w nadziei, że znajdą małe grupy wampirów, kryjące się w starych piwnicach. Zastanawiam się, czy Michael ma nadzieję, że trafi na taką akcję i się do nich przyłączy.

- To jak miasto duchów - mruczy Tegan ściszoneg głosem.

- Boisz się? - pyta Sin.

- Może trochę.

Przyciąga ją do siebie. Ona piszczy i się śmieje. Ja i Michael spoglądamy na siebie wymownie. Wzdryga się.

Sin otwiera plecak, wyciąga cztery latarki i podaje nam.

- Wiedziałeś, że tu przyjdziemy, co? - pyta Michael.

- Podejrzewałem.

Latarki są porządnej jakości, całe z metalu, z jasnymi żarówkami.

- Możecie je sobie zatrzymać - mówi Sin. - Prezent za to, że pomogliście mi uwolnić się od nudy.

Im dalej idziemy ulicą, tym bardziej wydaje się zniszczona. Tak jakby cała dzielnica zanurzyła się na sto lat pod wodę, a potem wyschła. Drewno nie jest zwyczajnie połamane - ono gnije.

Latarnie nie są po prostu złamane, są pokryte rdzą, a znaków drogowych od wielu lat nie da się odczytać.

- Jest - mówi Michael, kiedy skręcamy.

Mur jest rzut beretem od nas. Wyobrażam sobie miejskich architektów decydujących o jego położeniu, budujących go inżynierów. Może włożyli w niego nadzieje na odbudowę tych domów, na to, że znów będą się nadawały do zamieszkania. Może wtedy ten pomysł wydawał się słuszny. Ale teraz wygląda na to, że mur powstrzymuje potworne domy przed ucieczką w noc.

Może przez ten mur duchy, które chodzą ulicami, nie mogą ruszyć dalej w świat?

Nocą mur wydaje się większy, wyłania się nad nami jak drzemiące zwierzę, kiedy się do niego zbliżamy. Tu nie jest tak miło, jak na innych odcinkach. Gruba stal z pionowymi filarami co parę metrów wyrasta pod murem. Farba zeszła już dawno temu, z czasem mur się wypaczył, jakby

źle obliczono jego ciężar i teraz sam się pod nim uginał. Rozglądając się na prawo i lewo, widzę, jak ciągnie się w dal, i dostrzegam krzywizny, jakie wyłobily w nim natura i czas. To, co kiedyś było jednolite, zaczęło żyć własnym spaczonym życiem. Zwykle na murze znajduje się ścieżka dla patrolujących strażników. Ale nie tutaj. Może wszyscy chcą zapomnieć o tej części miasta.

Każde z nas dotyka muru, a potem zaczynamy spacerować wzdłuż niego, przesuając po nim dłońmi.

- Jest za gruby - mówię. - Nie ma szans, żebyśmy trafili na szparę albo otwór. - Nie jestem pewna, czy to prawda, ale chcę wracać do domu. Zobaczyliśmy mur. Czy nie o to chodziło?

- Wydaje mi się, że chyba wiem, gdzie jest.

Jasne. Jest w mieście dopiero od paru dni, ale wygląda na to, że już wie wszystko.

Pokonujemy odległość kolejnej przecznicy. Mur znajduje się po naszej prawej, a długie ulice i korytarze odchodzą po lewej. Kiedy na nie patrzę, światło naszych latarek znika niemal natychmiast, ledwie penetrując atramentowoczną noc. Połyka nas ciemność i chociaż bardzo chciałabym, żeby było inaczej, muszę przyznać przed sobą, że obecność Michaela nie jest dla mnie tak pokrzepiająca, jak obecność Victora.

- Może powinniśmy wracać - mówię do Michaela, który idzie za mną.

- Ale jesteśmy już tak blisko.

- Tego nie wiesz.

- Skoro Sin twierdzi, że wie, gdzie jest otwór...

- Obiecałeś, że wrócimy, kiedy będę chciała. To głupie. Jest zimno i ciemno, bołą mnie nogi i, do cholery, mam dość przerażane na co dzień. Nie potrzebuję niebezpiecznych wycieczek tylko dlatego, że chłopaki mają na nie ochotę. Ale spoglądając na Tegan, wątpię, by chociaż ona stanęła po mojej stronie; jest zapatrzona w Sina bardziej niż inni.

- Jeszcze trochę - ustępuję. - Ale potem...

- Mam! - krzyczy Sin.

Biegniemy do niego. Jego latarka oświetla kupę gruzu, który Sin wybiera spod muru. Za nią znajduje się otwór na tyle duży, że można się przez niego przeczołgać.

- Z zewnątrz do środka - mówi Sin. - Musiały to zrobić wampiry. Przykłada latarkę do powykęczonego metalu, skierowanego w stronę miasta, jakby ktoś wypchnął go z drugiej strony.

- Więc nie idźmy - mówię. - Skoro wampiry wiedzą o tej dziurze...

- Chodź - mówi Michael z irytacją w głosie. - Już tu jesteśmy.

- Może czekają po drugiej stronie.

Sin nurkuje i świeci latarką przez otwór.

- Nic się nie rusza - mówi.

- Widzisz? Nic się nie stanie - przekonuje Michael.

- Obiecałeś...

- Wiem, co powiedziałem! Ale nie będzie już drugiej takiej okazji!

My nie wydostaniemy się za mury tak jak ty, Dawn. Ja nigdy nie widziałem świata od drugiej stro-

ny. Tegan też nie. Będziemy tkwić w tym mieście przez całe życie! Nie rozumiesz, jak to jest. Nie zostawię cię tu samej, ale to dla mnie ważne. Chcę iść, a to znaczy, że ty musisz iść ze mną. Jestem zła, że to robi. Zła to łagodne określenie. Ale przełykam złość, bo nie chcę urządzić jeszcze większej sceny przed Tegan i Sinem. Poza tym, im dłużej tu jesteśmy, tym większe prawdopodobieństwo, że coś się stanie. Muszę po prostu jak najszybciej mieć to za sobą, a ze złością na Michaela poradzę sobie później.

- Dobrze - mówię krótko. - Chodźmy.

- Trzymamy się tuż przy murze - decyduje Sin. -Dzięki temu będziemy tylko parę metrów od miasta.

Jakby to gwarantowało nam bezpieczeństwo.

Sin idzie pierwszy. Jego szczupłe ciało z łatwością przeciska się na drugą stronę. Macha do Tegan, a ja idę za nią. Michael dołącza do nas na końcu.

Stoimy przy murze i patrzymy w noc. Ja widziałam świat za murem, niewiele, ale więcej niżbym chciała. Sinowi, który podróżował Nocnym Pociągiem, ten świat też nie jest obcy. Ale Tegan i Michael rozglądają się dookoła zachłannie.

- Widziałem to wcześniej przez lornetkę - opowiada Michael. - Ale to nie to samo, co być tutaj...

- Ja nigdy tego nie widziałam - mówi Tegan. - Zawsze myślałam, że ten świat będzie... nie wiem... piękny. A jest po prostu... nijaki. Jest płaski. Pusty. Słysząc wiatr, który usiłuje czymś poruszyć, ale na nic nie natrafia. Trawa ledwie żyje, zmaga

się, żeby znaleźć w ziemi substancje odżywcze. Równiny ciągną się w siną dal, równie dobrze mogłyby sięgać oceanu. Góry w bardzo, bardzo dużej odległości są równie niedostępne jak gwiazdy.

- Zawsze uzmysławiam sobie, jak małe są miasta -mówi Sin. - Wyobraźcie sobie, kiedyś ludzie tu chodzili, tu, gdzie stoimy, bez żadnego strachu. Nic z tego nie zostało. Zabrano nam to. W wojnie, którą my rozpoczęliśmy, ale teraz nie pora o tym przypominać.

- Gdzie są wampiry? - pyta Tegan.

- Tam. - Wskazuję równinę. - Większość zamieszkała na wzgórzach. Wydrążyły sobie tam domy niewiele większe od trumny, takie, żeby schować się przed słońcem. Jak zejdiesz dość daleko z głównych dróg, znajdziesz wampiry żyjące w dawnych miastach. Teraz to zgliszcza, po latach wojennych bombardowań. W każdym razie, tak twierdzi Agencja. Ja ich nigdy nie widziałam.

- A miasto? - zaczyna Michael. - Czasami wydaje mi się, że więcej wampirów jest w mieście niż tutaj. Jakby to była wielka konspiracja, żebyśmy się bali wychodzić za mury.

- One tu są - mówię. -1 powinniśmy wracać.

- Mamy mnóstwo czasu - odpowiada Michael. Jeżeli żadne z nas się nie sprzeciwi, zostaniemy tu do wschodu słońca, pod warunkiem że uda nam się przeżyć noc. W tej chwili uzmysławiam sobie, że światło latarek, których użyliśmy, żeby dotrzeć do muru, może przyciąg-



nać niechcianą uwagę. Teraz martwię się nie tylko wampirami, które mogą dopaść nas na zewnątrz, ale również tymi, które mogą czekać na nas w środku. Michael nie pojmuję, że ma świętą rację - w mieście też jest mnóstwo potworów.

- Michael, pora wracać - mówię najbardziej stanowczym głosem wysłanniczki, na jaki mnie stać, takim, który nie znosi sprzeciwu.

- Dawn, to ważne.

- Wiem. Już to mówiłeś. Zobaczyliśmy, jak tu jest. Wracajmy.

Michael spogląda na pozostałych, ale oni szybko się odwracają, bo nie chcą dać się wciągnąć w sprzeczkę.

- Dobrze - odpowiada szorstko. Wiem, że nie jest szczęśliwy, ale ja też nie jestem.

Nasza mała grupa dzieli się na dwie pary, kiedy wysiadamy z tramwaju w pobliżu śródmieścia. Tegan i Sin rozmawiali przez całą powrotną drogę, a ja i Michael nie odzywaliśmy się do siebie. Chyba oboje odtwarzamy sobie w myślach naszą następną rozmowę.

Pod moim blokiem mijamy strażnika i wsiadamy do windy. Kiedy docieramy do drzwi mojego mieszkania, wkładam klucz do zamka. Graliśmy w cykora o to, kto pierwszy się odezwie. Ja się przełamuję.

- Dobranoc.

- Dlaczego musieliśmy wracać? - pyta Michael.

- Bo to było niebezpieczne i dobrze o tym wiesz. -Odwracam się twarzą do niego. - Nie mogę uwierzyć, że znalazłam się tak daleko.

- Niestety.
  - Co chcesz powiedzieć?
  - Gdybym był tam dzisiaj sam, zostałbym o wiele dłużej. Ty nie rozumiesz, jak to jest być uwięzionym w tym mieście, w tych murach.
  - Masz rację. Powinieneś być zostawić mnie, swoją dziewczynę, w Daylight, pójść sobie ze swoim nowym przyjacielem, którego znasz dopiero parę dni, i wydostać się poza chroniący cię mur, żeby zobaczyć płaskie pustkowie.
  - Może to głupie, i co z tego? Ale bycie za murem... dla mnie to ważne. Poza tym nikomu nie dzieje się krzywda.
  - Nie rozumiesz? Dziś mieliśmy szczęście. Ludzie zastawiają pułapki po naszej stronie muru, mając nadzieję, że uda im się dopaść wampira. Nie sądzisz, że to samo robią po swojej stronie wampiry w nadziei, że złapią durnych ludzi? - Boże, dlaczego on słucha Sina, a nie mnie? Dlaczego w ogóle muszę mu to tłumaczyć? - Jak chcesz być Strażnikiem Nocy, musisz wiedzieć, że zginąć można w bardzo głupi sposób.
- Jest urażony.
- Nie sądzisz, że umiem się o siebie zatroszczyć? -pyta.
  - Jasne. Ale nikt nie wygra z całą bandą wampirów. Więc po co ryzykować?
  - Bo jestem zmęczony wysłuchiwaniami rozkazów, jak mam żyć, co można, a czego nie. Jesteś wysłanniczką. Zrób coś z tym.

Jego słowa sprawiają mi fizyczny ból.

- Sin niczego się nie boi, Dawn. Wczoraj w nocy poszliśmy polować...

- Co? Na wampiry? Tylko we dwóch?

- Tak, do dzielnicy nazywanej Aleją Kłów. Powiedział, że mieszka tam sporo wampirów.

Cisnienie skacze mi o kilka kresiek. Czy to jego i Sina słyszeliśmy wczoraj z Victorem? Gdyby nas znaleźli, Victor by ich zaatakował.

Nie mieliby szans na ucieczkę. Mógłby ich zabić. Obawa o Michaela zamieniła się teraz w złość, wywołując tornado emocji.

- Jak mogłeś być tak bezmyślny? Nie rozumiesz, że ryzykujesz zupełnie bez sensu?

- Zabronił mi tobie mówić. Powinienem był go posłuchać. Ty tego nie rozumiesz. Tobie w głowie tylko negocjacje. Ja chcę działać. Jestem zmęczony czekaniem.

- Michael, to, co robicie z Sinem, jest zbyt niebezpieczne.

- Ale przynajmniej coś robimy.

Odchodzi wzburzony. Chcę iść za nim, ale chyba musi po prostu ochłonać, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać. Sin kładzie mu do głowy głupie pomysły. Mam nadzieję, że Michael przemyśli to, co powiedziałam; dotrze do niego, że mam rację i bez sensu ryzykuje życie.

Wchodzę do mieszkania. Nie ma śladu Rachel. Cieszę się, bo nie muszę tłumaczyć się z tego, gdzie byłam, a jestem już zmęczona kłamstwami.

Siadam na kanapie, chowam twarz w dłoniach i wydaję jęk.

Jestem maksymalnie sfrustrowana. Chciałabym,

żeby czas zatrzymał się na kilka lat, żebym mogła sobie wszystko poukładać. Ale życie pędzi do przodu i muszę jakoś za nim nadążyć.

Szkoda, że Michael nie mógł iść z nami - wzdycha Tegan. Wędrujemy nieciekawymi ulicami, słońce jest wysoko, ale wydaje się, że za parę minut zajdzie.

- Wiem, że to nie moja sprawa - zagaduje Sin. - Ale czy między wami jest coś nie tak? Walczyłem z nim dzisiaj i był... nie w formie. Jakby nie mógł się skupić i łatwo się denerwował. To nie w jego stylu.

Michael trenuje techniki obronne nawet w sobotę, a Sin najwyraźniej stał się jego ulubionym partnerem. Dwóch najlepszych w klasie, stał ostrząca stal.

- Ostatnio po prostu nie zgadzamy się w niektórych kwestiach - mówię tylko po to, żeby dali mi spokój. Zadzwoiłam do Michaela spytać, czy chce z nami iść, ale podał mi jakąś wymówkę tonem tak chłodnym, że mnie zmroził.

- Mam nadzieję, że ten mały wypad pod mur nie pogorszył sytuacji - dodaje Sin.

Owszem, pogorszył, w wielu kwestiach. Ale tylko wkurzę Tegan, jeżeli winą obarczę Sina. Poza tym to Michael jest trudny.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniam. - Oboje jesteśmy bardzo zajęci.

Skrećamy i idziemy zygzakiem boczną uliczką. W tym mieście czasami trudno stwierdzić, co jest ulicą, a co skrótem między dwoma budynkami. Jeżeli nie znam okolicy, łatwo się gubię. Chociaż prowadzi Tegan, Sin porusza się zupełnie swobodnie, a ja jestem pod wrażeniem tego, jak szybko przystosował się do nowego otoczenia.

W końcu docieramy do miejsca przeznaczenia.

- Ted jest najlepszym specjalistą od rupieci w mieście - mówi Tegan. - Jak jest zepsuty, da radę go naprawić.

Zepsutym przedmiotem, o którym mowa, jest telefon komórkowy Tegan. Upuściła go dwa dni temu i się potłukł, zupełnie nie działa. Prawie się popłakała, kiedy Sin zaoferował, że zapłaci za jego naprawę. Nie jest to tania sprawa.

Wchodzimy do sklepu Teda. Jest ogromny, ale mieści tyle bezwartościowych śmieci piętrzących się od podłogi do sufitu, że masz wrażenie, że zostałeś wciągnięty przez śmieciowe tornado. Śmieciarze przynoszą rupiecie z całego miasta. Może znaleźli stary budynek z przedwojenną piwnicą - zepsuty telewizor jest bezużyteczny, ale można go przynieść do Teda, a on go odkupi i rozbierze na części. To samo z podniszczonymi kuchenkami mikrofalowymi i stopionymi laptopami. Same w sobie bezużyteczne, ale kiedy dobry śmieciarz dostanie je w swoje ręce, może wyciągnąć z nich mnóstwo użytecznych części, a resztę wyrzucić. Jak telefon komórkowy Tegan. Obudowa ze starego przedwo-

jenego telefonu, ale elektronika w środku z trzech czy czterech różnych aparatów. Przewody z VCR, elektryka z monitora EKG, antena z pilota od starego samochodziku. Zadziwiająca, co Ted potrafi zrobić przy odrobinie cierpliwości i doświadczenia. Do tego sporo pieniędzy od klientów.

- Dzień dobry, Ted! - mówi Tegan, podchodząc do starszego mężczyzny. Ma się wrażenie, że jest pokryty permanentną warstwą kurzu. Nosi na głowie opaskę z mnóstwem szkieł powiększających. Wiem, że pomagają mu w drobiazgowej pracy, ale wygląda tak, jakby zawsze był przygotowany do badania okulistycznego. Jego ubranie, podobnie jak przedmioty, które tworzy, jest kombinacją różnych tkanin, stylów i może nawet epok.

- Pamiętasz mnie, prawda? - pytam.

- Nie.

Wątpię, żeby pamiętał kogokolwiek. Żyje w świecie maszyn, nie ludzi.

Tegan próbuje go zbajerować, przypochlebić mu się, ale daje sobie spokój i po prostu podaje mu telefon.

- Te dzisiejsze dzieciaki! - mówi Ted. - O nic nie dbacie!

Nabawiłem się bólu pleców, szukając do niego klawiatury, a ty go rozbijasz! - Ted pamięta przedmioty. Ludzi już nie bardzo.

- To był przypadek.

- Aaaa, bzdury.

Bierze telefon i otwiera go. Mruczy do siebie przez minutę, odwraca się do mamuciej wielkości szafki z dziesiątkami szuflad różnych gabarytów. Przeszukuje je,

otwierając jedną po drugiej i za każdym razem zamykając z nową frustracją.

- Niczego nie można znaleźć! - krzyczy.

- Może gdyby miał pan tu trochę większy porządek. .. - sugeruje Sin.

- Aaaa, co ty wiesz o życiu, młody człowieku? Sin wybucha śmiechem.

W końcu Ted znajduje to, czego szukał, i zaczyna rekonstruować telefon Tegan.

- Ile to będzie kosztować? - pyta.

- Skąd mam wiedzieć? Jeszcze nie jest naprawiony! Ted jest najlepszy w mieście. Jest też najbardziej zakręcony. I najdroższy. Spaceruję prowizorycznymi korytarzykami po sklepie. Tutaj jestem najbliżej przeszłości, jak się da. Przesuwam dłońmi po górach starych rzeczy - telewizorach, komputerach, telefonach i silnikach samochodowych. Wszystkim, dzięki czemu kręcił się świat. Teraz nadają się tylko na części, wykorzystywane są do tworzenia technologicznych potworów Frankensteina. Moją uwagę zwraca złoty kieszonkowy zegarek. Biorę go przekonana, że byłby ładnym prezentem dla Victora. W jednej chwili go upuszczam.

- Ej tam, ostrożnie! - krzyczy Ted.

Kiwam mu dłonią. Co się ze mną dzieje? Dlaczego Victor cały czas pojawia się w moich myślach?

Kiedy wracam do lady, telefon Tegan jest naprawiony, a ona skacze z radości. Aż w końcu Ted podaje cenę. Tegan mało nie dostaje ataku serca, ale Sin kładzie jej dłoń



na ramieniu. Wyciąga gruby zwitek banknotów. Mnie i Tegan opada szczęka. Nigdy nie widziałam nikogo z taką ilością gotówki. Nawet cyniczny Ted jest pod wrażeniem i oblizuje wargi na rychłą zapłatę.

- To napiwek za fatygę - mówi Sin, dając mu dodatkowe pieniądze.

- Tak, proszę pana. Zapraszam. Panią też, młoda damo. Kiedy wychodzimy, Tegan spogląda na Sina, jakby był bogiem. Nie wiem, dlaczego tak mnie martwi ten zwitek banknotów. Ich niecodzienność mnie niepokoi.

- Czym się zajmuje twój tata? - pytam.

- Jest związany ze Strażnikami Nocy. Nic więcej nie mogę powiedzieć. - Puszczą do mnie oko. - Wiesz, jak to jest.

- Tak, ja... - przerywam, słowa boleśnie stają mi w gardle. Słońce niemal zakończyło swoją wędrówkę, a tam, w oddali, w mroku, jest chłopak w kapturze. Może to być każdy, więc mówię sobie, że powinnam wyluzować.

Ale wtedy poczerniały kaptur odwraca się w moją stronę i czuję jego wzrok. Widzę tylko bladą skórę na jego brodzie i wargach, które wykrzywiają się w uśmiechu.

- O co chodzi? - pyta Tegan.

- To on. Chłopak, którego widziałam w szkole, ten, który szedł za mną korytarzem.

- Sin, on niepokoił Dawn - mówi Tegan. - Zrób coś.

- Nie... - zaczynam.

- Już ja się tym zajmuję - słyszę w jego głosie, że zrobił się opiekuńczy. - Ej, ty! - krzyczy i rusza w stronę Kaptura. Kaptur czeka ułamek sekundy, a ja czuję, że nie spuszcza ze mnie wzroku. Ale kiedy Sin podchodzi zbyt blisko, odwraca się i ucieka.

- Nie, Sin, zostaw go! - wrzeszczę, ale jest za późno. Już puścił się za nim biegiem i skręcił za róg.

Dobrze, skoro mój prześladowca został zwyczajnie nasłany przez Lilę, po co by tu był? Sprawa robi się zbyt poważna. Może to nie jest jakiś dzieciak. Może moje pierwsze odczucie było prawidłowe: to wampir.

Tegan, jakby czytając w moich myślach, wyciąga z plecaka kołek i ściska go mocno. Uświadamiam sobie, że ja też trzymam swój. Nie pamiętam wcale, żebym wyciągała go z buta.

- Ten koleś jest straszny - stwierdza Tegan. - Nie widziałam go dokładnie, ale wysyła dziwne vibracje.

- Szkoda, że Sin za nim pobiegł.

- Nic mu nie będzie. Jest twardy. Nie potrafię opisać, jaka się przy nim czuję bezpieczna.

- Więc ty naprawdę go lubisz, co?

- Tak, lubię. - Wzrusza ramionami. - Trochę dziwnie jest być cały czas z jednym chłopakiem, ale odkąd go poznałam, nie spotykam się z nikim innym. A ty?

- Jak to: a ja?

- Co jest z tobą i Michaeliem? Serio. Kiedy spotkałam się z Sinem i spytałam Michaela, czy idzie z nami, miał kamienny wyraz twarzy, jak o tobie wspomniałam, aż przebiegł mnie dreszcz.

- Jest przekonany, że w niego nie wierzę. I byłam na niego zła, że wyciągnął mnie za mur. Ale może chodzi

o coś więcej. - Posyłam jej poważne spojrzenie. - Musisz obiecać, że nikomu nie powiesz.

- Z ręką na sercu. Mów.

- Spędzam trochę czasu z Victorem.

- Z tym Strażnikiem Nocy? Nieźle! Poważna sprawa.

1 co, Michael się dowiedział?

- Nie, tylko... jestem zdezorientowana. Chyba zaczynam lubić Victora.

- A czemu byś miała go nie lubić?

Po co w ogóle zaczęłam tę rozmowę? Nie mogę powiedzieć jej wszystkiego.

- Nie wiem. Victor i ja... nie pasujemy do siebie. -Wampir i człowiek, czy to kiedykolwiek wypaliło? - Ale mam wrażenie, że jest przy mnie zawsze, kiedy go potrzebuję. A Michaela często... nie ma. Ale wiem, że Michael jest dla mnie bardziej odpowiedni. - Człowiek, człowiek. Nie ma konfliktu gatunków. Nie ma konfliktu stylu życia. Nie ma konfliktu diety.

- Victor jest seksowny, więc nic dziwnego, że się nim interesujesz. Ale Michael też. Trudny wybór. Z drugiej strony, pod wieloma względami Victor przypomina mi Sina. Obaj mają tą pozę „nie zadzieraj ze mną”, a to dodatkowy magnes.

- Michael też taki jest. - Czuję, że muszę go bronić.

- Tak, ale nie tak... bardzo. Sin jest po prostu... Boże, dobra, muszę się przyznać. Zwariowałam na jego punkcie. Nie tylko dlatego, że jest cudowny, bogaty i twardy.

Słucha mnie. Sprawia, że serce zaczyna mi mocniej bić, wystarczy, że na mnie spojrzy. Niesamowicie się całuje. Jest idealny.

Ideał idzie właśnie w naszą stronę, odgarniając sobie włosy z oczu tylko po to, żeby znów na nie opadły.

- Był szybki. Nie dogoniłem go.

- A zdążyłeś mu się przyjrzeć? - pytam.

- Nie. Przykro mi. Ale teraz wiem, że trzeba na niego uważać.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. - Obejmuje Tegan, a ona rozplęwa się u jego boku. - Chodźmy do Daylight Grill.

- Nie jestem w nastroju, żeby być piątym kołem u wozu - mówię. - Wracam do domu.

- Odprowadzimy cię - proponuje Tegan.

Kiedy ruszamy, oglądam się przez ramię. Kaptura dawno nie ma, ale mnie cały czas nie daje spokoju myśl, dlaczego mnie śledzi.

Michael nie dawał znaku życia przez cały weekend. Gdy pędzę szkolnym korytarzem w poniedziałek rano, nie mogę się doczekać, żeby go zobaczyć, żeby wyjaśnić mu wszystko, żebym mogła odzyskać trochę równowagi.

Staję niepewnie na widok Michaela, wspartego na przedramieniu o drzwi swojej szafki. Uśmiecha się do Liii, która stoi oparta plecami o jego szafkę. Dłoń ma na jego piersi, jakby chciała policzyć uderzenia jego serca. Na twarzy ma ten swój mdły uśmiech, jakby on właśnie podarował jej gwiazdkę z nieba. Albo wręczył jej parę wampirzych kłów.

- Co jest, do cholery? - pyta Tegan, stając obok mnie, i trąca mnie w ramię, jakbym ja nie widziała tego, co ona.

- Byłaś w Daylight w weekend? Widziałaś ich tam razem? - W gardle robi mi się nagle tak sucho, że ledwie wypowiadam słowa.

- Byłam. I nie widziałam. Powinnaś tam podejść i przerzucić jej tyłek trzy szafki dalej, do jej własnej, gdzie jej miejsce.

- Tak. - Powinnam. Ale stoję jak wryta.

Lila wydaje z siebie irytujący chichot, klepie Michaela po piersi i odchodzi. On, z szerokim uśmiechem na twarzy, wpatruje się w jej oddalające się plecy. Kiedy Lila mnie mija, posyła mi pełen satysfakcji uśmieszek, który doprowadza mnie do wrzenia. W końcu Michael mnie zauważa. Jego uśmiech znika. Odwraca się do szafki i otwiera drzwiczki.

- £oo - mówi Tegan.

- Widzimy się na lekcji - mówię i idę korytarzem, wymijając innych uczniów, aż staję obok Michaela. - Co to miało być?

- Co? - Jego głos dobiega z wnętrza szafki. Najwyraźniej jest nagle zafascynowany układaniem książek.

- Wiesz, co. Ty i Lila.

Zatrząskuje szafkę z taką siłą, że podskakuję. Spogląda mi w oczy i nie odrywa ode mnie zagniewanego wzroku.

- Rozmawialiśmy. Mamy ze sobą sporo wspólnego.

- Na przykład co?

- Spacery przy murze, na przykład. Nigdy nie robiła tego w nocy, ale jest przekonana, że fajnie będzie pójść tam ze mną.

Serce mi się ścisnęło.

- Michael, nie rób tego. Nie musisz niczego udowadniać.

- Wiem.

Nie jestem tego pewna. Ale chcę zmienić temat. Chcę, żeby wszystko było znowu tak jak dawniej.

- Michael. - Przykładam dłoń do jego piersi, zbyt późno uświadamiając sobie, że położyłam ją w tym samym

miejscu co wcześniej Lila. - Dziś wieczorem nie mam żadnych agencyjnych spraw. A Rachel pracuje do późna. Pomyślałam, że może urządzilibyśmy sobie romantyczny piknik na tarasie, może nawet podkradlibyśmy Rachel butelkę wina z szafki, tej, o której myśli, że nie wiem.

- Nie mogę. Mam coś innego w planach. - Jego słowa są dla mnie jak policzek. - Muszę iść do klasy.

Odchodzi ode mnie, zanim zdążę zaprotestować, a nie mam zamiaru za nim biec. Nagle mam obok siebie Tegan.

- Jeżeli mowa ciała jest jakąkolwiek wskazówką, powiedziałabym, że nie poszło najlepiej - żartuje.

- Jesteś mistrzynią eufemizmów.

Kiedy lekcje wreszcie się kończą, wychodzę na dwór i widzę, że chmury zrobiły się ciemne i ciężkie od deszczu. Są odbiciem mojego nastroju. Michael zupełnie ignorował mnie na zajęciach wuefu. W stołówce siedział z Lilą. Była z tego taka dumna, że się zirytowałam.

Wpatruję się w nadciągające burzowe chmury i czuję, jakby osiadały we mnie. Miałam już to uczucie. Wiem, co muszę zrobić. W domu szybko zbieram rzeczy i pakuję je do plecaka. Jeszcze raz wyglądam przez okno. Chmury zrobiły się gęstsze, przesłoniły słońce. Wampiry mogą wyjść, jeżeli będą chciały. Warstwa chmur jest dostateczną ochroną przed szkodliwymi promieniami słońca. Ale zaryzykuję. Niebo rozcinają błyskawice uwięzione w chmurach, które na chwilę zamieniają je z ciemnoszarych w jasnoniebieskie. Sekundę później grzmi. Tata mówił mi kiedyś, że jeżeli policzę czas pomiędzy błyskawicą a grzmotem,

będę wiedzieć, jak blisko jest burza. Ta jest bardzo blisko. Tego właśnie potrzebuję. Tego chcę.

Kiedy wychodzę na dwór, już pada. Naciągam na głowę kaptur kurtki przeciwdeszczowej i idę ulicami. Wbijając wzrok w ziemię, obserwuję, jak kałuże wokół moich butów robią się coraz większe, a z każdym krokiem plusk jest głośniejszy. Pada coraz mocniej.

Podoba mi się, jak krople deszczu dudnią o mój plastikowy kaptur; dźwięk zagłusza świat; jestem tylko ja i chodnik.

Droga jest długa, prowadzi przez odbudowane dzielnice Denver. Kiedy docieram do celu, zatrzymuję się na chwilę, żeby popatrzeć. Budynek nazywano kiedyś Wieżą Greene, później Wieżą Ósmą, później Opuszczonym Budynkiem Trzydzieści Sześć, aż skończył jako Obiekt Zniszczony B. Parę lat temu przez budynek przetoczył się potężny pożar. Był tak wielki, że mimo wysiłków straży pożarnej, kiedy płomienie zostały ugaszone, budynek nie nadawał się do zamieszkania. Został więc po prostu porzucony, jak wiele w tym mieście. Porzucony, jak ja dzisiaj.

Ma trzydzieści pięter. Mieszkałam z rodzicami w połowie wysokości. Zanim zostali zatrudnieni przez Agencję, byli wykładowcami w miejscowej uczelni i tylko na tyle mogli sobie pozwolić. Kiedyś był nawet dość ładny, ale teraz to pusty szkielet z fragmentami ścian i bez okien, z zawalonymi całym piętrem, schodami z tyłoma zapadniętymi stopniami, że są nie do użytku.

Nie ma światła. Nie ma wody. Tylko mrok i wspomnienia.

Wchodzę do środka i deszcz przestaje we mnie uderzać. Mogli tu zostać jacyś przyjezdni, gnieźdzący się



w tych pomieszczeniach, w których nie rozpanoszyły się szczury i karaluchy, ale nikogo w środku nie widziałam, odkąd budynek został przeznaczony do rozbiórki. Chociaż burza rozszalała się na dobre, spomiędzy chmur przedzierało się dość światła, żeby oświetlić budynek przez dziury, szpary i okna. Jest szare i słabe, ale wystarczające. Wiem, dokąd idę.

Ostrożnie posuwam się w głąb budynku, aż docieram do właściwej klatki schodowej. Moim celem jest osiemnaste piętro, ale muszę kluczyć w labiryncie schodów i korytarzy, żeby się tam dostać. Kiedyś wystarczyło po prostu wejść na schody i iść w górę. Ale już się nie da. Jest zbyt dużo zniszczeń. Muszę lawirować między biegami schodów, żeby się dostać na górę, a i tak, gdybym nie patrzyła pod nogi, wpadłabym w dziurę, której ostatnim razem jeszcze nie było.

Kiedy był ten ostatni raz? Chyba dwa miesiące temu. W tym tempie nie skończę nigdy.

W budynku nie ma już żadnych ozdób, więc wygląda jak zbiór ścian i filarów postawionych po to, żeby stworzyć skomplikowane, ogromne pudło. Często gubiłam się w nim jako dziecko, biegałam, pukałam do drzwi obcych ludzi, aż w końcu ktoś wskazywał mi właściwy kierunek.

Kiedy miałam siedem lat, mieliśmy sąsiada o imieniu Mickey. To w nim zadurzyłam się po raz pierwszy w życiu. Zupełnie niewinnie, jak dziecko. Chciałam, sama nie wiem, pocałować go w policzek i uciec albo dać mu wielki bukiet kwiatów, bo wydawało mi się, że chłopcy lubią dmuchawce. Któregoś dnia zapukałam do niego, żeby

zaprosić go na moje urodziny. Już zaplanowałam, jak posadzę gości, żeby on zajął miejsce obok mnie. Byłam dumna ze swojej przebiegłości. Ale kiedy drzwi się otworzyły, zobaczyłam inną rodzinę. Rodzice powiedzieli mi, że Mickey poszedł do nowej szkoły i jego rodzice musieli się wyprowadzić. Parę miesięcy temu, pod wpływem nagłej ciekawości, sprawdziłam dokumenty Agencji na temat Mickeya. Został zabity we śnie przez wampiry. Cała jego rodzina została pozbawiona krwi.

Trudno uwierzyć, że kiedykolwiek byłam tak niewinna i młoda. Czasami mam wrażenie, że od zawsze zachowuję się jak dorosła. Nie wiem, dlaczego moi rodzice się nie wyprowadzili. To były ostatnie dni wojny. Może myśleli, że sytuacja poprawi się po zakończeniu negocjacji pokojowych? Może naprawdę wierzyli, że układ Wamp-Lu utrzyma wampiry po drugiej stronie muru. Nie potrafię znieść myśli, że to mój brat, który przeżył wojnę i wrócił do nas, zburzył ten mit.

Pokonuję ostatni bieg schodów i w końcu znajduję się na osiemnastym piętrze. Idę korytarzem oświetlonym światłem wpadającym przez otwory drzwiowe, bo większość drzwi została wyrwana z zawiasów. Omijam jedną z dziur w podłodze i mało nie potykam się o fragment rozdartego dywanu. Musiały go podrzeć szczury, bo nie pamiętam tej przeszkody z ostatniego razu.

Docieram do swojego dawnego mieszkania, tego, w którym żyliśmy do śmierci Bradyego. Jest najjaśniejsze na całym piętrze, ale tylko dlatego, że nie ma całej ściany. Od upadku na ziemię dzieli mnie dziesięć kroków. Oczy-

wiecie, nie byliśmy ostatnimi lokatorami. Zawsze znalazł się ktoś bardziej zdesperowany, gotowy wprowadzić się do mieszkania, nawet takiego, które zostało zaatakowane przez wampiry. Więc nieliczne rozpadające się meble, które stoją w kącie, nie są nasze ani łóżeczko dzieciinne z pokoju obok.

Siadam po turecku przy krawędzi. Jest stąd dobry widok na panoramę miasta. Jako dziecko nie potrafiłam się tym zachwycać. Nie widać stąd Works ani śródmieścia. Na linii wzroku nie ma wysokich budynków. Tylko ulice w dole i szeregowy domy, mur i góry poza nim.

Wieje wiatr, a krople deszczu padają na rozmokniętą drewnianą podłogę. Kiedyś chyba była na niej wykładzina. Nie pamiętam dokładnie. Takie szczegóły blakną z czasem.

Rozpinam plecak i wyciągam zdjęcie rodziców i mnie. Z okresu, kiedy byliśmy szczęśliwi, przynajmniej na tyle, na ile ludziom było wolno. Nasza trójka uśmiechnięta przed fontanną w Dzielnicy Północnej. Fontanną, która przestała działać dawno temu. Tata trzymał aparat, wyciągając rękę, żeby objąć nas wszystkich.

Na zdjęciu mam trzynaście lat, włosy splecione w dobierany warkocz, który wydawał mi się taką poważną fryzurą.

Przeprowadziliśmy się do mieszkania, które teraz dzielę z Rachel, dzięki pozycji taty w Agencji. Na początku pracował jako konsultant do spraw wampirów. Agencja zapewnia mieszkanie wszystkim swoim pracownikom. Mama wygląda na szczęśliwą, może w końcu odnalazła bezpieczeństwo, za jakim zawsze tęskniła. Myśl o tym, że swojemu jedynemu żyjącemu dziecku zapewniają lepszą

przyszłość, była na pewno silnym bodźcem. Musiała co wieczór wywoływać uśmiech na ich twarzach, kiedy kładli mnie spać. A potem umarli. Razem. W drodze do posiadłości Valentine'a. Bo mama nie mogła znieść myśli, że tata miałby mierzyć się z Valentine'em sam. Jak ja teraz.

Odkładam zdjęcie i z kieszeni dzinsów wyciągam pudełko zapalek. Podpalam róg fotografii. Zwija się do środka, niosąc ze sobą żółty płomień. Ogień pochłania twarz taty, zamieniając ją w czarną i osmaloną, a później pożera moją rodzinę, aż jesteśmy garstką popiołu.

Przychodzę tutaj, żeby od wszystkiego się uwolnić. Dzięki temu emocje nie wpływają na moją pracę; nie wpływają na naukę. Oczyszczam się tu, w tym opuszczonym budynku. Nie wiem, czy jest na tyle duży, żeby pomieścić całą moją złość i smutek. Może dlatego się rozpada. Ciężary wyrzucane z mojego serca niszczą go kawałek po kawałku.

To dlatego nie rozmawiam z innymi o moich rodzicach. Nie chcę, żeby przypomniano mi o bólu. Tutaj jest miejsce, gdzie wspominam. Palę ich zdjęcia, powoli, jedno za każdym razem. Może pewnego dnia nie zostanie z nich już nic, podobnie jak z rozpaczy, którą czuję. I z koszmarów.

Za każdym razem płaczę trochę mniej. Teraz to tylko strużka łez, tak mała, że nie czuję różnicy między łzami a kroplami deszczu na policzkach. Boję się, że mój związek z Michaeliem jest jak ten budynek, niszczy się, aż nie będzie można go naprawić. Nie wiem, jak zbudować coś trwałego. Jak zatrzymać Michaela. Ani nawet, czy powinnam.

Zdjęcie właśnie skończyło się palić. Chciałabym, żeby moje emocje oczyszczały się w takim tempie. Wiatr porywa popiół na zewnątrz, a deszcz niesie go na ziemię.

- Nie powinno cię tu być.

Odwracam się. W drzwiach stoi Victor, opierając się plecami o framugę, z rękami założonymi na piersiach. Jego ciężki płaszczy jest cały przemoczony. Nie pokwapił się, żeby włożyć czapkę - pozwolił, by burza robiła z jego włosami, co chce.

- Muszę tu być - odpowiadam. - Tylko dzięki temu daję radę przetrwać kolejne dni.

- A noce? Niedługo wyjdą wampiry. Przyjdą tu w poszukiwaniu bezdomnych.

- Zaryzykuję.

- Któregoś dnia możesz nie wrócić.

- A do czego mam wracać? - Kręcę głową. - Przepraszam. To miejsce tak na mnie działa. - Spotkanie z Michaeliem w szkole zrobiło swoje. Może go straciłam. Jak na ironię, bo chciałam tylko go chronić.

- Więc po co tu przychodzisz? - pyta Victor.

- Żeby przeżywać żałobę. Zapomnieć. Tutaj mogę być smutna i nikt nie zobaczy, że nie jestem tak silna, jak wszystkim się wydaje. Podchodzi do mnie i siada na krawędzi, przewieszając nogi.

- Dawn, przykro mi, że straciłaś rodziców.

- Jak może ci być przykro? Nawet ich nie znałeś.

- Ale znam ciebie. I przykro mi, bo widzę pustkę w twoim sercu. Chciałabym umieć ją wypełnić. Ale wiem

też, że blizny, które czujesz w środku, umacniają cię. Sprawiają, że jesteś sobą. Życie twoich rodziców kształtuje cię w równym stopniu, co ich śmierć.

- Czasami udaje mi się nie myśleć o nich nawet cały dzień. Przez to czuję się winna.

- Nie powinnaś. Żyję dość długo, by wiedzieć, że z czasem wszystko blednie. Wszystko zamienia się w pył. Budynki. Pomniki. Ludzie. Nawet wspomnienia. Ból, który czujesz, złość, beznadzieja... z czasem znikną. Pewnego dnia zrozumiesz ich ofiarę i wtedy znów poczujesz iskierkę nadziei.

Moi rodzice byli pewni, że świat stanie się dla mnie bezpiecznym miejscem, lepszym miejscem, kiedy oni go opuszczą. Ale umarli, a ja nie widzę, żeby cokolwiek swoim życiem zmienili. Mam dopiero siedemnaście lat; jak mam wykonywać pracę lepiej niż oni? Czasem wydaje mi się to niemożliwe. Ale później dociera do mnie, że w spadku nie zostawili mi lepszego świata, ale wychowali mnie na silną, pewną siebie i bystrą dziewczynę, a później stwierdzam, że muszę próbować, bo nie mogę ich zawieść.

- Leje jak z cebra - mówi Victor, a przez niebo przetacza się grzmot.

Przysuwam się bliżej i siadam obok niego na samym brzegu. Moje nogi też zwisają. Z wysokości osiemnastu pięter.

- Złapiesz mnie, jak spadnę, co? - pytam.

- Złapię cię, zanim zdążysz się ześlizgnąć. - Uśmiecha się.

Wierzę mu. Parę centymetrów od pewnej śmierci, w szalejącej burzy, czuję się całkowicie, zupełnie bezpieczna.

- Dlaczego jesteś inny, Victor? Każdy wampir już dawno wypiłby moją krew. Pewnie by mnie zabił. A ty?

Przez chwilę milczy i siedzi zupełnie nieruchomo. Zastanawiam się, o czym myśli. Czy pytanie jest tak trudne, czy nie ufa mi do końca, tak jak ja zaczęłam mu ufać?

- Lubię cię, Dawn. Widziałem wielu ludzi, z daleka i bardzo bliska. Nigdy nie poznałem nikogo takiego jak ty. Jesteś czymś najbliższym wschodowi słońca, co dane mi będzie w życiu zobaczyć.

Ścisła mnie w piersi. Uczucia, które od siebie odpychałam, wała się na mnie z hukiem. Ale może tu, w tym budynku, mogę sobie trochę odpuścić? To niebezpieczne, zwłaszcza że mam do czynienia z potężnym wampirem. Ale i tak jestem już na krawędzi, czym ryzykuję?

- Ja też cię lubię - przyznaję. Chociaż wiem, że nie powinnam. Powinnam chcieć tutaj Michaela, ale jestem zadowolona, że to Victor.

- Cieszę się, że nie możesz się oprzeć mojemu urokowi - mówi z uśmiechem. Nagle poważnieje. - Wiem, że skomplikowałem ci życie, Dawn. Ale ty też skomplikowałaś moje.

- Jak?

- Zawsze walczę z moim pierwotnym instynktem. Możemy się dobrze ubierać, uprzejmie zachowywać. Ale w głębi duszy jesteśmy potworami, tak jak powiedziałaś.

- Ty nim nie jesteś - zapewniam go pośpiesznie. - Ratusz ludzi, jak Tegan i mnie. Pomagasz wampirom. Owszem, łamiąc prawo i kradnąc krew, ale kierują tobą dobre intencje. - Nie mogę uwierzyć, że usiłuję go przekonać, że nie jest zły. - Nie jesteś potworem, Victor.

- Chciałbym, żeby tak było. Ale kiedy jestem blisko ciebie, jedyne, o czym myślę, to... pokusa.

Pierś mi nieruchomieje i staram się jak mogę nie dopuścić, żeby mój głos zdradził strach.

- Mojej krwi?

- Jestem wampirem. Krew jest pierwszą rzeczą, jaką wyczuwamy, pierwszą rzeczą, która przyciąga nas do ludzi. Walczę z tym. Ale nie mogę zaprzeczyć, że to leży w mojej naturze. Jednak nigdy nie wziąłbym twojej krwi. Bez względu na to, jak mocno na mnie działa. Musisz mi uwierzyć.

- Wierzę. - W moim głosie nie słyhać przekonania. Nigdy nie rozmawialiśmy o różnicach między nami, chyba że w złości.

Przyznanie się do nich teraz, tutaj, jest przerażające. To miejsce jeszcze bardziej je podkreśla, a chciałabym, żeby nie istniały.

- Ale nie tylko twoja krew jest dla mnie pokusą - wyznaje. - Od czterystu lat nie miałem snów. Wampiry nie śnią. Ale po tym, jak uratowałam cię w tramwaju, nawiedzałaś mnie we śnie. W moich snach jesteśmy tacy sami. Możemy się dotykać, całować, kochać. I każdy sen kończy się tak, że... jesteśmy razem na zawsze.

- Jestem śmiertelna. Przede mną nie ma wieczności, chyba że zostałabym przemieniona, ale ja nigdy... nigdy dobrowolnie...



- Wiem. To tylko sen.

Ale w jego oczach widzę, że marzy o tym, żeby to nie był tylko sen. Rozwija się między nami coś, czego nie rozumiem, czego nigdy nie chciałam. Jego bliskość przyprawia mnie o szybsze bicie serca i rozpala moją skórę. Może to przez ten budynek zaczynam myśleć, że rzeczy niemożliwe mogą stać się możliwymi.

- Czy ona jest straszna? Przemiana? Tak hipotetycznie...

- Ja nie zostałem przemieniony, więc nie mogę mówić z doświadczenia, ale z tego, co wiem, nie jest. Wziąłbym twoją krew, dałbym ci moją. Wtedy byś umarła. Ale nie czułabyś bólu. Po prostu... obudziłabyś się i była wieczna.

Victor i ja siedzimy tak blisko, że gdybym choć trochę się poruszyła, mogłabym go dotknąć. Łatwo byłoby mi wtulić twarz w jego ramię. Szukać u niego pocieszenia.

- Powinienem chyba zabrać cię do domu - mówi. Spoglądam na dwór i widzę, że zapadła noc. Victor zaczyna wstawać. Głośny huk grzmotu sprawia, że podskakuję i ześlizguję się. Ale Victor, tak jak obiecał, chwytając mnie za rękę, zanim zdążę nabrać powietrza, żeby krzyknąć, i podciąga mnie do góry, z daleka od krawędzi. Tak szybko, że uderzam w jego tors. Wpatruje się we mnie z góry, obejmując mnie, przyciskając do siebie. Jest ciepły i prawdziwy. Część mnie chciałaby na zawsze trwać w jego uścisku.

- Dziękuję - szepczę.

Jego wzrok wędruje do moich warg. Prawie nie oddycham. Czeka. Nie wiedząc za bardzo na co. Nie potrafię

zaprzeczyć, że mnie pociąga, chociaż wiem, że to niebezpieczne. Ale czasami zapominam, że on jest wampirem.

Nagle, równie niespodziewanie jak uratował mnie od śmierci, uwalnia mnie, cofa się i chowa dłonie do kieszeni dżinsów. Jestem rozczarowana; ogarnia mnie poczucie pustki, gorszej niż wszystko inne. Najpierw odrzucił mnie Michael, a teraz Victor. Nie wiedzieć czemu, to drugie boli bardziej.

- Widziałaś kiedyś film w kinie? - pyta w końcu.

- Nie. - Rozrywka nie jest priorytetem podczas odbudowy.

- A chciałabyś zobaczyć?

- Widziałam filmy w telewizji. - Staram się udawać, że nic się nie stało. I muszę oprzeć się pokusie, by spędzić z nim więcej czasu. Ale niby czemu? Michael jest pewnie z Lilą.

- To nie to samo co obejrzeć je w kinie - dąży. - Nie jesteśmy tak daleko...

Nie, nie jesteśmy. Tramwaje jeszcze jeżdżą. Prawda jest taka, że ja też jeszcze nie jestem gotowa, żeby pożegnać się z Victorem.

- Tak, chciałabym zobaczyć film.

Victor trzyma delikatnie moją rękę, prowadząc mnie przez ciemne kino, innymi schodami niż te, którymi wchodziliśmy kiedyś.

Staram się nie myśleć o tym, jak bardzo lubię jego dotyk.

- Co powiesz na gorący popcorn z masłem? - pyta.

- Niezdrowy.

- I dlatego taki dobry.

Skrećamy i wchodzimy do aneksu, w którym niebiańsko pachnie. Słyszę kliknięcie i orientuję się, że włączył światło. Nie jest bardzo jasno, ale widzę go, jak porusza się wokół blatu ze stali nierdzewnej. Otwiera drzwiczki, włącza inne przyciski.

- Uwielbiałem tu przychodzić przed wojną. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem świat w słonecznym świetle właśnie na filmie - wyjaśnia.

Podskakuję, kiedy popcorn zaczyna strzelać. Odwraca się do niego, wsypuje trochę do torebki i dodaje masła, dużo masła.

- Skąd to masz? - pytam, biorąc od niego torebkę.

- Mam swoje sposoby. - Wyjmuje dwa gazowane napoje z lodówki.

Zaczyna wyłączać wszystko po kolei, światło na końcu.

Zanurzamy się w mroku.

- Usiądźmy sobie wygodnie.

Idę za nim do kina i widzę, że wchodzimy do góry, na balkon.

Prowadzi mnie w przygaszonym świetle do rzędu krzeseł, które wyglądają całkiem przyzwoicie. Kiedy siadam, krzesło się lekko kołysze.

- Zaraz wracam - mówi.

Odwracam się i patrzę, jak idzie w stronę górnego rzędu, gdzie z dziury w ścianie wystaje projektor. Sięga do środka i nagle pojawia się migoczące światło i trzeszczący głos. Kiedy się odwracam, na ekranie tańczą kolorowe obrazy. Victor wraca i siada obok mnie.

- *Deszczowa piosenka*. Jeden z moich ulubionych filmów - mówi.

Sięgam po popcorn w tym samym czasie co on. Nasze palce ocierają się o siebie. Znowu. Zastanawiam się przez chwilę, czy przyjście tu nie było złym pomysłem, czy robienie czegokolwiek z Victorem nie jest złym pomysłem.

- Jesz normalne pożywienie? - pytam, żeby rozładować napięcie.

- Doświadczenie czysto zmysłowe. Nie pełni dla mnie funkcji odżywczej.

Cofa dłoń, a ja chwytam trochę popcornu. Nie pamiętam, kiedy jadłam go ostatni raz. Jednak ledwie zwracam uwagę na jego smak. Wiem, że przyjście tu jest kolejną z serii złych decyzji, jakie ostatnio podjęłam. Ale mimo wszystko cieszę się, że tu jestem.

Przenoszę uwagę z powrotem na film, staram się na nim skoncentrować. Na ekranie panuje ożywienie. Ludzie tańczą i śpiewają. Są po prostu... szczęśliwi.

Zerkam na Victora. Światła i obrazy z ekranu odbijają się na jego przystojnej twarzy.

Nie mogę w to uwierzyć - wymawia słowa, które śpiewa facet z filmu. Chyba czuje na sobie mój wzrok, bo powoli odwraca głowę i spogląda na mnie.

- Naprawdę kiedyś tak było? - pytam szeptem. - Ludzie byli tacy szczęśliwi?

- Byli też smutni. Kino to jedna wielka iluzja. Pokazuje świat takim, jakim ludzie chcieliby, żeby był. - Powoli wyciąga rękę i zakłada mi za ucho parę kosmyków włosów.

- Ćwiczysz na mnie swoją moc, Victor?

- Pytasz o to, czy kontroluję twoje myśli i pragnienia? To mit, że wampiry mają taką zdolność.

- Niemożliwe. Zbyt wielu ludzi...

- Daje się zwieść urokowi wampira? Łatwiej obwinać nas za ludzki brak samokontroli, niż przyznać się do słabości.

- Nie jestem słaba.

- Nie, nie jesteś. To mi się w tobie podoba. Jesteś silna, odważna i... beztroska.

- Wolę określenie: żądna przygód.

- To też. - Uśmiecha się lekko.

- Dlaczego tu jesteśmy, Victor? Dlaczego nagle pojawiłeś się w moim życiu? Czego ode mnie chcesz?

- Tego, czego nie powinienem chcieć. Obejmuje dłońmi moją głowę i pochyla się do mnie.

Wiem, że powinnam się odsunąć. Ale tego nie robię. Jego wargi dotykają moich. Z początku to ledwie muśnięcie. Delikatne, łagodne. W mgnieniu oka wszystko się zmienia. Wybuchają namiętność, jest między nami pragnienie, którego nie rozumiem. Którego nigdy nie czułam, nawet z Michaeliem. Czuję końcówki jego kłów, wiem, że powinnam być przerażona albo czuć odrazę, pamiętając o tym, kim jest, ale nic takiego nie ma. Zatracam się w przyjemności pocałunku, który nie jest zwykłym pocałunkiem. Michael i ja całowaliśmy się. Nieraz. A jednak nigdy nie czułam czegoś takiego - mam wrażenie, że ten pocałunek obejmuje i rozpala mnie całą. Dlatego że Victor jest wampirem? Czyżby jednak miał szczególną moc, chociaż

temu zaprzecza? A może między nami jest coś pierwotnego, do czego nie chcę się przyznać?

Kiedy w końcu się odsuwa, oboje dyszymy ciężko. Jego dłoń spoczywa lekko na mojej szyi i wiem, że czuje mój szybki puls, przepływ mojej krwi.

- Wiem, że powinienem się oprzeć. Wampiry i ludzie... to się nigdy nie udaje. - W słowach Victora niewiele jest przekonania, a on pochyla się, żeby pocałować mnie znowu. Tym razem pocałunek jest słodko-gorzki.

- Powinienem cię odwieźć do domu - mówi. - Zanim zrobię coś, czego będę żałował.

Nie chcę stąd iść. Ale on ma rację. Jeżeli nie pójdę, to ja mogę zrobić coś, czego będę żałować. Bo nie jestem do końca pewna, co jest między mną i Michaeliem. Nigdy wcześniej się nie kłóciliśmy. Nie wiem, czy nasz związek jest już przeszłością.

Victor nie zawraca sobie głowy wyłączaniem filmu. Nadal trwa, kiedy wychodzimy na korytarz.

- Tam! - rozlega się czyjś krzyk.

I nagle w naszą stronę ruszają Strażnicy Nocy.

Czterech Strażników pędzi w naszą stronę, czarne peleryny powiewają im na plecach, bo biegną ze sporą prędkością. Twarze mają zakryte ciemną tkaniną, która zasłania wszystko oprócz oczu.

Nigdy nie widziałam ich w grupie, ale w jednej chwili zaczynam rozumieć, dlaczego wampiry się ich boją. Wygląda to tak, jakby ustanowili nowe zasady nocy.

Nie mam wiele czasu na to, żeby ich podziwiać, bo Victor biegnie do przodu na spotkanie z elitą strażników, którzy pojawili się tu, żeby go zabić.

Walczą z nim z szacunkiem, na jaki zasługuje, chociaż nie wiadomo, czy zdają sobie sprawę, że jest ze Starego Rodu. Z wyciągniętymi kołkami tańczą wokół niego, usiłując go zdezorientować. Jeden kołek wbija się w jego ciało, ale Victor bez trudu go wyciąga i rzuca na ziemię. Drużyna jest jednak idealnie zgrana, jak wskazówki zegara, które miarowo przesuwiają się przez wieki. Do przodu występuje kolejny Strażnik. Jego kołek chybia celu, ale przechodzi na tyle blisko, że krzyczę.

Victor rzuca mężczyzną o ścianę i Strażnik zamienia się we wrak człowieka. Trzeci chce się zbliżyć, ale Victor uderza go z całej siły i widzę, że miażdży mu nos. Kiedy na scenę wchodzi czwarty i ostatni łowca, Victor nie traci czasu, jest bezlitosny. Z nieprawdopodobną prędkością i siłą przebija kołkiem udo napastnika. Ten wyje z bólu.

- Idzie ich więcej. - Victor odwraca się do mnie. Jego wrażliwy słuch wychwytuje odgłos zbliżających się kroków szybciej niż moje ludzkie ucho. Bierze mnie za rękę i biegniemy korytarzem w stronę tej części kina, w której nigdy nie byłam. Panuje tu zupełna ciemność, ale ufam dobrej orientacji Victora. Ufam jemu. Strażnicy Nocy są tuż za nami.

Victor otwiera drzwi kopniakiem. Blade światło odległej latarni ledwie oświetla opustoszałą ulicę. Wypuszcza moją dłoń i biegnie w stronę czegoś, co wygląda jak kupa śmieci przykryta czarnym materiałem. Nie bardzo wiem, dlaczego marnuje na to czas, aż jednym płynnym ruchem zdziera pokrowiec, jak magik ukazując swojego pomocnika zdumionej publiczności.

- Jechałaś kiedyś motorem? - pyta, a ja wpatruję się w dwukołową bestię.

- Nie - mówię.

- No to masz idealną okazję, żeby spróbować.

Wskakuje na motor, porusza rączką, a ja szybko wskakuję za niego. Romantyzm takiej bliskości, napięcie między naszymi stykającymi się ciałami pryskają, kiedy drzwi kina otwierają się zamasyście i wypada z nich trzech Strażników.

Victor przejeżdża pędem obok nich i chociaż ruszają w pościg, szybko się poddają. Upływają minuty, mijamy ulicę za ulicą.

- Dokąd jedziemy? - pytam, przekrzykując wiatr.

- Do przyjaciela.



Prujemy przez miasto na złamanie karku. Trzymam się kurczowo Victora, od którego zależy moje życie. Czuję się, jakbym wpadała z nim do króliczej nory. Nie wiem, co planuje, ale mu wierzę. Victor jedzie tak szybko, że wszystko jest zamazane, ale widzę, że kierujemy się w stronę Dzielnicy Zachodniej, znanej z nielicznych mieszkańców, rozległych pustych przestrzeni i opustoszałych budynków.

Przed oczami migają nam plakaty Agencji i znaki drogowe. Jak zwykle, na dworze jest niewielu ludzi, ale ci, którzy są, zatrzymują się i patrzą. Motocykle stanowią rzadkość. Zwłaszcza takie jak ten lśniący, zabytkowy model. Zwracamy na siebie uwagę, ale gdybyśmy nie pojechali, Victor by zginął i całkiem możliwe, że ja również. Nie mam żadnej gwarancji, że Strażnicy Nocy rozpoznaliby, kim jestem, zanim przebiliby moje serce kołkiem. A może stwierdziliby, że takie towarzystwo wystarczy, by uznać mnie za winną.

Kiedy docieramy do Dzielnicy Zachodniej, ulice robią się bardzo wąskie. Victor pokonuje je, nie zwalniając, i znajdujemy się na ulicach, które nawet nie powinny nazywać się ulicami. Samochód nie poradziłby sobie na ostrych zakrętach i przewężeniach. Works nie doprowadza tu nawet rur i ludzie używają lamp naftowych albo kominków, żeby oświetlić domy.

Charakterystyczną cechą tego miejsca są małe, proste wiatraki na dachu każdego budynku, które poruszają się na wietrze jak podduszone dmuchawce. Zapewniają nielicznym mieszkającym tu rodzinom prąd na podstawowe potrzeby, jak wypompowywanie wody z rynsztoków i filtrowanie jej, żeby chociaż w minimalnym stopniu nadawała się do picia. Ten sam silny wiatr, który porusza turbinami, przywiewa też pył węglowy z Works, który osiada tu na wszystkim. Ale większość ludzi mówi, że to marzenia obrócone w pył. To najbardziej nieprzyjemna dzielnica w mieście. Nie z powodu przemocy, ale okrutnej obojętności.

Nagle zatrzymujemy się pomiędzy dwoma wysokimi budynkami. Widzę kilka osób kręcących się w pobliżu, ale podejrzewam, że nie są to wcale ludzie, tylko wampiry. Kolejna rzecz, z której słynie to miejsce - kwitnie tu nielegalny handel krwią. Victor wyłącza stacyjkę. Cisza jest niemal ogłuszająca. Uświadamiam sobie, że drzę. Myślałam, że to z powodu drgań silnika pod nami, ale widocznie atak wywołał u mnie jakiś szok.

- Tu jesteśmy bezpieczni. - Victor kładzie dłonie na moich rękach, splecionych na jego piersi.
- Okej. - Uwalniam się od niego i zsuwam z motocykla. Nogi mam tak miękkie, że niewiele brakuje, abym się przewróciła. Ale Victor mnie podtrzymuje.
- Nic ci nie jest?
- To tylko... adrenalina.
- Nic ci się nie stało? - Dotyka mojego policzka.
- Nie, nic. Jestem tylko w szoku. Jak nas znaleźli? Przysięgam, że nie powiedziałam nikomu o kinie.

- Zupełnie nikomu? Nawet Tegan?

- Nikomu.

- Dowiemy się. Chodź.

Prowadzi mnie do drzwi, które są tak zardzewiałe, że kolorem zlewają się z czerwoną cegłą. Otwierają się na korytarz z ustawionymi rzędem naftowymi lampami, które oświetlają go ponurym blaskiem. Wchodzę za nim do środka, a on zamyka za nami drzwi. Idziemy. Trzymam się w jego cieniu, nie dalej niż o krok.

Okazuje się, że światło na końcu to cały pokój. Jest w nim kilka kanap, jak te w posiadłości Valentine'a, i stare dębowe stoły, o których teraz ludzie mogą tylko pomarzyć. Okien nie ma z wiadomych powodów - trzy wampiry nie chcą, żeby zaglądało tu słońce. Wstają od razu. Wyczuwam od nich napięcie, czujność, poczucie zagrożenia.

Są jak Victor - dobrze ubrani, zadbani. Ale po jednym w szczególny sposób widać, że jest ze Starego Rodu - jego dżinsy i koszula na guziki są wyprasowane i nie widać na nich śladu znoszenia. Rysy jego twarzy są najostrzejsze, długie ciemne włosy ma przewiązane złotą wstążką i ułożone z prawej strony twarzy.

- Mamy problem - mówi Victor.

Wampir ze Starego Rodu mierzy mnie wzrokiem.

- Widzę. Dlaczego ją tu przyprowadziłeś?

- Nie miałem wyboru. Strażnicy Nocy napadli nas w kinie, chcieli nas zabić.

- Nie dziwi mnie to. Zebrałem informacje, o które prosiłeś. Nie są dobre, Victor.

Victor chyba nagle przypomniał sobie o dobrych manierach.

- Dawn, to jest Richard Carrollton i jego zaufani ochroniarze.

- Z Los Angeles - mówię.

- Lekcja zaliczona. - Przechyliła głowę. Spogląda na Victora. - Co ona wie?

- Nic.

Zwracam wzrok na Victora. Posyła mi spojrzenie pełne poczucia winy.

- Ale możemy rozmawiać przy niej swobodnie. Teraz będzie musiała dowiedzieć się wszystkiego.

- A co to jest, to wszystko?

- Zamierzamy wypowiedzieć wojnę mojemu ojcu.

Zdumiona wpatruję się w Victora, który prowadzi mnie do kanapy.

- Oszalałeś? - pytam, kiedy pomaga mi usiąść.

- Mam nadzieję, że nie - odpowiada, siadając obok mnie i chwytając mnie za rękę, żeby dodać mi otuchy. Wiem, że powinnam cofnąć dłoń, ale w tej chwili potrzebuję fizycznego kontaktu, który będzie dla mnie kotwicą.

Richard siada z powrotem na swoim miejscu, ale jego ochroniarze stoją.

- Richard od jakiegoś czasu jest w mieście - mówi Victor. - Jest moim zastępcą.

- Jakim zastępcą? - pytam.

- W armii, którą gromadzę. Mój ojciec, ojciec Richarda... wszystkie głowy rodów... są z innej epoki, z innej ery, z innym... podejściem. Nie ma już bombardowań, ale to, co jest, trudno też nazwać pokojem.

- A teraz, kiedy Pragnienie skaziło teren Los Angeles, to kwestia czasu, kiedy rozleje się wszędzie - kontynuuje Richard.

- Co to takiego? - pytam. Podczas licznych lekcji o wampirach nigdy nie słyszałam o Pragnieniu.

- Nasz mały brudny sekret - wyznaje Richard.

- Wampiry mogą się żywić krwią innych wampirów - wyjaśnia Victor. - Jest to ściśle tajne, nieujawnione w Wamp-Lu, ze strachu, że ludzie przestaliby oddawać krew, gdyby się dowiedzieli.

To chyba żart. Wszyscy są przeświadczeni, że życie wampirów zależy od ludzkiej krwi, a ja teraz się dowiaduję, że równie dobrze mogą żywić się nawzajem? Że są w stanie utrzymać się przy życiu bez pomocy ludzi?

- Zastanawiasz się, do czego potrzebujemy ludzi? -Richard spogląda na mnie przenikliwym wzrokiem.

- Picie krwi innego wampira nie jest stałym rozwiązaniem - mówi Victor.

Wypowiadają zdania, jedno za drugim, tłumacząc, czym jest Pragnienie: w pewnych okolicznościach wampiry mogą pożywić się krwią innych wampirów. Pozwoli im przetrwać noc i da im dość siły, dopóki nie znajdą ludzkiej krwi. Raz, może dwa razy do roku to nic takiego. Problem powstaje, kiedy żywią się braterską krwią. Co miesiąc, co tydzień, co noc. Rodzi się Pragnienie i je zmienia. Uzależniają się, tracą zdrowy rozsądek. Są jak wściekłe psy. Kły im rosną, oczy stają się czarne. Jediną rzeczą, jakiej chcą, jest krew. Krew wampira. Ludzka krew przestaje im smakować, co nie przeszkadza im pożerać każdego, kogo napotkają na swojej drodze.

Pamiętam, jak Victor na moim balkonie wyszeptał słowo: „pragnienie”.

- Ten wampir zabity przed szkołą. Myślisz, że zaatakował go inny wampir?

- Tak. - Widzę w jego oczach zmartwienie. - Myślę, że możemy mieć już do czynienia z początkami Pragnienia u nas.

- Jest na to lekarstwo? - pytam.

- Kołek w serce albo wycieczka w stronę słońca. - Richard próbuje wprowadzić lekki ton do poważnej rozmowy.

- Nawet jeżeli istnieje, nikt go jeszcze nie odkrył - mówi Victor. - To nowe zjawisko. Przed wojną było niewiele wampirów i mnóstwo ludzi. Krwi było w bród. Teraz jest inaczej.

- Właśnie taki problem pojawił się w Los Angeles - tłumaczy Richard. - Dostawy krwi dla nas skurczyły się, bo ludzie przestali ją oddawać, ale to cholerne miasto jest tak silne i tak dobrze chronione, że nawet gdybym chciał zakraść się do wewnątrz z wampirami, nie byłbym w stanie. Proponowałem ogromne sumy za krew, ale stygma - ty z powodu sprzedaży krwi wampirom są na całe życie i niewielu chętnych znalazłem.

Richard zaczyna opowiadać bardziej szczegółowo, że sytuacja tam jest zupełnie inna niż u nas. Carrolltonowie nie są tak silni jak ród Valentine'ow, nie trzymają ludzi mocną ręką. Dlatego miasto notorycznie spóźnia się z dostawami krwi, a czasami nie dostarcza jej przez całe miesiące. I w odróżnieniu od Denver ich mury są wyższe, grubsze i silnie chronione.

- Ale miasto gnije od środka jak zepsute jabłko - mówi. - Tamtejsza Agencja sobie nie radzi. Ludzie głodują,

podobnie jak wiele wampirów na zewnątrz. Mamy zbyt wielu cholernych niższych.

- Co to ma wspólnego z wojną przeciwko twojemu ojcu? - pytam, próbując doszukać się jakiegoś związku pomiędzy Pragnieniem a rodzinnymi porachunkami.

- Mój ojciec, podobnie jak ojciec Richarda, nie chce widzieć powagi sytuacji. Pragnienie jest jak plaga, rozleje się na cały kraj. Jeżeli dotrze do Denver z całą swoją siłą, zamieni teren za murami w jedno wielkie pole walki i cmentarzysko. Wyobraź sobie, że cały gatunek wampirów ogarnia szaleństwo. Rozdzierają się nawzajem. Bezpieczne nie będą nawet Stare Rody.

- Mają aż taką moc? Żeby zabrać się za Stare Rody?

- Liczbowo? Tak. Nawet za wampira tak potężnego jak mój ojciec. Pragnienie nie przestrzega zasad. Zakażonych wampirów nie obchodzą obowiązki ani honor. Liczy się dla nich tylko to, skąd wziąć następną dawkę krwi.

- Poza tym - wtrąca Richard - są oszalałe. Tracą wszelkie hamulce. Nikt nie jest bezpieczny. Ani wampiry, ani ludzie. Nie można z nimi postępować racjonalnie. Są nastawione na niszczenie wszystkiego. Jeśli chodzi o potwory, mieszkańcy tego miasta nie widzieli jeszcze nic.

Nieudawany strach Richarda wywołuje we mnie dreszcz.

- Więc co zamierzacie zrobić? - pytam.

- Spróbuję przemówić ojcu do rozsądku - oświadcza Victor. -

Próbowałem już wcześniej, ale zostałem surowo ukarany za podważanie jego zdania. On nie wierzy w istnienie Pragnienia. Jest przekonany, że to tylko mit,



miejska legenda, która wymknęła się spod kontroli. Jeżeli tym razem nie posłucha, jestem przygotowany, żeby podjąć bardziej drastyczne środki.

- Na przykład?

- Poproszę, żeby abdykował.

- Równie dobrze możesz go poprosić, żeby poleciał na księżyc. - Prycham. - Nigdy nie ustąpi z tronu.

- Nie spodziewam się tego - mówi Victor z żalem. - Ale trzeba podjąć taki krok, zanim zrobi się następny.

Patrzę na niego, potem znów na Richarda i widzę, jak fragmenty układają się w logiczną całość.

- Nie mówisz serio. Naprawdę jesteś przygotowany do walki z własnym ojcem?

- Nie jest to moje marzenie, ale pod wieloma względami przygotowywałem się do niej przez całe życie.

- To prawda - potwierdza Richard. - A ja będę służył Victorowi za świadka, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

Kiedy wampir ze Starego Rodu wstępuje na tron, rzucając wyzwanie władcy klanu, świadek z innego rodu musi czuwać nad tym, żeby walka była sprawiedliwa. Nie zazdroszczę Richardowi zadania. Nawet gdyby jego przyjaciel umierał, nie mógłby nic zrobić, tylko patrzeć. Tak jest u wampirów.

- To wielki ciężar - mówię.

- To zaszczyt - odpowiada Richard.

- Wyświadczy mi ogromną przysługę - tłumaczy Victor. -

Wampiry ze Starych Rodów na ogół odmawiają angażowania się w rodzinne spory innych. Jakkolwiek by patrzeć, skoro jesteś świadkiem, popierasz zmianę istniejącego

porządku. Bez pomocy Richarda nie mógłbym tego zrobić.

- A jeżeli przebijesz ojca kołkiem, kiedy nikt nie patrzy? - pytam. -  
To znaczy, kto ma prawo do sporu z tobą?

- Każdy Valentine na świecie. Wszyscy stwierdziliby, że są  
prawnymi spadkobiercami. Mój ojciec ma dwóch braci; każdy ma  
kilkoro dzieci, a każde z nich ma kolejne. Wujowie i kuzynowie  
biliby się o władzę.

- Ale chyba oczywistym następcą jesteś ty?

- Głowa rodu nie jest ustanawiana w prostej linii pokrewieństwa.  
Liczy się moc. Mając poparcie Richarda, nie będę narażony na  
podważanie faktu, że to ja zniszczyłem ojca i to ja przejmę po nim  
tron.

- Działamy w cieniu i nie lubimy się do tego przyznawać - mówi  
Richard. - Ale instytucja świadka czyni dla nas wszystko bardziej  
poprawnym.

- A jeżeli ktoś nie może znaleźć świadka? - pytam.

- Musi liczyć na szczęście. Zabić władcę, a później każdego, kto  
stanie mu na drodze. Rzadko się to udaje. Stare Rody nie lubią,  
kiedy wampiry łamią zasady.

- Jeżeli ojciec nie potraktuje Pragnienia poważnie, nie będę mieć  
wyjścia - mówi Victor. - Nie mogę czekać i patrzeć, jak cały świat  
staje wobec tego okropieństwa tylko dlatego, że parę  
staroświeckich wampirów nie chce się pogodzić z jego istnieniem.

- Niestety, mamy dodatkowy problem - zauważa Richard  
poważnym tonem. - Pocztą pantoflową dowiedziałem się, że twój  
ojciec kilka miesięcy temu skontaktował

się z twoim bratem. Podejrzewa się, że jest w mieście. To mogłoby tłumaczyć dzisiejszy atak na ciebie. Mógł dać cynk Agencji, żeby się ciebie pozbyć.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, że masz brata? - pytam Victora.

- Nie jest oficjalnie uznany. Ojciec nienawidził swojego drugiego syna, nazywał go bękartem, wybrykiem natury. Nie wiem dlaczego. Trzymał go pod kluczem w innej posiadłości, z daleka od nas. W końcu skazał go na wygnanie, zanim ten skończył kilkanaście lat. Nie mam pojęcia, dlaczego miałby się zwrócić do niego teraz. I nie wiem, czy ma związek z tym wszystkim. Ale wątpię, że ojciec tylko wynagradza mu krzywdy.

- Jak ma na imię?

- Nie wiem nawet tego. Ojciec nie chciał o nim rozmawiać. Wiem tylko to, co udało mi się przez lata poskładać w całość: urodził się po mnie, ale miał jakąś wadę. Ojciec nie chciał o tym rozmawiać, ale winił jego matkę. Niedługo po tym, jak wada została wykryta, kobietę zabito. Podejrzewam, że zrobił to sam Valentine. Mój brat, po tym, jak został wygnany, przemieszczał się z miejsca na miejsce, nigdzie nie zatrzymywał się na dłużej.

- Rozpoznałbyś go, gdybyś go zobaczył?

- Nie. Nie ma żadnych jego portretów ani zdjęć. Nigdy go nie widziałem. Mój ojciec chyba chciał oddzielić mnie i Faith od tego „czubka”, jak go nazywał. - Victor, jakby zaniepokojony kierunkiem rozmowy, wstaje. - Odwiozę Dawn do domu.

Richard odprowadza nas do drzwi.

- Jak się miewa Faith? - pyta od niechcienia, jakby me miało to dla niego znaczenia, chociaż wyczuwam, że jest inaczej.

- Dobrze. Niedługo stanie po mojej stronie - odpowiada Victor.

- Mówi o mnie?

W głosie Richarda słyszę nadzieję.

- To było chyba ze sto lat temu - stwierdza Victor.

- Dziewięćdziesiąt osiem. Złamała mi serca.

- Przykro mi, Richard, nie wspomina o tobie.

- Szkoda. Do zobaczenia znowu, Dawn. Jesteś tak. intrygująca, jak twierdził Victor.

Czuję, że się rumienię, słysząc te słowa. Wychodzę na dwór za Victorem, ze zdziwieniem stwierdzając, że w tym pokoju ani przez chwilę nie czułam się zagrożona, chociaż otaczały mnie wampiry.

Po jakimś czasie zatrzymujemy się nieopodal mojego bloku i Victor gasi silnik. Zsiadamy z motoru, a Victor wciąga go w krzaki.

- Pójdę z tobą - mówi. - Chcę mieć pewność, że bezpiecznie dotrzesz do domu.

- Będę bezpieczna, jak wejdę do klatki.

- Nie zamierzam się o to kłócić. Muszę zobaczyć, że jesteś bezpieczna. A tak przy okazji, może czas porozmawiać z Rachel, żeby dała ci kogoś, kto będzie cię cały czas pilnował.

- Co właściwie zamierzasz jej powiedzieć?

- Wszystko. Może będzie wiedzieć coś na temat dzisiejszego ataku na kino. Ale bez względu na wszystko, nie mam wątpliwości, że stoi za tym mój ojciec.

Wiem, że Victor ma rację, ale wiem też, że to ja z tym zostanę i będę musiała zmierzyć się ze złością i rozczarowaniem Rachel. A będzie wściekła, kiedy się dowie, że włóczę się z wampirem, a na dodatek z synem Valen-tine'a.

- Jesteś pewien, że to rozsądny ruch? - pytam, kiedy wchodzimy po schodach do wejściowych drzwi.

- Chyba się okaże.

Kiedy mijamy strażnika, zagaduję go o rodzinę, żeby odwrócić jego uwagę i by za bardzo nie przyglądał się Vic-torowi. W windzie patrzymy na zmieniające się po drodze cyfry. To pierwsza chwila, jaką mamy, żeby po prostu ze sobą być, odkąd się pocałowaliśmy.

- To, co się stało w kinie - mówi cicho. - Już się nie powtórzy.

Nie chodzi mu o atak. Mówi o pocałunku.

- Masz rację. To... my... to zły pomysł. Wiem.

- Za kilka nocy wszystko się zmieni, Dawn.

- Wiem.

Winda wydaje dźwięk, a ja mało nie wyskakuję ze skóry.

- Czekaj - mówi Victor, wysiada i rozgląda się po korytarzu. - W porządku.

- Co byś zrobił, gdyby ktoś tu był? Posłał mnie z powrotem na dół? - pytam. - Akurat bym cię zostawiła, żebyś walczył sam.

- No wiesz, wycofanie się jest honorową zagrywką obronną. Życ, żeby walczyć następnego dnia.

- Jak często ty się wycofywałeś? Uśmiecha się.

- Nigdy. Ale to nie znaczy, że tobie nie wolno.

Szukając kluczy, uświadamiam sobie, jak bardzo jestem zdenerwowana tym, że mam przedstawić Victora Rachel. Klucze upadają na podłogę. Schylam się, żeby je podnieść, i uderzam głową w drzwi. Byłoby to strasznie zawstydzające, gdyby nie to, że drzwi się otwierają.

- Co, do diabła? Zawsze zamykamy je na klucz...

Nim zdążę się wyprostować, Victor kopniakiem otwiera drzwi.

Widzę otwarte balkonowe drzwi, przez które do środka wlewa się blask księżyca, i kogoś wiszącego na barierce, z kapturem naciągniętym szczelnie na głowę. Posyła nam jedno spojrzenie i zeskakuje.

Victor pędzi przez mieszkanie na balkon, zatrzymuje się przy barierce i spogląda w dół. Wchodzę i wciskam pierwszy włącznik światła, jaki napotyka moja dłoń. Mieszkanie jest zniszczone.

Chyba nic nie uchowało się całe.

Mój wzrok trafia na postać zwiniętą przy kanapie, leżącą w kałuży krwi pod głową. O mój Boże! Rachel!

Victor podnosi ją ostrożnie i kładzie na kanapie, a ja dzwonię po karetkę. Mimo deficytu pojazdów i benzyny Agencja pilnuje, żeby wozy ratunkowe były dostępne.

Rachel jest nieruchoma, rana z tyłu głowy ma kolor jaskrawopurpurowy, który kontrastuje z jej bladą twarzą.

Jak tylko kończę z ratownikami, dzwonię do Jeffa. Musiał być gdzieś w pobliżu, bo zjawia się szybciej od karetki. Jest prawie tak blady jak Rachel, kiedy klęka przy niej i chwyta jej bezwładną rękę.

- Co się stało?

- Ktoś włamał się do mieszkania - mówię.

- Wampir - wyjaśnia Victor.

Próbowałam go namówić, żeby wyszedł, zanim przyjedzie Jeff, ale nie chciał. Nie chciał nawet pójść do mojej sypialni, żeby poczekać w ukryciu. Jeff spogląda na niego.

- Kim jesteś?

- Nazywam się Victor.

- Strażnik Nocy - mówię pośpiesznie. - Byliśmy razem... - Nie chcę nic tłumaczyć, nie teraz, dopóki nie dojdziemy, co się wydarzyło.

- Myślałem, że jesteś na zajęciach. Nieważne. - Jeff kręci głową. - Liczy się tylko Rachel.

Przyjeżdżają ratownicy. Oni zajmują się Rachel, a ja, chroniona przez Victora i Jeffa, przeszukuję całe mieszkanie. Jest w tragicznym stanie, ale nie widać, żeby czegoś brakowało.

- Szukał czegoś szczególnego - mówi Victor.

- Nic mi nie przychodzi do głowy. Wszystkie ważne dokumenty Agencji trzymane są w biurze, nie tutaj - wyjaśniam.

- Może czegoś osobistego? - zastanawia się Victor. - Niektóre wampiry lubią wiedzieć coś więcej na temat osoby, którą śledzą, a potem atakują.

Przebiega mnie dreszcz. Nie wiadomo, co ten typ tu robił przed naszym przyjściem.

- Śledzą? - pyta Jeff. - Śledzi cię wampir, a ty nic nie mówisz?

- Wcześniej nie miałam pewności. Widziałam tego chłopaka w szkole, a później na ulicy. Myślałam, że to jakiś idiota, który chce nękać wysłanniczkę.

- To ten chłopak, którego widziałas w szkole? - pyta Victor.

- Tak. - Dokładnie ten sam kaptur z wzorem węża z tyłu.

Ratownicy kładą Rachel na noszach. Zostawiam obu chłopaków i biegnę za nią.

- Wyjdzie z tego?

- Wygląda na to, że dostała porządny cios w głowę. Nie możemy jej dobudzić - mówi wysoki, rudowłosy mężczyzna.



czynna. - Zabieramy ją do szpitala, żeby lekarze zrobili badania. Wtedy się wyjaśni, co jej jest.

- Jadę z wami.

- To chyba nie jest dobry pomysł - wtrąca Jeff. - Jest tam za dużo ludzi, za duże ryzyko, żeby o tej porze zakradł się tam wampir. Może zresztą tego chciał twój dręczyciel.

- Zostanę tu z Dawn - proponuje Victor, podnosząc oprawione zdjęcie moich rodziców i stawiając je z powrotem na kominku. - Nie jest bezpiecznie, żeby była tu sama przez resztę nocy. Ty możesz pojechać z Rachel.

- Doceniam to, ale cię nie znam - mówi Jeff.

- Ale ja go znam. Powierzyłabym mu życie. Powierzyłam mu życie. - Ściskam dłoń Jeffa. - Musisz być z Rachel. Ja tu posprzątam, żeby był porządek, jak Rachel wróci. Jeff kiwa głową i znów spogląda na Victora.

- Strażnik Nocy?

Słyszę powątpiewanie w jego głosie

- Tamte cztery wampiry zabite w tramwaju? To moja robota - mówi Victor.

- Imponujące. - Jeff znów kiwa głową i spogląda na mnie. - Dobrze. Zadzwoń do ciebie, jak będę coś wiedzieć. Zamknij za mną drzwi.

Idzie do drzwi. Zamykam je, przekręcam klucz w drzwiach, rygluję je i przykładam czoło do drewna. Rachel, Rachel, Rachel, wyzdrowiej, proszę.

- O co tu chodzi, Victor? - Odwracam się powoli.

- Chciałbym to wiedzieć.

Dwoma krokami podchodzi do mnie, obejmuje mnie, przytula, pociesza.

- Nic jej nie będzie - szepcze mi do ucha.

- Nie wiadomo.

- Ale też nie wiadomo, czy coś jej się stanie. Odchylam głowę i spoglądam na niego. Martwi mnie kolejny Valentine w Denver.

- Myślisz, że lord Valentine kazał mnie śledzić Kapturowi?

- Możliwe.

- Myślisz, że to może być... twój brat?

- Sukinsyn - szepcze. Spogląda w stronę balkonu. - Na pewno było w nim coś dziwnego. Nie umiem tego wyjaśnić.

Widzę, że budzi się w nim instynkt łowcy.

- Jeżeli chcesz go ścigać, zrozumiem.

- Nie, nie zostawię cię, na pewno nie dziś wieczorem. Ale jutro zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć. - Łapie mnie za rękaw koszuli. - Masz na sobie krew Rachel. - Odwraca się. - Chyba powinnaś się umyć. Ja się zajmę krwią tutaj.

Dociera do mnie, jak bardzo nad sobą panuje, skoro nie wydłużają mu się kły mimo zapachu krwi. U większości wampirów to reakcja automatyczna - zapach krwi, wydłużone kły.

Nie chcę go zostawiać, ale wiem, że ma rację. Muszę się przebrać.

Inaczej będę przyprawiać go o męczarnie.

Kiedy wchodzę do łazienki, w jednej chwili widzę swoje odbicie.

Jest pokruszone na milion kawałków. Lustro otrzymało jedno uderzenie w sam środek, obraz na

zawsze został zdeformowany. Napastnik wcale niczego nie szukał, próbował tylko zniszczyć wszystko, na co trafił. Włącznie z Rachel.

Sprzątam, myję się, sprawdzam telefon, czy nie ma wiadomości od Jeffa. Nic. Przyjmuję, że brak wiadomości to dobra wiadomość. Wchodzę do kuchni, żeby obejrzeć zniszczenia. To, co było ze szkła, porozbijał. Podarł nawet wszystkie zdjęcia poprzyczepiane magnesami do lodówki. Zniknął dziecinny rysunek mojej rodziny. Wpadł pewnie pod piekarnik i wyjęcie go zajmie mi pewnie wieki. To złości mnie jeszcze bardziej niż wszystkie inne zniszczenia.

- Przykro mi - mówi Victor, poprawiając wazon, który spadł, ale w cudowny sposób ocalał. - Wiem, że to mieszkanie już nie będzie takie samo.

- Czemu on to wszystko zrobił?

Nim Victor zdąży odpowiedzieć, dzwoni mój telefon komórkowy. Jeff.

- Cześć - mówię. - Czekam na dobre wiadomości.

- Jest w śpiączce. - Słyszę w jego głosie smutek. - Nie wiedzą, kiedy się obudzi. Zostanę z nią na noc.

- Jadę tam.

- Nie, nie chcę, żebyś nocą chodziła po ulicach. Rachel nie chciałaby, żebyś szwendała się o tej porze.

Jakby w mieszkaniu było o wiele bezpieczniej.

- Jest tu Clive - ciągnie. - Wysyła ochroniarzy, będą pilnowali drzwi i okolic bloku. Nie ruszaj się stamtąd.

Kiwam głową, ale uświadamiam sobie, że mnie nie widzi.

- Dobrze.

Rozłączam się i przekazuję wieści Victorowi.

- Więc nie musisz zostawać. Będę miała ochronę.

- Nie wyjdę - upiera się.

Mimo okoliczności doświadczam przelotnego uczucia szczęścia, a potem zabieram się do porządkowania otaczającego nas chaosu.

Przez następną godzinę doprowadzamy mieszkanie do porządku.

Przez cały czas Victor zadaje mi pytania na temat domowych przedmiotów, co dla mnie znaczą, dlaczego je mam. W tym, co robimy, jest poufałość, obnażanie. To dziwne, ale pocieszające.

Właściwie czuję się tak, jakbyśmy byli parą.

Kiedy kończymy, jest dobrze po północy i jestem wykończona.

- Powinnaś się trochę przespać.

Jestem tak zmęczona, że nie mam siły przytaknąć. Ruszam w stronę mojej sypialni, zatrzymuję się i odwracam się do niego.

- Nie powinnam prosić, ale potrzywasz mnie za rękę?

- Przez chwilę.

Jestem zbyt zmęczona, żeby się przebierać. Po prostu kładę się pod kołdrę. Victor kładzie się na niej, ale obejmuje mnie i to mi wystarcza.

Światło jest zgaszone, ale przez drzwi balkonowe wpada słabe światło księżyca. Stwarza bezpieczną atmosferę do dzielenia się tajemnicami.

- Opowiedz mi coś. Łatwiej mi będzie zasnąć - proszę.

- Dawno, dawno temu...

- Nie - przerywam. - Prawdziwą historię. O tobie.

- Dawno, dawno temu, nie przerywaj, żył sobie wampir, który chciał dotknąć słońca. - Przeczesuje palcami moje włosy. - Pewnej nocy szedł ulicą i nagle wydało mu się, że mignęło mu przed oczami słońce spowite w cień... ale zaraz przekonał się, że to dziewczyna, która potrzebuje pomocy. Od pierwszej chwili, kiedy spojrzał w jej niebieskie oczy, wiedział, że ma moc go zniszczyć. Ale zignorował ostrzeżenia, bo była najpiękniejszym stworzeniem, jakie w życiu widział.

- Przecież przez czterysta lat musiał widzieć mnóstwo dziewczyn.

- Oddech mam niepewny.

- Widział. Ale żadna nie zrobiła na nim takiego wrażenia, jak ta.

- Ten wampir i ta dziewczyna... żyli potem długo i szczęśliwie?

- Nie wiem. Mówiłem ci, że wampirom brakuje wyobraźni. Więc nie wiem, jak się kończy ta opowieść.

A może jest po prostu zbyt miły, żeby ją dokończyć. Bo przecież to on powiedział mi, że miłość między wampirami i ludźmi nie kończy się dobrze.

Victor wychodzi godzinę przed wschodem słońca. Kino nie będzie bezpieczne, więc jestem pewna, że schronienia poszuka u Richarda. Powiedział, że jak tylko zajdzie słońce, postara się wyjaśnić, co dokładnie się stało i czy może być zamieszany w to jego ojciec.

W towarzystwie ochroniarzy jadę do szpitala. Nie wiem nawet, czy dzisiaj wieczorem Victor będzie mógł do mnie przyjść. Jestem pilnowana, jakbym była cennym klejnotem, którego kradzieży obawia się Agencja.

Teraz trzymam Rachel za rękę, słucham nieustannego brzęczenia monitorów, dziwnej symfonii hałasu. Jeff jest na spotkaniu ze Strażnikami Nocy i pozostałym personelem Agencji, żeby spróbować dociec, kim jest ten chłopak. Przysyłają portrecistę, żeby sporządził rysunek dla stacji telewizyjnych i gazet, ale ja właściwie byłam w stanie podać jedynie opis kaptura. Nigdy nie widziałam twarzy tego wampira.

Drzwi otwierają się i do środka wbiegają Tegan, a za nią Sin i Michael. Michael spogląda mi w oczy, a ja, szcze-

rze mówiąc, nie jestem pewna, czy cieszę się, że go widzę. Ostre słowa, które padły, ciągle pobrzmiewają mi w głowie. Od tamtej pory tyle się wydarzyło pomiędzy mną i Victorem... Czuję się winna, chociaż to przez Michaela odsunęliśmy się od siebie.

- O mój Boże! Nie mogę w to uwierzyć - mówi Tegan. Wcześniej napisałam do niej SMS, żeby dać jej znać, że nie będzie mnie w szkole, i w krótkich słowach przekazałam jej, co się stało.

Obejmuje mnie i robi mi się miło. Odsuwa się i przygląda mi się.

- To był ten koleś w kapturze? - pyta. Kiwam głową i zerkam do tyłu na Michaela.

- Miałam rację. To wampir. - W moich słowach nie ma satysfakcji.

- Ale przecież za pierwszym razem widziałas go w dzień. To nie ma sensu - ciągnie Michael. - Nie wypił z niej krwi.

Byłam taka szczęśliwa, że Rachel żyje, że nawet nie przyszło mi do głowy takie pytanie.

- Widocznie wróciliśmy do domu, zanim zdążył to zrobić.

- My? - pyta Michael.

- Victor i ja. Zaciska zęby.

- Ten Strażnik Nocy?

Jego podejście irytuje mnie i boli jednocześnie.

- Nie wiem, czemu się wściekasz. Ty prowadzasz się z Lilą.

- Nieprawda. Ja tylko... - Przesuwa szybko dłonią w tył i w przód po swoich krótkich włosach i spogląda na Sina, potem na Tegan.

- Możecie na chwilę wyjść? – Przygląda mi się. – Przykro mi. Z powodu tego, co się stało.

Jego słowa brzmią dziwnie. Jakby czuł się dziwnie.

- Gdybym tamtego wieczoru złapał tego gościa... -zaczyna.

- To nie twoja wina - mówię pośpiesznie. Ja czuję się wystarczająco winna za wszystkich. Powinnam była powiedzieć Rachel i Jeffowi o Kapturze, o moich podejrzeniach, że jest wampirem.

- Pójdziemy po kawę - mówi Tegan, popychając Sina do drzwi. - Drzwi się za nimi zamykają, a Michael bierze głęboki oddech i podchodzi do mnie.

- Może byłem trochę zazdrosny o Sina i Tegan. Ona nigdy mu się nie sprzeciwia.

- Jeżeli tego ode mnie chcesz, Michael, to nie mogę ci tego dać. Straciłam zbyt wiele osób, żeby siedzieć beczynn timer, kiedy się martwię. Nie chcę, żeby coś ci się stało.

- Przepraszam. - Bierze mnie za rękę. - Przepraszam za to, jak się zachowywałem. Przyrzekam... Lila... nic dla mnie nie znaczy. Nie mogę powiedzieć tego samego o Victorze, zwłaszcza po tym, co stało się zeszłej nocy. Ale Michael jest człowiekiem. Nigdy nie zechce mojej krwi. Nigdy nie będzie potworem.

Daję się objąć Michaelowi, cieszę się, kiedy otaczają mnie jego ramiona.



Drzwi się otwierają.

- O Boże, pogodziliście się - mówi Tegan.

Cofam się i uśmiecham zawstydzona. Michael pochyla głowę, zarumieniony. To nawet słodkie.

- Co mówią lekarze? Kiedy Rachel się wybudzi? - Tegan podaje mi kawę.

- Nie mają pojęcia.

- Możesz mieszkać u mnie.

- Dzięki, ale w mieszkaniu nic mi nie grozi. Mam teraz całą ekipę ochroniarzy.

- Nie będziesz ich długo potrzebować - zapewnia Sin. - Chodź, Michael, zobaczymy, czy znajdziemy tego typka.

- Nie musicie tego robić. Wielu ludzi już go szuka -mówię.

- Zajmiemy się nim - stwierdza Michael, a ja wiem, że chodzi o jego dumę, więc odganiam strach.

- Wiem. Tylko uważaj na siebie.

- Zawsze uważam. - Uśmiecha się promiennie, a potem pochyla się, całuje mnie przelotnie w usta i wychodzi z Sinem.

Tegan wzdycha i opiera się o ścianę.

- Czyli między tobą i Michaelem naprawdę wszystko będzie w porządku?

- Mam nadzieję.

- Ja też, bo Lila... - Wsuwa sobie palce do ust i wydaje odgłos, jakby się krztusiła. - Umawianie się na wspólne randki z Michaelem i z nią byłoby koszmarem.

- Wyobrażam sobie. - Uśmiecham się.

Drzwi się otwierają i do środka wchodzi Clive. Nim zdążę się przywitać, przechodzi do rzeczy.

- Dostaliśmy wiadomość od Valentine'a. Chce spotkania dziś wieczorem.

Zaciskam zęby.

- To dobrze. Bo ja też chcę.

Tego wieczoru nie zawracam sobie głowy głupią wiktoriańską suknią. Zapinam wysoki kołnierz kolczugi pod moim niebieskim golfem. Wsuwam kolek od Victora do buta. Nie żebym miała możliwość użyć go przeciw Valentine'owi, ale czuję się z nim bezpieczniej.

Winston unosi brwi, kiedy wychodzę z bloku.

- Dzień dobry, panno Montgomery - mówi tylko, pomagając mi wsiąść do powozu.

Po drodze mam czas na myślenie, na to, żeby sobie wszystko poukładać. W związku z Victorem, Michaelem i Rachel. Próbuję uporządkować wydarzenia, zrozumieć je. Ale kiedy przyjeżdżam do posiadłości, tracą znaczenie.

Maszeruję po schodach i walę kołatką do drzwi. Służący, który otwiera, jest wyraźnie zdumiony. Całkiem możliwe, że przy Valentine, który tak trzyma się przeszłości, nigdy wcześniej nie widział dziewczyny w dzinsach. Wchodzę do środka, ale on stoi jak wryty.

- Na pewno nie chce pan, żeby lord Valentine czekał - mówię.

- Oczywiście, że nie. Proszę za mną.

Idę za nim do tej samej sali. Otwiera podwójne drzwi.

- Panna Montgomery, milordzie.

Wchodzę szybkim krokiem. Valentine powoli odstawia kielich, ale w odróżnieniu od służącego, nie jest zaskoczony. Jest zły.

Nie jestem w nastroju na wymianę uprzejmości.

- Moja opiekunka, Rachel, została napadnięta przez wampira. W naszym mieszkaniu. W mieście. Chce mi pan powiedzieć, że to dziki wampir, nad którym nie ma pan kontroli?

- Nie jesteś odpowiednio ubrana na spotkanie.

- Lordzie Valentine, to nie czas na zabawy.

- Doprawdy, Dawn? Moim zdaniem zabawa dopiero się zaczyna. Siadaj.

Wolałabym chodzić po sali, ale opadam na to samo krzesło co zwykle.

- Rachel jest w śpiączce.

- To nie mój problem. - Bierze kielich.

- Wamp-Lu zakazuje wampirom wchodzenia na teren miasta.

- Jeden wampir...

- Nie jest jeden i dobrze pan o tym wie - mówię ostro.

- Zachowuj się, dziecko. Tylko dzięki mojej łasce możesz stąd wyjść.

Powściągam swój temperament. Na niego nie ma sposobu. Nie wiem, dlaczego wydawało mi się, że mogę mu wytłumaczyć, że to on odpowiada za to, co stało się Rachel. Jest odpowiedzialny za każdego człowieka, któremu wampir w Denver zrobił krzywdę. Czas na nowy porządek. Może uda mi się użyć tego, czego chcę, żeby dobić targu.

Przez okno widzę, że w oddali szaleje burza, błyskawicami rozdzierając chmury. Okolica jest skąpana w czerni i granacie. W tej olbrzymiej posiadłości są wewnętrzne pokoje, do których słońce nie ma dostępu, w których Valentine przebywa za dnia, ale najwyraźniej lubi oglądać noc. Nie ma co się dziwić. Jest jej królem.

- To pan prosił o spotkanie - przypominam mu.

- Tak. - Valentine obraca w dłoniach kielich z krwią. Wydaje się potężniejszy niż ostatnio, jakby żywiąc się nocą, urósł, przygotowując się do rebelii syna. Przypominam sobie, że Victor nie chce przemocy, że poprosi ojca, żeby potraktował Pragnienie poważnie albo ustąpił z tronu. Jednak patrząc na tego prastarego wampira, uświadamiam sobie, że to wydaje się jeszcze mniej możliwe. Valentine nie słucha argumentów i odda panowanie tylko po swoim trupie. Boże, jak Victor może w ogóle mieć nadzieję na to, że pokona kogoś tak potężnego jak krwawy Valentine? Przez głowę przemykają mi obrazy: Victor, który przegrał z ojcem, z kołkiem w sercu.

Skup się. Nie wydaj niczego.

- Powinien pan zauważyć większą dostawę krwi w piątek - mówię. Inicjatywa Młodzieży odmieniła sytuację. - I jeszcze więcej dostarczymy w tym tygodniu. Nie dwa razy więcej, ale zbliżamy się do tego.

- To dobrze - mówi Valentine, niezainteresowany.

Trzaskający ogień syczy, docierając do szpary w drewnie, i wypływa światło, ukazując twarz lorda, który tak swobodnie czuje się w ciemności. Valentine pierwszy raz patrzy mi prosto w oczy. Czyta mnie. Widzę to tylko przez

chwilę, ale wrażenie zostaje ze mną na długo. Ta świadomość zaskakuje mnie. Czekam na coś - aż się odezwie, aż ja się odezwę, aż Victor wpadnie i rzuci ojcu wyzwanie. Cisza się przeciąga i nie wiem, co robić...

W końcu biorę się w garść. Uczono mnie negocjacji. Uczono mnie odczytywać subtelne niuanse języka ciała wampirów. To, czego nie nauczyła mnie Agencja, wpoili mi rodzice. Wiem, że to ryzykowne, ale jestem zmęczona strachem.

- Czy pana synowi podoba się w mieście? Chichocze cicho.

- Victor...

- Nie, nie Victor - przerywam. Wiem, że to wbrew etykietce, ale się tym nie przejmuję. - Drugi pana syn. Ten, o którym nie wie Agencja.

- A jednak ty najwyraźniej wiesz. - Jego wzrok staje się surowy.

- Moim zadaniem jest wiedzieć o panu wszystko. A i bez tego chciałabym wiedzieć. Ktoś z takimi wpływami i mocą jak pan mnie fascynuje. - Wampiry uciekają się do uwodzenia, żeby zdobyć to, co chcą. Może mnie też się uda. Podkarmić jego ego. Nakłonić go podstępem do wyjawienia rzeczy, których inaczej by nie zdradził.

- To dziecko zostało wypędzone i zapomniane. Jego imię nie było wymawiane od ponad stu lat. I tak powinno pozostać. Na zawsze.

- Rozumiem...

Valentine w jednej chwili się wścieka, ale zaraz na jego twarzy pojawia się chytry uśmiech.

- Domyślam się, że powiedział ci o nim Victor.

- Mam różne źródła informacji.

- Nie musisz kłamać - mówi, prawie chichocząc. -Prawdę mówiąc, chciałem rozmawiać o Victorze. Fascynuje cię, prawda? Dostrzegłem to w chwili, kiedy wszedł do tej sali, nie tak dawno temu. Nie spuszczałaś z niego wzroku mimo mojej obecności. - Nim zdołałam odpowiedzieć, ciągnie dalej: - Jednak ja się o niego martwię. Przychodzą mu do głowy różne pomysły. - Mówi powoli i dobitnie.

- Pomysły, milordzie? - pytam, kontynuując grę, próbując grać na zwłokę, aż znajdę sposób, żeby się z tego wycofać.

- Pod wieloma względami Victor jest nadal chłopcem. Zawsze chce tego, czego nie może mieć. Zawsze jest przekonany, że wie najlepiej.

- Na pewno, w swoim czasie, dorośnie.

- A ty dorosłaś, Dawn? Jesteś pierwszą osobą, która z takim zapalem mi się postawiła. Teraz muszę stwierdzić, czy to zaleta, czy zagrożenie.

Mam wrażenie, że ogień przestał trzaskać, a księżyc przesłoniły chmury. Wydaje mi się, że świat zamilkł i pociemniał; że jestem tylko ja i Krwawy Valentine, i jego potok słów.

- Jestem wysłanniczką. I jestem szczęśliwa, że służę miastu Denver.

Zastanawia się nad tym, co powiedziałam, okręcając kielich, aż w końcu wypija go jednym haustem.

- Tysiąc lat spędziłem na odgadywaniu ludzi i ich kłamstw. Każdy człowiek kłamie w ten sam sposób i zawsze z tego samego powodu. Kłamią ze strachu przed tym, co się stanie, jeżeli prawda wyjdzie na jaw.

Moja prawda będzie kosztować mnie życie, i on o tym wie. To nie jest jakaś przerażająca taktyka, żeby wymusić od Agencji więcej krwi, to nie manewr, by mieć mnie w garści. Valentine wie, że Victor coś szykuje, może nawet wie coś więcej. Może wie wszystko. Jest wampirem ze Starego Rodu, wszędzie ma oczy i uszy. Uniknął kołka przez tysiąc lat dzięki temu, że był ostrożny, zaglądał w każdy cień i za każdą zasłonę.

- Jak często widzisz się z Victorem? - pyta.

Nie mogę go okłamać. Nie jestem w tym dobra. Ale może... może uda mi się odpowiednio nagiąć prawdę.

- Widziałam go tylko kilka razy.

- I co ci mówi?

- Nic interesującego.

- Mnie interesuje wszystko, Dawn. - Słowa zostają wypowiedziane tak szybko, że nabieram przekonania, iż cała ta rozmowa została dokładnie zaplanowana, jakby miał scenariusz, zanim ja go dostałam. Zna każdy wykręt i wybieg, który próbuję zastosować.

- Rozmawiamy o dostawach krwi i innych sprawach dotyczących mieszkańców - mówię.

- Czemu interesuje go życie ludzi?

- Chce po prostu zapewnić stałe dostawy krwi poza mury.

- Według ciebie jest miękki. - Valentine chichocze lekko.
- Nie, lordzie, nie chciałam powiedzieć...
- A myślisz, że ja chciałem to usłyszeć? Mówisz mi prawdę, Dawn? Czy starasz się mnie rozbawić?
- Nie mam powodu pana okłamywać, lordzie Valentine.
- Masz wszelkie powody, żeby mnie okłamywać. Bo ja już znam prawdę i wiem, dlaczego ty tak jej się boisz. Słyszę, jak bije ci serce, Dawn. Szybciej niż dwie minuty temu. Słyszę, jak krew płynie w twoich żyłach, coraz szybciej, choćby teraz, kiedy mówię te słowa.

Wypuszczam oddech, który wstrzymywałam; jest urywany i zdławiony. Valentine znów chichocze.

Kiedy Valentine wstaje, obawiam się, że nie zobaczę już wschodu słońca. Jest potężny. Nigdy nie widziałam go stojącego. Od Victora bije siła spokoju, za to jego ojcu pomaga niesamowity wygląd. Jedno spojrzenie na Krwawego Valentine'a i słyszę krzyki milionów.

Podchodzi do mnie, każdy jego krok jest niepokojąco cichy. Ja siedzę, patrząc przed siebie, jak dobra uczennica, ale przez cały czas zastanawiam się, kiedy zrobić ruch. Nie mam zamiaru poddać się łatwo, bez walki, chcę, żeby pożałował, że w ogóle na mnie spojrzał. Wystarczy, żebym sięgnęła do buta i wyciągnęła kołek. Valentine stoi za moim krzesłem, a kiedy się odzywa, jego głos wibruje w mojej piersi jak orkiestra symfoniczna.

- Potrafię spełniać marzenia, Dawn. Mogę ci dać każde złote cacko, każdego absztyfikanta, każdą gwiazdkę



z nieba. Zawsze będziesz miała wszystko, o czym tylko zamarzysz. Służący będą spełniali każdą twoją zachciankę. Mogę sprawić, żeby twoje życie było niekończącą się ekstazą.

Obejmuje mnie, a jego wielkie palce powoli głaszczą mnie po policzku i zsuwają się w dół, do metalowego kołnierza przy szyi.

- Mogę dać ci nieśmiertelność. Mogę dać ci wieczne piękno, wieczne życie. Mogę ci dać wszystko, czego kiedykolwiek chciałaś.

Ujmuje moją brodę, jakbym była lalką.

- Mogę też sprawić, że spełnią się twoje koszmary. Nie umiesz nawet wyobrazić sobie cierpienia, jakie potrafię sprawić. Nie tylko tobie, ale wszystkim, których kiedykolwiek dotknęłaś. Rachel.

Tegan. Jeffowi. Michaelowi. Mogę dać im nieśmiertelność tylko po to, żeby dręczyć ich przez całą wieczność.

Cofa dłonie. Jedyną rzeczą, jaką widzę, jest nadciągająca burza za oknem.

- Ale nieprzyjemności są między nami niepotrzebne. Wystarczy, żebyś uznała, że jesteś wobec mnie lojalna, że ty i ludzie z Denver zyskacie więcej, kłaniając się przede mną. Wiem, że Victor potrafi być bardzo przekonujący, kiedy uchwyci się swoich wielkich marzeń. Ma paręset lat praktyki w zwabianiu w swoje ręce młodych dziewcząt. Ale od wojny bardzo się zmienił. Spaczyła mu umysł. Jego marzenia doprowadzą tylko do koszmaru.

Kolejna przedłużająca się cisza. Valentine daje mi czas na przyswojenie wszystkiego, co powiedział. Groźba za

milczenie, nagroda za przedstawienie planu Victora. Skupiam się na tym, żeby uspokoić swój puls.

- Więc... Dawn, o czym rozmawia z tobą mój syn?

- O niczym interesującym, sir - mówię szybko. Nastawiam się na to, że jego olbrzymie dłonie złapią mnie za szyję i uduszą, łamiąc mi kark, albo że jego kły wbiją mi się w skórę. Ale nic takiego się nie dzieje.

Valentine siada z powrotem, a kiedy w końcu na niego spoglądam, oczy ma w mroku. Mam wrażenie, że ta chwila w ogóle się nie wydarzyła.

- Wydaje mi się, że skończyliśmy, panno Montgomery.

- Bardzo dobrze, milordzie.

Z największą godnością, na jaką mnie stać, wstaję i wychodzę z sali.

Po przyjeździe do domu zrzucam z siebie ubranie, mało nie rozdierając go na pół. Później biorę najgorętszy prysznic w życiu. Szoruję się z całych sił, żeby zmyć z siebie dotyk Valentine'a. Na myśl o nim i jego przerażającej bliskości przebiega mnie dreszcz. Stałam się zbyt pewna siebie i myślałam, że potrafię go przechytryć, wydobyć od niego informacje. Kim ja jestem, mając siedemnaście lat, żeby konkurować z kimś, kto przeżył ich ponad tysiąc?

Kiedy wychodzę z łazienki we flanelowych spodniach i koszulce na ramiączkach, przy łóżku zastaję Victora. Nim zdążę się zorientować, bierze mnie w ramiona i mocno przytula. Wdycham jego zapach, czuję jego ciepło.

- Właśnie się dowiedziałem - mówi głosem przepętnionym troską.

- Nie miałem pojęcia, że spotkasz się z ojcem przed niedzielą, myślałem, że będę miał okazję skonfrontować się z nim wcześniej i już nigdy nie będziesz musiała go widzieć.

- Poprosił, żebym przyszła dzisiaj. Wydawało mi się, że potrafię podjąć jego grę, Victor, ale jestem nowicjuską, a on mistrzem. Nigdy wcześniej się tak nie bałam.

Victor zanurza palce w moich włosach, odchyła mi głowę do tyłu i spogląda mi głęboko w oczy.

- Zrobił ci coś?

- Nie - uspokajam go. - Nie. Ale wie, że coś planujesz.

- Jesteś pewna?

- Tak! - Wyrywam mu się i zaczynam chodzić po pokoju.

Opowiadam mu wszystko, nawet o propozycji Valentine'a, żebym zdradziła Victora.

Victor siada na łóżku. Jego przystojna twarz jest wyraźnie zmartwiona.

- Jestem prawie pewny, że to on stoi za tymi Strażnikami Nocy, którzy napadli na nas w kinie. Widocznie dowiedział się, gdzie jestem, i podał im namiary.

- Jesteś jego synem. Myślisz, że próbowałby cię zabić?

- Jeżeli widział we mnie zagrożenie, to bez dwóch zdań. - Unosi głowę i spogląda mi w oczy. - Jesteśmy żądnym krwi nasieniem, Dawn. Mój ojciec kieruje radą, która składa się z głów Starych Rodów. Nie dlatego, że ma nienaganne maniery.

Przebiega mnie dreszcz.

- Więc co zamierzasz zrobić? - pytam.

- Nie powinno mnie tu być. - Wstaje. - Narazam cię na niebezpieczeństwo.

- Nie, nie. - Robię krok w jego stronę. Zrobił to twój ojciec, kiedy uparł się, żebym została wysłanniczką.

- Jesteś najodważniejszą osobą, jaką w życiu znałem. - Wyciąga rękę i przesuwa palcami po moim policzku.

To przelotny dotyk, ale mimo to rumienię się lekko.

- Każdy inny na twoim miejscu by mnie wydał - mówi.

Wpatruję się w jego oczy i widzę to wszystko, o co warto walczyć. Lepszy świat dla wampirów i dla ludzi. To dlatego go nie wydałam.

Może miałam jeszcze inny powód. Uczucie, do którego nie chcę się przyznać.

- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie - przypominam mu. - Co masz zamiar zrobić?

- Dokończyć przygotowania. Zmierzyć się z nim jutro wieczorem.

- Chcę pójść z tobą.

- Nie, to sprawy wampirów, Dawn. Gdybyś tam była, pewnie nie mógłbym się skupić. Nie mogę sobie pozwolić na najmniejszą słabość.

Nie podoba mi się to, ale go rozumiem.

- Daj mi znać, jak tylko będziesz mógł, żebym wiedziała, że nic ci nie jest.

Posyła mi uśmiech, który stał się dla mnie cenny, ten, który wyjawia, co nosi w sercu.

Nagle rozlega się pukanie do drzwi.

- Dawn! Dawn!

W jednej chwili znów przytłacza mnie rzeczywistość i wiem, że to, co jest między mną a Victorem, nie ma najmniejszych szans.

- To Michael - mówię. - Zostanie ze mną dzisiaj. On i ja... my... - Spuszczam głowę i wbijam wzrok w podłogę. To zbyt trudne. - On jest...

- Człowiekiem.

Ze łzami w oczach unoszę wzrok i kiwam głową.

- Chyba nie jestem wcale taka odważna.

- Nie słyszałem o związku między wampirem a człowiekiem, który nie skończyłby się tragedią. - Posyła mi smutny uśmiech. - Mądrze robisz, wybierając Michaela.

Odwraca się w stronę balkonu, a ja mam wrażenie, że pęknie mi serce.

- Victor, jeżeli mogę cokolwiek zrobić, żeby pomóc ci obalić ojca...

- Już mi pomogłaś, Dawn. Dałaś mi nadzieję, że wampiry i ludzie mogą współpracować.

Znika za balkonowymi drzwiami. Nie idę, żeby sprawdzić, czy wyszedł. Wbiegam do salonu w chwili, kiedy do środka włamuje się Michael, a za nim dwóch ochroniarzy. Widocznie Jeff zapomniał dać im kluczy.

- Do cholery, czemu tak długo nie odpowiadasz? -pyta stanowczo.

- Przepraszam. Byłam pod prysznicem.

- Wyglądasz, jakbyś płakała. - Przygląda mi się uważnie.

- Nie, tylko mydło dostało mi się do oczu. Lekko zakłopotany spogląda na zniszczone drzwi.

- Przepraszam.

- Nic się nie stało. - Śmieję się lekko. - Lepiej być bezpiecznym, niż żałować.

Bierze mnie w objęcia, przytula mocno i kołysze w ramionach.

- Nie chcę, żeby coś ci się stało.

- Ani tobie.

Mam też nadzieję, że nic nie stanie się Victorowi.

W szkole Michael trzyma mnie za rękę, kiedy chodzimy po korytarzach. Lila, za każdym razem, kiedy ją mijamy, spogląda na mnie złym okiem, ale ignoruję ją. W innych okolicznościach może czułabym satysfakcję, ale dzisiaj mam w głowie co innego. Myślę o Victorze i o tym, co będzie się działo wieczorem. Jestem jedynym człowiekiem, który wie, że znajdujemy się w przełomowym momencie...

Nie chcę myśleć o tym, że wszystko może się skończyć bardzo źle. Wierzę w Victora. Obali ojca. Życie ludzi i wampirów będzie lepsze.

Po lekcjach Tegan jedzie ze mną do szpitala. Kiedy wchodzimy do sali, widzę Jeffa, który siedzi na krześle, trzymając Rachel za rękę. Mam wrażenie, że pierś mi się zapada, serce zwalnia pod wpływem świadomości, że to moja wina.

- Cześć. - Jeff wstaje.

Zawsze wydawał się twardy. Teraz wygląda na bezradnego.

- Bez zmian? - pytam.

- Tak.

Przysuwam się bliżej łóżka. Rachel ma zamknięte oczy.

Odgarniam jej włosy na bok, życząc miłych snów.

- Pójdę po kawę - mówi Jeff. - Zostawię cię z nią na chwilę samą.

Ale nie jestem zupełnie sama, bo zostaje przy mnie Tegan. Chwyta mnie za rękę i ściska.

- Wyzdrowieje.

- Tak. - Pochyliłam się i szepczę Rachel do ucha. -Strasznie cię przepraszam, Rachel. Jeżeli mnie słyszysz, to strasznie cię przepraszam.

- Okej...

Wydaje z siebie cichy pisk. Tegan odskakuje tak szybko i gwałtownie, że mało nie wrywa mi ręki. Wyswo-badzam dłoń z jej uścisku i popycham ją w stronę drzwi.

- Idź po lekarza i pielęgniarkę. Znajdź Jeffa. Skupiam się znów na Rachel. Trzepocze rzęsami, oczy ma otwarte.

- Rachel?

- Co się stało? - jęczy lekko.

- Co pamiętasz?

- Chłopaka. W kapturze. Właściwie go nie widziałam. Podszedł mnie od tyłu. Odwróciłam się. A potem ciemność. - Kącik jej warg unosi się do góry. - Śniło mi się, że Jeff mnie kocha.

- To pewnie nie sen. Kiedy nie pracował, był tutaj. Nagle do sali wpadają lekarz i kilka pielęgniarek, wypychają mnie na korytarz.



W moją stronę pędzą Tegan i Jeff.

- Naprawdę się obudziła? - pyta Jeff.

- Tak. Nie widziała dobrze napastnika.

- Ale będzie zdrowa?

- Chyba tak. - Uśmiecham się tak szeroko, że czuję ból szczęki.

Z balkonu obserwuję zachód słońca. Mam nadzieję, że niedługo nastaną czasy, kiedy nie będzie on zwiastował nadejścia potworów. Może jestem zbyt wielką optymistką, ale po tak długim czasie miło mieć nadzieję.

Michael ma całonocny trening. Inaczej byłby tutaj. Telewizor cały czas gra, żeby towarzyszył mi jakiś dźwięk. Rachel jeszcze przez parę dni zostanie w szpitalu.

Kiedy zapada noc, wracam do salonu. Spaceruję zdenerwowana.

Trudno mi się skupić. Zastanawiam się, kiedy otrzymam wieści

od Victora. Dziś wieczorem? Jutro? Tak mnie kusi, żeby

powiedzieć Clive'owi, że muszę jechać porozmawiać z

Valentine'em na temat dostaw krwi, że poprzedniej nocy nie

uzgodniliśmy kwestii, których trzeba dopilnować. Każdy pretekst

jest dobry. Ale Victor ma rację - byłabym większym kłopotem niż

pomocą. Tyle że to czekanie jest cholernie trudne.

Słyszę pukanie do drzwi. Wyglądam przez judasz i czuję, że serce

mi podskakuje na widok dwóch idealnie ubranych nieznajomych.

Czarne garnitury, długie włosy związane z tyłu, blada cera. Obaj

mają jednakowe spinki w klapach - głowa wilka w olbrzymim V.

Są od Valentine'a.

I są wampirami.

- Dawn Montgomery! - krzyczy jeden z nich zza drzwi. - Wielki lord prosi o pani obecność. Natychmiast.

Naprawdę muszę uważać, o czym marzę. Otwieram drzwi i widzę dwóch moich ochroniarzy rozciągniętych na ziemi.

- Lepiej niech nie będą martwi.

- Tylko śpią. Nic im nie będzie, pod warunkiem że pójdziesz z nami i nie będziesz robić kłopotów - mówi większy, który najwyraźniej dowodzi.

- Muszę się ubrać - mówię.

- Nie ma potrzeby. Ani czasu.

- O co w ogóle chodzi? - pytam.

- Mamy cię zawieźć do posiadłości. Tam wszystko zostanie wyjaśnione.

Chyba nie mam wyjścia. Gorsza jest świadomość, że to nie Victor ich przysłał. Nie pozwoliliby, żebym się martwiła. Kazałby im powiedzieć, że lord Victor Valentine prosi o moją obecność. Czyżby Victor zmierzył się z ojcem i przegrał? Czy może do konfrontacji jeszcze nie doszło?

- Chcę zabrać swoje rzeczy - mówię, starając się nie okazywać strachu.

- Będziesz miała wszystko, czego potrzebujesz. - Chwyta mnie za rękę, ucinając dyskusję i upewniając mnie w przekonaniu, że nie wysłał ich Victor. Nigdy nie pozwoliliby, żeby tak mnie traktowali. Wyprowadzają mnie z budynku. Czeka na mnie czarny powóz. Jest bardziej luksusowy niż ten, którym powo-

zi Winston. Ciągnie go sześć dużych, czarnych jak smoła koni, które wyglądają jak opętane i obdarzone nadprzyrodzoną mocą. Strażnik przy drzwiach wejściowych widocznie stwierdził, że to zwykła sprawa wysłanniczki, a ja staram się zachowywać naturalnie, żeby utwierdzić go w tym przekonaniu. Inaczej mogliby mu zrobić krzywdę.

Mniejszy wampir zajmuje miejsce woźnicy, a drugi odprowadza mnie do powozu. Wnętrze jest o wiele bardziej okazałe niż to, do którego przywykłam. Ma miękkie ławki z czerwonego aksamitu, a przy oknach wiszą małe naftowe lampki. Jest niewiarygodnie wygodny. W małej szafce po lewej stronie znajduje się wino, kieliszki i butelka czegoś, co może być tylko krwią.

Drugi wampir siada naprzeciwko mnie i zaczynamy podróż za miasto. Droga, jak się spodziewałam, jest gładka, jakbyśmy unosili się w powietrzu. Wyciągam komórkę, żeby zadzwonić do Clive'a, albo przynajmniej do Jeffa, i powiadomić ich, co się dzieje. Ale jak tylko telefon znajduje się w mojej dłoni, wrywa mi go wampir.

- Ej! - krzyczę, zapominając o całej mojej wyuczonej etykiecie.

Wampir odwzajemnia moje spojrzenie zabójczym wzrokiem.

- Nie ma potrzeby dzwonić. - Spogląda na aparat z pewną odrazą, z czego domyślam się, że jest starszym wampirem.

- Doskonale - mówię. - Spodziewam się, że dostanę telefon z powrotem, kiedy będę opuszczać posiadłość. -Prezentuję moje dobre maniery.

- Oczywiście, kiedy będziesz wyjeżdżać. Ton jego głosu przyprawia mnie o dreszcz.

Kiedy dojeżdżamy na miejsce, ważniejszy wampir eskortuje mnie do domu, a potem prowadzi nieznanym korytarzem. Zatrzymuje się przy otwartych drzwiach. Zaglądam do pokoju.

- Bardzo się cieszę, że udało ci się przybyć, panno Montgomery. Głos Krwawego Valentine'a odbija się echem. Powoli odwracam głowę w prawo i widzę potwora stojącego na końcu pokoju. Wpatruje się w olbrzymie malowidło. Ma na sobie swój oficjalny strój.

- Proszę, wejdz - mówi.

Mimo strachu robię, co każe. Swoboda decyzji jest po prostu złudzeniem.

Pokój, do którego wchodzę, jest najdziwniejszym pokojem, jaki w życiu widziałam. To galeria sztuki, mała, ale co najmniej trzypiętrowa. Każdy centymetr ściany jest obwieszony obrazami. Wielkimi, małymi, pięknymi i brzydkimi. Ołówek i pastele. Węgiel i olej. Pejzaże i portrety. Otaczają mnie stulecia ludzkiej sztuki.

- Nienawidzę tego pokoju - mówi Valentine, przechodząc od jednej ściany do drugiej. - To jedyne miejsce, w którym czuję pogardę do tego, kim jestem. Ani jeden artysta nie był wampirem. W każdym razie, żaden dobry artysta. My po prostu nie dostrzegamy piękna kolibra, drzewa, a zwłaszcza wschodzącego słońca. Nie wiem, czemu, ale widzimy te rzeczy całkiem inaczej.

- To na pewno...

- Nie odzywaj się - przerywa mi ze złością, której nigdy wcześniej u niego nie widziałam. Jest niekontrolowana, o krok od wściekłości.

Ogarnia mnie strach, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Nie wpadam w panikę tylko dlatego, że wyobrażam sobie Victora, który przychodzi, żeby mnie uratować.

- To mój ulubiony - ciągnie spokojnie lord Valentine, podchodząc do portretu dziewczyny. Czarne tło stanowi kontrast dla jej porcelanowej cery. Jest piękna. - Siedemnastowieczny portret służącej. Kiedy go zobaczyłem, zażądałem, żeby malarz mnie do niej zaprowadził. Szukałem nowej towarzyszki. - Potężne dłonie Valentine'a powoli pieszczą płótno. - Kiedy ją znalazłem, była stara i brzydka. Powiedziałem jej, że mogłem dać jej wieczną urodę. Wiesz, co mi odpowiedziała? „To wszystko próżność”. Valentine wbija palce w obraz i przesuwają je w dół, rozrywając płótno. Piękna dziewczyna jest w strzępach, zwisających z ramy obrazu. Zapada cisza.

- Nie jesteś już tak odważna, jak na początku - mówi w końcu. Chcę odpowiedzieć, ale za gardło ściska mnie strach, że kompletnie postradał zmysły.

- Nie ściągnąłem cię tu, żeby oglądać obrazy. - Valentine przerywa. - Co kilka lat ród Valentine'ów odbywa małą naradę. Do posiadłości przyjechali moi bracia.

Na te spotkania każdy z nas może zaprosić gościa. Zawsze obawiałem się tłumu, nigdy nie wiadomo, komu można ufać. A zaufanie to ważna rzecz, nie sądzisz, Dawn?

- Bardzo ważna, milordzie.

- Cieszę się, że się zgadzamy. Bo postanowiłem ci zaufać, Dawn. Do tego stopnia, że sprowadziłem cię jako mojego gościa.

- Milordzie?

- Wiem, to trochę wbrew konwenansom. Człowiek nigdy nie miał wstępu do mojego sanktuarium, ale wydawało mi się, że twoja obecność będzie mile widziana. Mam nadzieję, że przyjmiesz zaproszenie. Wszyscy już są, czekają na nas na górze.

Przełykam z trudem ślinę. Znowu możliwość wyboru jest jedynie złudzeniem.

- Będę zaszczycona - mówię oficjalnym tonem w nadziei, że to przypomni mu o moim statusie wysłanniczki. Mam też nadzieję, że moja obecność nie będzie mile widzianą kolacją.

Valentine posyła mi szeroki uśmiech, a ja widzę jego kły, wielkie i lśniące.

- Nie trzymajmy gości w oczekiwaniu. Podchodzi do mnie, chwyta mnie za rękę niczym

imadłem i prowadzi mnie korytarzem. Sądząc po dotyku, wiem, że nie jestem jego gościem, ale zakładnikiem.

Boję się, że wcale nie prowadzi mnie na kolację. Że prowadzi mnie do sali, żeby pokazać mi okaleczone, pobite ciało Victora. Że zamierza pokazać mi skutki głupoty, jaką jest brak całkowitej lojalności.

Wchodzimy po marmurowych schodach, idziemy kolejnym korytarzem i stajemy przed gigantycznymi podwójnymi drzwiami. Valentine kładzie dłoń na klamce.

- Dałem ci szansę, Dawn - mówi, ściskając mi rękę tak mocno, że niewiele brakuje, żeby ją złamał. - Mogłem dać ci ziemię, gwiazdy i wszystko, co pomiędzy nimi. Teraz zapłacisz za to, że wybrałaś Victora zamiast mnie.

Otwiera drzwi i brutalnie wpycha mnie do środka.

W pokoju jest zimno i ciemno, oświetla go tylko kilka źle rozmieszczonych naftowych lamp, które rzucają żółty blask na kamienne ściany. Na środku znajduje się duży, bogato zdobiony stół z masywnego starego drewna. Od razu rozpoznaję jedną z siedzących przy nim osób.

- Dawn! - krzyczy Victor, zrywając się na równe nogi.

Chcę do niego biec, tak się cieszę, że żyje. Ale obok mnie jest Valentine, który nadal ma nade mną kontrolę. Chociaż mnie nie trzyma, jego wampirza prędkość sprawia, że jestem tak bezbronna, jakby jego ręce już zaciskały się wokół mojej szyi.

- Panno Montgomery, chyba nie poznała panienka moich braci. Ransom... - Wampir, który jest bardzo podobny do Valentine'a, wstaje i kłania się. - ... i Seymour. - Drugi mężczyzna wstaje. Jest rozdęty i nie chcę myśleć, ile ludzkiej krwi potrzebował, żeby doprowadzić się do tak groteskowego stanu. Bije od nich aura wyższości. Mimo że etykieta wymaga, aby obaj stali, dopóki nie usiądę, zajmują z powrotem swoje miejsca ze zde gustowaną

miną, która mówi mi, że jestem dla nich jedynie źródłem krwi.

- Moja córka, Faith.

Wygląda, jakby była w moim wieku. Określenie „piękna” byłoby tym, czym stwierdzenie, że słońce świeci troszeczkę. Nigdy wcześniej nie widziałam kobiety ze Starego Rodu. Ich wyjątkowość ma odbicie w urodzie, jakby obfitość piękna została rozdzielona tylko między kilka osób. Ma idealną cerę, ogniście rude włosy i figurę klepsydry. Oczy ma intensywnie niebieskie jak Victor, ale wyglądają bardziej uwodzicielsko, o ile to w ogóle możliwe. Jej czerwona suknia podkreśla wszystkie krągłości. Kiwa jedynie do mnie palcami, najwyraźniej znudzona moim nagłym wtargnięciem do sali.

- Richarda Carrolltona już chyba poznałaś.

Zastanawiam się, skąd o tym wie. Jeżeli Richard zastanawia się nad tym samym, nie widać po nim tego, kiedy wyłania się z mroku.

- Pozwólcie, że przedstawię wam Dawn Montgomery - mówi teatralnym głosem. - Wysłanniczkę, konspi-ratorkę, zdrajczynię. Ukłoń się, Dawn.

Nie kłaniam się. Stoję wyprostowana jak struna. Patrę w oczy Victorowi, starając się go przekonać, że się nie boję, chociaż kolana uginają się pode mną.

- Ukłoń się! - krzyczy Valentine, a echo odbija się z hukiem od ścian.

Victor lekko kiwa głową, więc robię to, co każe Victor. Udaję potulną. Kłaniam się.



- To dla mnie zaszczyt - przybieram najbardziej uprzejmy ton wysłanniczki.

- Och, jak my wszyscy gramy! - Valentine chichocze ponuro. - Wiem, że mój syn robił, co mógł, żeby nie włączyć cię w dzisiejsze wydarzenie. I nie bez powodu. Nie chce, żebyś widziała jego zachowanie w tej ostatecznej potyczce.

- Ona nie ma z tym nic wspólnego - protestuje Victor, robiąc krok do przodu.

- Owszem, ma wiele wspólnego! - wrzeszczy Valentine. - Mogła wybrać, po czyjej stronie stanie: mojej czy twojej. Wybrała ciebie. Jest winna w tym samym stopniu co ty. Kto jeszcze? Niech wstanie! Kto jeszcze stoi po stronie mojego syna, bydlaka? Wstaje Faith. W jej ruchu jest chłód i opanowanie.

- Moja własna córka - mówi Valentine z surową złością w głosie. - Powinienem był wiedzieć. Jesteś tak nielojalna jak twoja matka. Kto jeszcze?

Do przodu wychodzi Richard.

- Oczywiście - ciągnie Valentine. - Kiedy Faith przyprowadziła cię jako swojego gościa, pomyślałem, że to żart. Teraz już rozumiem. Bracia? Po czyjej stronie stajecie?

Bracia Valentine nie wstają, ale w odróżnieniu od Faith, oni z całą pewnością nie mają znudzonej miny. Widzę, jak kalkulują, co to wszystko dla nich oznacza i jak najlepiej to wykorzystać.

- Więc to już wszyscy? Twój cały plan, żeby mnie obalić?

- Oszalałeś - wyrokuje Victor. - Już nie rządysz wampirami, tobą  
rządzi twoje własne pragnienie krwi, a niżsi głodują.

Przemieniając ich, zobowiązaliśmy się, że zapewnimy im  
pożywienie. Teraz wschód ogarnęło Pragnienie, które kieruje się  
prosto do nas.

- Ha! Pragnienie. Miejscowa legenda, w którą wierzą tylko  
dzieciaki, głupie jak ty.

- To prawda! Jeżeli nie zamierzasz podjąć przeciw niemu działań,  
będę zmuszony wystąpić w twoim imieniu.

- Dawn mogła dać się nabrać na to, że jesteś kimś, kim nie jesteś. -  
Złość płonie w oczach Valentine'a, a jego kły powoli się  
wydłużają. - Ale ja cię znam od czterystu lat. A ona niedługo się  
przekona, jaki jesteś naprawdę. Zawsze się przekonują.

- Ojczy, wyciągasz króliki z kapelusza, żeby tylko odwrócić uwagę  
od prawdziwego problemu - mówi Victor. -Czas, żebyś ustąpił z  
funkcji głowy rodu.

- Nigdy. Dopóki żyję. To moje królestwo! Wzniesione moimi  
dłońmi. Nie masz pojęcia, czego trzeba do rządzenia, co musiałem  
uruchomić.

- Wiem, że wykorzystujesz do tego mojego brata.

- Zawsze uważałem go za dziwoląga. - Valentine chichocze. - Ale  
jest taki, jaki ty nie jesteś. Lojalny. I ma w sobie piękne zło. O jego  
przebiegłości nie możesz nawet pomarzyć.

W jego głosie słyszę dumę. Przebiega mnie dreszcz. Czyżby to  
była rodowa cecha, z której dziedziczenia Valentine jest  
najbardziej dumny? Przebiegłość?

- Zniszcz mnie, a uwolnisz jego - mówi Valentine. - To tak jakbyś rozpętał piekło.

Victor wyciąga kołek z za pasa. Jest długi, metalowy, zaprojektowany idealnie do zadania jednego śmiertelnego ciosu w serce.

- Nie zostawiasz mi wyboru.

- Zrób krok, a pozbawię życia twoją śliczną Dawn - grozi Valentine głosem tak stanowczym, że wszyscy w pokoju zamierają. Już rozumiem, po co tu jestem. Jako żeton pokerowy. Karta przetargowa. Ostatnia nadzieja Valentine'a. - Skręcę jej kark, zanim zdążysz do mnie doskoczyć.

- Wbiję ci kołek w serce, zanim jej dotkniesz - Victor nie daje za wygraną.

- Nie doceniasz mnie, dziecko. Może jestem stary, ale moc przychodzi z wiekiem.

- Ona nic dla mnie nie znaczy - mówi Victor. Ignoruję ukłucie, jakie wywołują jego słowa, i skupiam się na tym, po co je wypowiedział. Próbuje usunąć mnie z niebezpiecznego miejsca, stara się przekonać Valentine'a, że jako karta przetargowa jestem bezużyteczna.

- Nic? - Stary wampir się śmieje. - Zupełnie nic? Więc nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby moi bracia zamienili ją w to, czym od początku miała się stać.

- Jest zwykłym człowiekiem.

- Mylisz się, jest kimś o wiele ważniejszym.

- To zwykły worek krwi...

Valentine uderza mnie w twarz z taką siłą, że na chwilę robi mi się ciemno przed oczami i upadam na podłogę. Po pokoju niesie się jego śmiech.

Próbuję wstać, ale uderzenie było tak mocne, że mnie zamroczyło. Zauważam jednak reakcję Victora. Nigdy w życiu na niczyjej twarzy nie widziałam takiej nienawiści. Cała skierowana jest na ojca.

- Dobrze - mówi Valentine. - Daj upust swojej złości. Skoro mamy walczyć, chcę, żeby w tej walce chodziło o coś więcej niż tylko to, kto obejmie tron. Chcę wiedzieć, czy wychowałem syna, który chce zabić ojca, tak jak ja swojego.

Valentine wyciąga spod płaszcza kołek. Richard chwytą swój kołek i spogląda na braci Valentine.

- Nie próbujcie pomagać, bo przebiję wam pierś. Jasne?

Ojciec i syn zajmują miejsca. Obecny jest świadek. Wszystkie pionki w grze. Nadchodzące sekundy zadecydują o przyszłości miasta, rodziny Valentine ow, moim życiu. Zadecydują też o przyszłości Victora. W tej chwili uświadamiam sobie wyraźnie jak nigdy do tej pory, że chcę, żeby miał przed sobą przyszłość. Nie chcę, żeby umarł. Nie tylko dlatego, że jest lepszy z nich dwóch. Ale dlatego, że zależy mi na nim bardziej, niż myślałam, każdą komórką ciała.

Nie wiem, co dzieje się później - obaj Valentine'owie poruszają się zbyt szybko, żeby ludzkie oczy mogły to zarejestrować. Są tylko zamazane obrazy i pomruki, ich postacie zatrzymujące się na chwilę wyłącznie po to, żeby walczyć dalej. Cała scena rozgrywa się tak, jakby oświetlały ją stroboskopowe światła: Victor z kołkiem w rę-

ce, Valentine się uchyla, Victor atakuje, Valentine robi zmyłkę. Zamieram ze strachu. W każdej chwili walka może się skończyć, a Victor może paść martwy na ziemię. Zalewa mnie poczucie winy. Tylu rzeczy mu nie powiedziałam. Tego, jak bardzo go podziwiam za to, że troszczy się o wampiry w mieście. Że troszczy się o mnie. Jak bardzo pragnę świata, o którym marzy, w którym wampiry i ludzie mogliby współpracować. Trudno uwierzyć, że jeszcze nie tak dawno temu cieszyłabym się z jego śmierci. Jednego wampira na świecie mniej. Teraz nosiłabym po nim taką żałobę jak po stracie rodziców i brata. Chcę pomóc Victorowi, ale wiem, że najlepiej zrobię, stojąc bez ruchu, żeby go nie rozpraszać. Cała jego energia i uwaga musi być skupiona na tym, żeby pokonać Valentine'a. Zerkam przez ramię na pozostałe wampiry. One bez problemu obserwują rozgrywającą się przed nimi scenę. Bracia Valentine się uśmiechają, ich oczy lśnią na widok brutalności, która najwyraźniej sprawia im przyjemność. Richard ze zmartwieniem przygląda się każdemu gwałtownemu ruchowi. Jego wzrok wędruje w tę i z powrotem, obserwując, jak najlepszy przyjaciel walczy o życie. Przed oczami miga mi niebieski garnitur Victora. Nigdy nie chciałam niczego bardziej niż tego, żeby wygrał. Proszę, proszę, Victor. Wiem, że potrafisz.

Nagle ruch zamiera. Poza ciężkim dyszeniem panuje cisza. Wszyscy stoją oniemiała na widok, jaki mają przed oczami. Na ziemi olbrzymia postać Valentine'a leży na drobniejszym ciele syna. Obaj nieruchomi jak posągi. Nie są w stanie oddychać. Nie są w stanie się ruszyć.

Ciało Valentine'a stacza się i upada na podłogę. Kołek Victora jest zanurzony głęboko w piersi ojca. Serce Krwawego Valentine'a przestaje bić. Ta mała plamka ciemności na świecie na chwilę stała się jasna.

Widzę, jak pierś Victora unosi się i opada w rytm jego oddechów, głębokich i pełnych. Chcę go przytulić, ale boję się, że jest w nim jeszcze zbyt dużo złości, zbyt dużo gwałtowności. Potrzebuje chwili, żeby ochłonąć. Powoli wstaje wyprostowany.

Widzę determinację w jego oczach. Miałam słusność. To jeszcze nie koniec.

- Skoro wujowie opowiedzieli się za ojcem, wtrącić ich do lochów - rozkazuje pewnym głosem, nieznoszącym sprzeciwu.

- Nie możesz... - zaczyna jeden, ale Victor mu przerywa.

- Albo jesteście za mną, albo za moim ojcem. Obie decyzje pociągają za sobą konsekwencje. Pogrzeb będzie o świcie. Do tego czasu możecie dać mi odpowiedź.

Wujowie Victora z trudem niosą zwaliste ciało Valentine'a, a Richard i Faith wyprowadzają ich z pokoju. Cieszę się. Cieszę się, że w końcu jestem sam na sam z Victorem.

- Victor.

Odwraca się do mnie dopiero po chwili. W jego oczach nie ma łez. Widać w nich bezgraniczny smutek, który jest jeszcze gorszy. Nie mogę już dłużej znieść dzielącej nas odległości. Podchodzę do niego, wyciągam rękę, obejmuję jego twarz i przechylam ją w moją stronę, żeby spojrzał mi w oczy. Musi mnie zobaczyć. Musi wiedzieć, że tu z nim jestem. To, co zrobił... nie zmienia tego, kim jest. Ale zmienia moje uczucia do niego. Od chwili, w której się poznaliśmy, starał się udowodnić mi, że nie jest potworem. Dziś tego dowiódł. Nie chciał zabić ojca. Został zmuszony do konfrontacji.

Mogłam go stracić i nigdy by się nie dowiedział, że się w nim zakochałam. Głęboko. Uczucia zakradły się do mojego serca krok po kroku. Wampiry wzięły ode mnie wszystko, ale teraz patrzę w oczy temu jednemu, który ma moc przywrócić sens mojemu życiu, który może uleczyć pustkę i smutek.

Nie wiem, jak ubrać to w słowa. Więc po prostu go przytulam, z radością witając jego obejmujące mnie ramiona. Ściska mnie mocniej i w końcu to ja mam łzy w oczach.

- Myślałam, że cię stracę - szepczę. - Victor, tak się bałam, że cię stracę.

- Nigdy mnie nie stracisz, Dawn. Odkąd cię poznałem, po raz pierwszy w życiu zrozumiałem, o co walczę. Jesteś dla mnie każdym wschodem słońca, którego nigdy nie zobaczę.

Unosi mi brodę i pochyla usta nad moimi. Pocałunek jest delikatny, osłodzony świadomością, że oboje przeżyliśmy. Że jesteśmy na skraju zmiany. Serce rozsadzają mi

emocje, których do końca nie rozumiem. Ich intensywność jest przerażająca. Po raz pierwszy nie myślę o Vic-torze jak o wampirze, ale jak o kimś, kogo kocham. Nasze języki tańczą, a ja wtulam się w niego bardziej i zastanawiam się, czy kiedyś będę mogła być tak blisko niego, jak chcę, jak potrzebuję. W tej chwili liczy się tylko on.



Czuję, jak sweter przesiąka mi czymś ciepłym i mokrym, tuż pod miejscem, gdzie bije mi serce. Odsuwam się i spoglądam w dół. Niebieska koszula Victora błyszczy, przemoczona od krwi.

- Victor, jesteś ranny. Połóżnia uścisk i cofa się o krok.
- Ojciec miał rację. Nie doceniałem go.
- Czego ci potrzeba? Powiedz, zrobię to.
- Muszę odpocząć, to wszystko. Pomóż mi przejść do sypialni, to niedaleko.

Ale jego rana jest poważniejsza, niż przyznaje, i szybko pozbawia go sił. Z wielkim trudem wchodzimy po schodach. Kiedy udaje nam się wejść na górę, Victor jęczy, jakby ostatni krok kosztował go zbyt wiele. Podtrzymuję go, a on kuśtyka do wielkich drewnianych drzwi. Przekręcam klamkę i otwieram drzwi z taką siłą, że uderzają o ścianę. To jego sypialnia. Widzę tylko tyle, że jest w niej bardzo ciemno. Dostrzegam kontur łóża z baldachimem i pomagam mu się położyć.

- Nie umieraj mi tylko - proszę. - Chyba w końcu zaczęłam się cieszyć, że pojawiłeś się w moim życiu.

- Nie jest tak źle, jak wygląda.

Włączam naftową lampkę przy łóżku, żeby lepiej przyjrzeć się ranie. Z rozcięcia leje się krew. Oddzieram kawałek prześcieradła i przyciskam mu je do boku.

- Męczysz się. Potrzebujesz krwi, Victor. A jedyna krew pochodzi ode mnie.

- Nic mi nie będzie, Dawn. Muszę tylko odpocząć.

- Co mogę zrobić? - Siadam na krawędzi łóżka.

- Już to zrobiłaś. Jesteś ze mną. Dzisiaj widziałaś wampiry takimi, jakimi jesteśmy: brutalne, żądne krwi i mroczne. Zabiłem własnego ojca, tak jak on swojego. Nasza rodzina ma ręce splamione krwią. Bez względu na to, co zrobię, nigdy nie będą czyste.

- Jesteś inny niż on.

- Kiedyś twierdziłaś, że jestem taki sam. A jeżeli miałaś rację?

- Wtedy się myliłam. Teraz mam rację. Jesteś inny, widziałam to dziś wieczorem. - Kręcę głową. - Nie, widziałam to już wcześniej. Czuję do ciebie coś, co jest... prawie przerażające.

- Mój ojciec popełnił błąd, sprowadzając cię tu dzisiaj. Myślał, że twoja obecność mnie rozkojarzy, ale ja tylko uświadomiłem sobie, że z radością poświęciłbym dla ciebie swoją nieśmiertelność. -

Dotyka mojego policzka, a potem przesuwa palce na szyję. -

Będiesz w moim życiu przez tak krótki czas, ale warto.

- Już się wylegujesz, bracie? - pyta Faith. Odskakuję od niego, jakbym została przyłapana na czymś niewłaściwym.

Faith podchodzi do łóżka, z Richardem u boku.

- Jest ranny - mówię, zdumiona jej obojętnym zachowaniem.

Faith zerka na ranę w boku Victora.

- Taką ranę wyleczy odrobina krwi. - Kieruje wzrok na mnie. Kły wydłużają jej się lekko, kiedy cicho się śmieje. Bierze głęboki oddech, a w jej oczach widać głód. -A minus. Świetnie smakuje do steku.

- Faith - ostrzega ją Victor.

- Masz rację. Zero minus jest lepsza. Dobra na wszystko.

- Dość - ton Victora jest stanowczy, a do mnie dociera, że całkowicie przejął rolę ojca. On jest nowym panem i władcą. - Czy wujowie zostali osadzeni?

- W zabitych gwoździami trumnach. - Richard pochyla się za jednym z filarów łóżka.

Otwieram szeroko oczy, nie dowierzając.

- Próbuje być dowcipny - wyjaśnia Faith, przewracając oczami.

- Przecież lubisz moje poczucie humoru - odpowiada Richard.

- Niezupełnie. - Odwraca się na pięcie i rusza w stronę drzwi. -

Chodź, Dawn. Zobaczymy, czy znajdziemy ci coś do ubrania.

- Czemu? - pytam.

- Nie jesteś zbyt uważna, co?

Podążam wzrokiem za jej spojrzeniem i widzę na moim swetrze krew. Jeszcze raz oglądam się na Victora, żeby się upewnić, że nic mu nie jest.

- Idź z nią - ponagła. - Muszę porozmawiać z Richardem. Jak się przebierzesz, Faith zaprowadzi cię do sypialni, żebyś się przespała. To była bardzo męcząca noc dla wszystkich.

- Dobrze.

Na korytarzu Faith mierzy mnie wzrokiem. Wiem, co widzi. Jestem od niej niższa, nie tak kształtna.

- Najlepsza chyba byłaby spódnica obcisła w talii -mówi.

Obcisła w talii, obcisła w biodrach. I koszulki, których granice wytrzymałości nie byłyby tak sprawdzane jak wtedy, kiedy nosi je ona.

Prowadzi mnie korytarzem do sypialni, która cała jest jedną wielką pokusą. Pokój wypełniony jest czerwienią we wszystkich możliwych do wyobrażenia odcieniach. Faith podchodzi do podwójnych drzwi i otwiera je teatralnym gestem, ukazując garderobę większą niż mój pokój.

- O mój Boże. - Wpatruję się zdumiona.

- Wiem, to żalosne. Moja wielka garderoba jest w Europie - mówi i wchodzi do środka, dotykając jedwabiu, satyny, bawełny. -

Przyznaję, ciuchy są moim grzechem, miałam trochę czasu, żeby je zgromadzić.

- Ile dokładnie?

- Hm. - Chwyta wieszak. - Prawie dwieście. - Rzuca mi jedwabną, zwiewną spódnice. - Ta powinna pasować.

Nim upadnie na podłogę, łapię ją i przesuвам po niej dłońmi.  
Materiał jest niewiarygodnie miękki, satynowy.

Wybiera kilka koszulek i innych rzeczy.

- Chodź.

Idę za nią do marmurowej łazienki, w której również pojawia się czerwony motyw. Nawet marmur jest czerwony.

- Krew wampira jest cholernie trudno sprać. Rzuć swoje ubrania w róg, a ja je spalę.

Zostawia mnie samą. Jestem zaskoczona, kiedy odkrywam bieżącą wodę, która jest naprawdę ciepła. Może mają nowoczesne udogodnienia. Zdejmuję ubranie i rzucam je w kąt. Nie mam nic przeciwko temu, żeby je spaliła. Nigdy nie mogłabym ich nosić, nie myśląc o dzisiejszym wieczorze. To wspomnienie chciałabym jak najszybciej wymazać z pamięci.

Myję się szybko i przeglądam ubrania, które przyniosła. Znajduję parę czerwonych jedwabnych majtek. Raczej takich nie noszę, ale podejrzewam, że Faith nie ma innych. Wsuwam je, nie chcąc przyznać, jak seksownie się w nich czuję. Trochę mi żal zakrywać je spódniczką. Ale zakrywam. Później wciągam przez głowę czerwony topik. Też jest seksowny, opada na jedno ramię, tworząc zgrabną oprawę dla mojego tatuażu.

Kiedy wychodzę z łazienki, Faith leży wyciągnięta na łóżku.

Unosi wzrok znad książki, którą czyta.

- Chyba da radę - mówi. Przyjmuję to za komplement.

Nieśmiało przeczesuję palcami ciemne włosy. Wy-szczotkowałam je wcześniej i zostawiłam rozpuszczone.

- Na końcu korytarza są podwójne drzwi - objaśnia. -Prowadzą do starej sypialni ojca. Nie polecałabym spania tam, ale poza tym weź pokój, który chcesz.

- Uhm, przykro mi z powodu twojej straty. - Oblizuję wargi.

Przez minutę wpatruje się we mnie nieruchomym wzrokiem.

- Ach, chodzi ci o ojca. - Wzrusza ramionami. - Stare Rody tak rzadko umierają... Właściwie nie jestem pewna, co powinnam czuć. Nie jesteśmy obciążeni takimi emocjami jak ludzie.

- Nawet w przypadku miłości?

Ignoruje pytanie i kartkuje książkę. Widzę okładkę. Powieść o miłości.

- A Richard? - pytam niespodziewanie.

- Tej nocy będę żałować przez całą wieczność. - Faith wydaje z siebie jęk.

- Jemu chyba na tobie zależy. Kiedy go poznałam, pytał o ciebie - śpieszę wyjaśnić.

- Jesteś taka niewinna.

Brzmi to jak obelga. Gryzę się w język, żeby nie odpowiedzieć.

Nie muszę się bronić, udowadniać, że wcale nie jestem niewinna.

Ale nie mam ochoty tu z nią siedzieć. Wolę być z Victorem.

- Dzięki za wszystko.

- Nie ma sprawy.

Wychodzę na korytarz, na którym stoi Richard.

- Jak tam Faith? - pyta.

- Chłodna, bez emocji.

- Pewnie jest zdezorientowana. - Wzrokiem błądzi po drzwiach i robi krok w stronę sypialni.

- Chyba nie...

Zatrzymuje się i spogląda na mnie. Nie umiem wytłumaczyć, dlaczego nie chcę go zranić. Może dlatego, że jest przyjacielem Victora, a przekonałam się, że ocenie Victora można ufać.

- Chyba chce być sama.

Posyła mi lekki uśmiech, z którego widać, iż wie, że próbuję go chronić, i jest mi wdzięczny.

- Nic mi nie będzie.

Znika w jej pokoju, ale nie jest to już mój problem.

Idę korytarzem do pokoju Victora. Drzwi są otwarte. Zaglądam do środka. Leży w łóżku, pod kołdrą. Nie jest już w garniturze. Ma na sobie zwykłą bawełnianą koszulkę.

- Dawn. - Otwiera powoli oczy.

- Jak się czujesz? - Wchodzę dalej.

- Wykończony. Zdrowienie bardzo nas wyczerpuje. - Marszczy czoło. - Faith miała cię zaprowadzić do sypialni.

- Zostanę tutaj.

- Nie.

- Tak. Jak chcesz, możemy się kłócić, ale jesteś słaby i wygram.

Uśmiecha się przelotnie. To chyba najśłodszy gest poddania, jaki w życiu widziałam.

Przykręcam lampę naftową, aż już tylko bzyczy, a blask oddala się od Victora, zostawiając go w mroku.

Gramolę się na łóżko i kładę się przy jego zdrowym boku.  
Obejmuje mnie ramieniem.

- Sam nie mogę uwierzyć, że to powiem, ale jesteś dla mnie chyba najlepszym lekarstwem.

Wiem, że trzeba zrobić o wiele więcej, żeby Victor całkowicie wydobrzeł, i mam świadomość, że gdzieś tam czeka jego niebezpieczny brat, z którym trzeba sobie poradzić. Ale w tej chwili, chociaż wydaje się to niemożliwe, jestem naprawdę szczęśliwa.

- Chcę być tutaj.

- A co z Michael'em? - Przyciąga mnie do siebie jeszcze bliżej.

- Muszę pozwolić mu odejść. To będzie trudne, bo znam go od zawsze, ale to wobec niego nie w porządku. Nawet jeżeli między mną i tobą... nie wypali. - Ludzie i wampiry. Czy kiedykolwiek coś takiego się udało? - Michael zasługuje na kogoś, kto odda mu całe serce. W sobotę jest impreza Inicjatywy Młodzieży. Wtedy się z nim pożegnam.

- Przez czterysta lat nigdy nie czułem do nikogo tego, co czuję do ciebie. Pamiętaj o tym, bez względu na to, co się stanie.

Wiem, że on równie dobrze jak ja jest świadom, że to, co nas łączy, nigdy nie stanie się proste. Może nie być szczęśliwego zakończenia.



Niedługo przed świtem budzi mnie Victor, wiercąc się. Dotyka mojego policzka, a ja marzę, żebyśmy mogli tak leżeć cały dzień.

- Jak się czujesz? - pytam.

- Rana prawie się zagoiła. Prawie całkiem odzyskałem siły.

Strasznie bym nie chciał wyrzucać cię z łóżka, ale potrzebuję paru chwil w samotności, żeby przygotować się do pogrzebu.

Niechętnie wychodzę z pokoju, zamykam drzwi i czekam na korytarzu. Kiedy do mnie wychodzi, ma na sobie jedwabny garnitur. Czarny.

Zastanawiam się, czy powinnam się przebrać w coś bardziej stonowanego.

- Wyglądasz cudownie - mówi Victor, jakby czytał mi w myślach. Trzyma mnie za rękę, kiedy idziemy przez posiadłość, ale uwalnia moją dłoń, gdy wychodzimy w ciemność przed brzaskiem.

Rozumiem, że przed innymi musi być silny. Oni, szczególnie wujowie, nie mogą widzieć, że kogokolwiek potrzebuje.

Zwłaszcza człowieka.

W niedużej odległości od domu, na podniesionej platformie, stoi prosta sosnowa trumna, ale w zasięgu wzroku nie widać wieka. Kiedy zbliżamy się do niej z Victorem widzę, że spoczywa w niej Valentine. Faith bawi się apaszką, wygładzając ją.

Z miną winowajczyni, smutna, spogląda mi w oczy.

- Ojciec zawsze był taki dumny ze swojego wyglądu.

- I dlatego pił tyle krwi - mówi Ransom.

- Żeby zachować młody wygląd - dodaje Seymour. Ich głosy są obojętne, pozbawione emocji. Bez smutku

i żalu. Odnoszę wrażenie, że nie czują do brata absolutnie nic.

Victor nie jest tak zimny i sztywny jak oni. Widziałam smutek w jego oczach. Zrobił, co musiał, ale nie sprawiło mu to radości.

Faith odsuwa się od trumny i staje obok Richarda. W obu rękach trzyma kołki, a jeszcze jeden ma przytwierdzony za paskiem.

- Co postanowiliście? - pyta wujów Victor. - Jesteście ze mną czy... chcecie dołączyć do ojca?

- Moja lojalność jest przy tobie, bratanku - mówi Seymour i niezdarnie klęka na jedno kolano.

Ransom rozgląda się. Zastanawiam się, czy rozważa próbę ucieczki. W końcu on również klęka.

- Moje również.

Chciałabym móc im wierzyć. Ale teraz, kiedy Victor jest głową najpotężniejszego rodu wampirów, na pewno mają trochę pretensji.

- Przyjmuję waszą wierność - mówi Victor, ale on też baczenie przygląda się wujom, jakby chciał zakraść się do

ich umysłów i odczytać myśli. - Dziś wyruszyście w podróż do domu. Bracia wstają.

Wszyscy kierują spojrzenia na trumnę, na Valentine'a, a ja zastanawiam się, czy przypadkiem nie oczekują, że wstanie z martwych. Przez chwilę zalewa nas cisza. Pełna szacunku. Wtedy zauważam służących, niższych, którzy stoją w niewielkiej odległości od trumny, także tych dwóch, którzy przyprowadzili mnie wczoraj. Zaakceptują bez protestów objęcie tronu przez Victora?

- Już czas - mówi cicho Victor.

Wszyscy odwracają się w stronę domu, a ja uświadamiam sobie, że zza horyzontu wylaniają się pierwsze promienie słońca.

- Chcę cię poprosić o coś jeszcze, Dawn, bo tylko ty możesz to zrobić. - Victor kładzie mi dłoń na ramieniu.

- Zrobię wszystko. - Chociaż nie mogę sobie wyobrazić, co to może być.

- Kiedy wzejdzie słońce, mój ojciec zamieni się w popiół. Ważne jest, żebyś to widziała. Żeby nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, że panowanie Krwawego Valentine'a dobiegło końca.

Nienawidziłam Lorda Valentine'a, jednak przyglądanie się, jak płonie, będzie... nieprzyjemne. Ale nie mam wyjścia.

- Zostanę tu.

- Dziękuję, Dawn. To nie różni się niczym od kremacji. Nie będzie bólu, nie będzie krzyków. On jest martwy, został po prostu ostatni krok. Jego duszy nie ma i niedługo pójdzie za nią także ciało.

Trumna z potężnym ciałem dawnego lorda czeka. Gdyby miał otwarte oczy, mógłby obserwować wschód słońca.

- Przyjdź do nas do gabinetu, jak będzie po wszystkim. -

Delikatnie dotyka mojego policzka.

Kiedy wraca do posiadłości, słońce zaczyna rozpraszać mrok.

Chcę krzyczeć do niego, żeby przyspieszył kroku, ale on idzie bez pośpiechu, jakby szybszy marsz ujmował mu powagi, a może mu się wydaje, że teraz może rozkazywać słońcu.

Kiedy wreszcie chroni się w domu, wypuszczam wstrzymywany oddech i odwracam się, żeby wypełnić zadanie jedyne go świadka.

Stoję na tyle daleko, że nie widzę Valentine'a, jedynie sosnową trumnę, która jest teraz jego miejscem spoczynku. Słońce wschodzi coraz wyżej i wyżej, rozświetlając niebo, ogrzewając ziemię. Czuję, jak dotyka mojej twarzy, podnosząc mnie na duchu. Nagle rozlega się syk i z trumny strzelają w górę płomienie. Nie spodziewałam się, że będą tak piękne. Pomarańczowe, niebieskie, czerwone, żółte. Słyszę trzask, kiedy zapala się sosnowa trumna. Płonie szybko, razem z drewnianą platformą, na której była złożona.

W końcu zostaje sam popiół.

Chłodny wiatr delikatnie unosi go i rozwiewa. Zastanawiam się, czy to ten sam wiatr, który zabierał mi to, co pozostało z moich rodziców, kiedy ich powóz przestał płonąć.

Gdy się odwracam, widzę, że coś na ziemi odbija blask słońca.

Podchodzę i klękam. Obok kłów, które się nie spa-

liły, leży masywny pierścień, który kiedyś zdołał palec Valentine'a. W złocie wygrawerowany jest rodzinny herb. Ściskając go w dłoni, czuję dotyk historii.

Odwracam się na pięcie i wracam do domu, w którym czeka na mnie nowy Lord Valentine.

Gabinet jest duży, ale tak szczelnie wypełniony kanapami i krzesłami, że wydaje się zagracony. W olbrzymim kominku trzaska świeżo palone drewno. LAMPY naftowe są ze zdobionego mosiądzu, wszystkie ściany zajmują półki, które ciągną się dalej, niż sięga mój wzrok, całe wypełnione tomami książek. Nasza miejska biblioteka przy tej wygląda żałośnie.

Victor jest sam, siedzi na największej sofie przy niskiej ławie. Bije od niego moc, ale zupełnie inna niż groza, którą emanował jego ojciec. Podchodzę do niego i wyciągam pierścień.

- Jest chyba twój.

Widzę, jak ciąży mu waga tego symbolu.

- Nie mogłem się przemóc, żeby mu go zabrać - mówi.

- Nie zabrałeś. Zrobiło to słońce.

- Masz rację. - Bierze go i wkłada go sobie na palec wskazujący.

Obraca go w jedną stronę, potem w drugą, jakby jeszcze nie czuł się z nim wygodnie.

Siadam obok niego i chwytam go za rękę.

- Co teraz?

- Umiesz prowadzić samochód?

Śmieję się cicho, słysząc to nieoczekiwane pytanie.

- Prawdę mówiąc, tak. Jeff mnie nauczył. Powiedział, że nigdy nie wiadomo, kiedy może mi się to przydać.

- Jest mądry. Dam ci kluczyki mojego auta, żebyś wróciła do miasta. Ludzie już na pewno odkryli twoją nieobecność i martwią się. Nie chcemy, żeby Agencja wysłała tu Strażników Nocy.

- Dobrze. - Do naszej bajki zaczyna zakradać się rzeczywistość.

- Wujowie udali się na dzienny wypoczynek - mówi Faith, wchodząc z Richardem do gabinetu.

Mimo widocznego oddania Richarda ona sprawia wrażenie zupełnie wobec niego obojętnej. Może jest w niej zbyt dużo z Valentine'ów.

- Ochroniarz chciał, żebym dała ci to.

Podaje mi telefon komórkowy. Widzę, że nie jest nim zdegrustowana, jak inni.

Faith i Richard siadają naprzeciwko nas na krzesłach.

- Jakie są twoje plany, milordzie? - pyta Richard.

- Na początek skończyć z całym tym „milordem”.

- Owszem, to trochę archaiczne. - Richard się uśmiecha. - Ale miałem na myśli pilniejsze kwestie. Twojego brata. Naprawdę myślisz, że jest tak niebezpieczny, jak twierdził twój ojciec?

- Trudno to ocenić. Ojciec był mistrzem wyolbrzymiania.

- Kazałem już twoim i moim poddanym zebrać o nim informacje, ale wygląda na to, że jest jak duch. Nie mogę trafić na nikogo, kto cokolwiek by wiedział.

- Nie wiemy nawet, jak wygląda - dodaje Faith, a ja po raz pierwszy dostrzegam w niej kogoś, kto nie jest tak

obojętny, jak można by sądzić. Tegan miałaby chyba niezłą praktykę, zgłębiając psychikę Faith.

- Zastanawiałaś się nad tym, co sugerowałam? Że może nim być Kaptur? - pytam.

- Co to jest kaptur? - pyta Faith.

- Nie co, tylko kto. Ktoś, kto śledzi Dawn - wyjaśnia Victor. - Całkiem możliwe - zwraca się do mnie. - Ojciec domyślił się, że jesteś po mojej stronie, więc ta misja, do której zaangażował mojego brata, może dotyczyć też ciebie. Wyjaśniałoby to, dlaczego przeszukiwał twoje mieszkanie, próbując dowiedzieć się o tobie czegoś więcej.

- Nie jestem pewna, czy nam to w czymkolwiek pomaga - wtrąca Richard. - Nadal nie wiemy, jak wygląda.

- Nosi kaptur z węzem z tyłu - mówię.

- Który może w każdej chwili zdjąć.

- Fakt.

- Ale to jakiś punkt zaczepienia - dodaje Victor.

- Albo strata energii i polowanie na czarownice - zauważa Richard.

- To dlatego jesteś moim zastępcą. - Trąca mnie łokciem. - Jest bardzo dobry w strategicznym myśleniu.

- Z wyjątkiem kwestii uczuciowych, jak widać - mruczy Richard pod nosem.

- Hm, do zachodu słońca nie możemy wiele zrobić - mówi Victor. - Na razie chcę, żeby wiadomość o śmierci ojca się nie rozniosła. Mój brat pozostanie spokojny, dopóki będzie przekonany, że ojciec żyje. Może nawet przyjdzie się z nim spotkać. Dzięki temu zyskamy przewagę. Oczywiście, Clive musi się dowiedzieć.

Dawn, możesz

go poinformować. I chcę, żeby cały czas byli przy tobie Strażnicy Nocy.

- Potrzebuję kilku minut sam na sam z Dawn. - Spogląda na Richarda i Faith.

- Było mi bardzo miło. - Richard wstaje. Faith przewraca oczami i odwraca się do mnie.

- Rozumiem, że zwiększenie dostaw krwi nastąpiło dzięki twojej Inicjatywie Młodzieży i że będzie impreza. Sądząc po beplciowych ciuchach, jakie miałaś na sobie wczoraj... no, przyda ci się parę rzeczy z mojej szafy w ramach podziękowania. Są w torbie przy drzwiach wyjściowych. Zabierz je, jak będziesz wychodzić.

Nim zdążę odpowiedzieć, znika z gabinetu, a Richard, chichocząc, za nią.

- Lubi cię - mówi Victor.

- Żartujesz. - Wpatruję się w niego oszołomiona. - W ten sposób okazuje sympatię?

- Musisz zrozumieć, że nam nie jest łatwo okazywać uczucia. Są postrzegane jako przejaw bezbronności. - Odwraca się, przygląda mi się uważnie i bierze mnie za rękę. - To mi przypomina, co chciałem ci powiedzieć. Kiedy spałaś w nocy, dużo myślałem. Mój ojciec bez wątpienia widział w tobie moją słabość. Mam innych wrogów, którzy również tak będą cię postrzegać. Przy mnie zawsze będziesz w niebezpieczeństwie.

- Nieważne.

- Ale dla mnie ważne. - Przesuwa dłonią po moim policzku. - Należysz do Michaela, Dawn. Wampiry i ludzie. .. na dłuższą metę nigdy nam się nie udaje.



- Moglibyśmy spróbować.

- To właśnie jedna z rzeczy, które w tobie kocham. Kiedy w coś wierzysz, walczysz o to. Ale w tej walce nie chodzi tylko o nas dwoje. To bitwa, w której trzeba poświęcić się w imię wyższych celów. Jesteś dla mnie tak samo niebezpieczna jak moi wrogowie, bo zawsze, kiedy jesteś blisko, pragnienie przesłania mi wszystko inne. Nie możemy być ze sobą. Zbyt wielu ludzi od nas zależy. Przykro mi, ale to musi być pożegnanie.

Czuję, jak coś twardego uderza mnie w dłoń, i widzę, że włożył mi w nią kluczyki i zacisnął wokół nich palce.

- Jedź ostrożnie - mówi.

Wstaje i wychodzi z pokoju, zostawiając mnie samą. Wydaje mi się, że słyszę, jak pęka mi serce. Kolejny raz z powodu wampira.

Do cholery, o co tu chodzi? - ryczy Clive, kiedy wchodzę do jego gabinetu. - Ostatnie, co słyszałam, to że widziano cię, jak wyjeżdżasz z miasta w powozie Valentine'a. Mało nie posłałem za tobą całej jednostki Strażników Nocy!

- Może lepiej, żeby pan usiadł - mówię, obawiając się, że Clive padnie, jak mu powiem. Niestety, tym jeszcze bardziej go denerwuję.

- Dawn, chcę wiedzieć wszystko, i to natychmiast! Wszystko. Wszystkiego nie mogę mu powiedzieć. Nie mogę powiedzieć o osobistych sprawach, które dotyczą mnie i Victora. Ani o tym, jak bardzo mi na nim zależy, ani że się całowaliśmy, ani że naprawdę chciałabym, żebyśmy mogli być razem. Ale mogę mu opowiedzieć o politycznym wymiarze tego, co się wydarzyło.

- Dobrze. Valentine nie żyje. Tron przejął jego syn, Victor. Podkreślam wszystkie najważniejsze punkty, które dotyczą Valentine'a, od chwili, kiedy poznałam Victora

w tramwaju, do chwili, kiedy przyjechałam tu jego samochodem.

- Zmiana władcy - szepcze, kiedy milknę. - Nie mogę w to uwierzyć. Miałem nadzieję, że odejdę na emeryturę, nie będąc jej świadkiem. To są powikłane, skomplikowane sprawy.

- Ale nie ta.

- Przejawiasz bardzo dużo wiary w tego Victora.

- Bo na nią zasłużył.

Clive otwiera szufladę, wyjmując butelkę i nalewa do szklanki trochę przezroczystego płynu. Nie jest to raczej woda. Wychyla ją jednym dużym haustem.

- Na razie nie możemy tego ogłosić. Jest jeszcze kwestia drugiego syna Valentine'a. Wie pan coś o nim? Może Strażnicy Nocy coś panu donieśli?

- Znaleźli jeszcze parę wampirów z rozdartymi gardłami, ale poza tym i drobnymi uprowadzeniami wszystko jest jak zwykle. -

Przygląda mi się. - Zwiększę ci liczbę ochroniarzy. Może nie powinnaś iść na tę durną imprezę Inicjatywy Młodzieży.

- Nie, muszę iść. To był mój pomysł. Muszę wszystkiego dopilnować. Poza tym nie będę się ukrywać w mieszkaniu. To byłoby zwycięstwo starego Valentine'a z za grobu.

- Wiesz, myślałem, że jest świrem, kiedy zażądał, żebyś została wysłanniczką. Teraz zaczynam myśleć, że cię nie doceniałem.

Może wszyscy cię nie docenialiśmy.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

- To chyba najmiłsza rzecz, jaką mi pan powiedział.

- Dalej. Zmykaj stąd, zanim przyprawisz mnie o wrzody. a

Odwracam się do drzwi.

- Dawn?

Zatrzymuję się i patrzę przez ramię.

- Wiem, że nie chcesz tego usłyszeć - mówi Clive. -Ale twoi rodzice byliby z ciebie dumni.

Czuję, jak łzy napływają mi do oczu, bo po raz pierwszy wierzę, że zasłużyłam sobie na ich dumę. Robię, co mogę, żeby zmienić świat na taki, w którym wampiry

1 ludzie są naprawdę równi. Ale poza tym po raz pierwszy chcę, żeby byli ze mnie dumni. Zawsze żałowałam, że dali tyle miastu, czułam, że moja matka kochała mnie mniej, bo tyle poświęciła, żeby być z ojcem. Trochę lepiej rozumiem teraz ich poświęcenie pracy i sobie nawzajem. Chociaż wątpię, żeby byli zadowoleni z uczuć, jakie żywię wobec wampira. Ale w końcu rozumiem, dlaczego moja matka służyła u boku ojca. Bo ja poświęciłabym teraz wszystko, żeby być z Victorem.

Wyglądasz pięknie! - komentuje Rachel, siadając na kanapie w naszym salonie i patrząc, jak wiruję. Dziś po południu wypisali ją ze szpitala.

Słowo „pięknie” nie jest tym, jakie zazwyczaj kojarzyłam ze sobą. Ale Rachel, odkąd otarła się o śmierć, wszystko wydaje się piękne. Więc nie przykładam wielkiej wagi do jej słów.

Obracam się jeszcze raz, żeby mogła lepiej obejrzeć mój nowy strój. W każdym razie nowy dla mnie. Może mieć ze sto lat - czerwona jedwabna suknia, która mnie opływa i szeleści mi wokół łydek, kiedy się poruszam.

Mijają dwa dni, odkąd Faith mi ją podarowała. Dwa dni myślenia o tej imprezie. Dwie noce myślenia o Victorze. Jak dotąd nie rozniosła się informacja o tym, że przejął tron. Clive zgodził się, żeby utrzymać wiadomość w tajemnicy, dopóki Victor nie zdobędzie wśród wampirów pewnej pozycji.

- Szkoda, że nie czujesz się na tyle dobrze, żeby ze mną pójść - mówię.

- Prawdę mówiąc, nie zaliczam się już do młodzieży. - Pocięra czoło. - I cały czas boli mnie głowa. Nie wiem, dlaczego mi nie przechodzi.

- Co będziesz robić, jak ja będę się dobrze bawić?

- Wpadnie Jeff, porozmawiamy.

- Oj, tak, na pewno właśnie to będziecie robić. Rozmawiać. - Unoszę brew, spoglądając na nią.

- Naprawdę.

- Nieważne. - Uśmiecham się.

Rozlega się pukanie do drzwi. Otwieram je i uśmiecham się do Michaela. Wydało mi się nie w porządku, żeby odwołać spotkanie tak krótko przed imprezą. Ale chociaż wcale mnie to nie cieszy, po dzisiejszym wieczorze wszystko mu powiem. Nawet jeżeli Victor mówił poważnie, że nie chce, żebyśmy byli razem, uważam, że to nie fair wobec Michaela, że bym z nim była, choć mam uczucia do kogoś innego. Ale dziś wieczorem będę się starać, żeby randka się udała.

- Cześć, wchodź.

- Wyglądasz świetnie - chwali.

- Dzięki.

- Co tu robią ci wszyscy strażnicy?

- Rachel jest już w domu, a dzisiaj impreza, więc Agencja doszła do wniosku, że powinniśmy mieć dodatkową ochronę.

- Przecież będziesz ze mną.

- Wiem. Powiedziałam im to. - Widzę, że na szali jest jego duma. Ale martwi mnie trochę, że potrzebuje tylu zapewnień. I że tak ślepo wierzy, że jest partnerem dla

wszystkich nocnych potworów. Nigdy nie widział walki wampirów, jak ta pomiędzy Victorem a jego ojcem. Nie ma pojęcia, do czego naprawdę są zdolne. - Ale znasz Cli-ve'a. Chce po prostu zapewnić dodatkowe środki ostrożności.

- Rozumiem.

Nie jestem pewna, czy go przekonałam. Podchodzi do kanapy.

- Cześć, Rachel. Jak się czujesz?

- Nie tak źle, jak wcześniej. Lepiej już idźcie, zanim zajdzie słońce. Po zachodzie w Daylight Grill zamkną drzwi. Nie chcemy ponosić odpowiedzialności za dzieciaki włóczące się po zmierzchu po ulicach.

- Na pewno sobie poradzisz? - pytam.

- Na pewno.

- Dobrze, więc do zobaczenia.

Wychodzimy z Michaeliem na korytarz i natychmiast otacza nas czterech Strażników Nocy w kapturach.

- Czterech? - szepcze Michael. - Na pewno nie muszę o niczym wiedzieć?

Postanawiam trochę mu powiedzieć. Musi zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa, być czujnym.

- Przypuszcza się, że Kaptur jest jednym z synów Va-lentine'a.

- Cholera. Wampir ze Starego Rodu w mieście?

- Nie mamy pewności, więc zatrzymaj to dla siebie. Nie chcemy wywoływać paniki. Zwłaszcza dziś wieczorem.

- Dobrze.

Jednak kiedy wchodzimy do windy, widzę, że miałby ochotę dopaść wampira ze Starego Rodu.

Na ulicach jest cicho, jakby ciężar, który dźwiga miasto, zagłuszał każdy dźwięk. Wczesny wieczór wydaje się gęsty i nieskończony. Wiatr podrywa się i ustaje, ale niesie ze sobą tylko ciszę.

- Coś dziwnego wisi w powietrzu - mówi cicho Michael.

- Tak, ja też to czuję.

Wsiadamy do limuzyny. Dziś podróżujemy z klasą. Kiedy Michael przesuwa dłonią po siedzeniach, zastanawiam się, czy dać mu przejechać się mustangiem, zanim oddam go Victorowi. Byłby zachwycony. Oczywiście, musiałabym mu wyjaśnić, skąd go mam, ale i tak postanowiłam mu o wszystkim powiedzieć. Zasługuje na to, żeby wiedzieć.

Obejmuje mnie ramieniem i robimy, co możemy, żeby nie zwracać uwagi na siedzących naprzeciwko dwóch ochroniarzy. Staramy się udawać, że wszystko jest jak zwykle. Chociaż przez kilka godzin.

Kiedy wchodzimy do Daylight Grill, okazuje się, że jest pełne, większego tłoku nigdy tu nie widziałam. Barman z szerokim uśmiechem na twarzy podaje lemoniadę za lemoniadą. Na widok dzieciaków i zabawy uświadamiam sobie, że może to początek czegoś większego. Być może kluczem do regularnych dostaw krwi jest naprawdę młodzież? W końcu jesteśmy przyszłością.

- Dawn, to niesamowite! - krzyczy Tegan, podchodząc do nas z Sinem.



- Ekstra kapela. - Michael przyciąga mnie do siebie. To ten sam zespół, który grał na innej imprezie, tej pod murem, wieki temu. Tyle że już nie marzę o tym, żeby być wokalistką. Podoba mi się rola wysłanniczki.

- Powinnaś powiedzieć kilka słów - mówi Sin.

- Tak myślisz?

- Zdecydowanie - popiera go Michael i postanawia zaprowadzić mnie pod scenę.

Zespół przestaje grać, a wokalistka zaprasza mnie na podium.

Podaje mi mikrofon.

- Masz supertatuaż - mówi.

- Dzięki. - Śmieję się lekko. - Ty też. Wychodzę do przodu. Przez okno wpadają ostatnie promienie słońca. Odchrząkuję.

- Cześć. Jestem Dawn Montgomery. Wysłanniczka Denver. Wasza wysłanniczka. - Spodziewam się syków i gwizdów, ale otrzymuję brawa i okrzyki aprobaty. - Chcę wam podziękować za to, że oddaliście krew - mówię, kiedy robi się ciszej. - Pomagacie zapewnić bezpieczeństwo mieszkańcom. W zamian za to chcemy, żebyście byli bezpieczni. Mamy tu dzisiaj dwunastu Strażników Nocy. A teraz, po zachodzie słońca, zamykamy drzwi. - Rachel zaplanowała tę chwilę. Daję znać Strażnikowi Nocy, a on zabezpiecza główne drzwi łańcuchem i kłódką.

Słońce zachodzi, zapalają się latarnie na Day Street. Inny Strażnik Nocy opuszcza na okna czarne rolety, żeby zrobiło się bardziej imprezowo. Efekt jest świetny, atmosfera staje się trochę bardziej swobodna, nastaje ciemność,

która zapewnia schronienie parom szukającym prywatności.  
Wszyscy biją brawo.

- A teraz bawmy się do rana! - krzyczę, oddaję mikrofon piosenkarce i schodzę ze sceny.

Czeka na mnie Michael. Jego uśmiech wywołuje we mnie poczucie winy.

- To było super - mówi.

- Dzięki.

Sin trąca ramię Michaela.

- Chodźmy po coś do picia. Lemoniada dla wszystkich?

- Specjalna lemoniada. - Tegan uśmiecha się do niego. Miało nie być żadnego alkoholu, ale barman na pewno wykorzystuje okazję, żeby dorobić sobie na łapówkach, i specjalna lemoniada leje się strumieniami. Jakby tego było mało, ludzie przynieśli butelki ze sobą i bez skrupowania dolewają sobie do napojów.

- Nie ma sprawy - rzuca Sin.

Michael ściska mnie za rękę i idzie do baru z Sinem.

- Tak się cieszę, że między tobą i Michaeliem się poukładało! - wrzeszczy mi Tegan do ucha.

Mówię jej prawdę, chociaż nie w pełnej wersji. Na razie.

Jest świetnym chłopakiem.

- Jednak chciałabym, żeby był tu Victor. - Tegan puszcza do mnie oko. - Chyba patroluje ulice.

- Tak. - Ale to wcale nieprawda. Jest w posiadłości.

- A ta suka co sobie wyobraża? - pyta nagle Tegan, a ja słyszę w jej głosie złość.

Widzę Lilę, wciśniętą między Michaela i bar, z dłonią przyciśniętą do jego piersi, jak wtedy kiedy zobaczyłam ich przy jego szafce.

- Mówię serio, co ona tu robi? - pyta Tegan. - Dobrze wiesz, że nie oddała krwi.

- Jej ojciec pewnie dał komuś w łapę za bilet.

- Wywal ją stąd.

- Nie mogę. Drzwi są zamknięte i wszyscy mają tu zostać do wschodu słońca. Nie chcemy dawać wampirom okazji, żeby się tu zakradły.

- Ale to niesprawiedliwe. - Popycha mnie. - Lepiej idź od razu jej uświadomić, z kim dzisiaj będzie tańczył Michael.

Tyle że ja myślę, że powinnam zostawić ich w spokoju. Skoro ją lubi, może ona będzie przy nim, kiedy mnie już straci. Zranienie Michaela to najtrudniejsza rzecz, jaką w życiu miałam zrobić. Nie chcę tego, ale wiem, że byłabym wobec niego nieuczciwa, gdybym postąpiła inaczej.

- Ej, co jest? - pyta Tegan.

- Cały czas mam w głowie sprawę Agencji.

- Dzisiaj nawet o nich nie myśl.

- Będzie trudno, bo przecież cała ta impreza jest z powodu Agencji.

- Musisz potańczyć. Idź po swojego faceta.

- Dobrze, racja. - Przeciskam się przez tłum, ale w połowie drogi do baru ktoś na mnie wpada i wylewa mi na suknię lemoniadę. Zawracam więc i idę do łazienki. Korytarz znajduje się z tyłu, z daleka od okien, a żarówki od dawna nie były wymieniane. Pali się ich tak mało, że

prawie nic nie widać. Hałasy - muzyka, śmiech, dudnienie stóp - są tu stłumione, ale wyczuwalna jest atmosfera podniecenia. Szkoda, że nie ma tu Rachel, że nie może zobaczyć, jak świetnie wszystko się udało.

Łazienka jest jasna i czysta. Jestem w niej sama. Wyrrywam papierowy ręcznik i ścieram lemoniadę. Sukienka jest zniszczona. Tak samo będzie wyglądał mój związek z Michaeliem, kiedy mu o wszystkim opowiem. Chciałabym, żebyśmy pozostali przyjaciółmi, ale znając jego dumę, pewnie nie będzie to możliwe. Smutno mi, chociaż dzisiaj nie powinnam się smucić.

Uspokajam się i postanawiam nie zepsuć Michaelowi wieczoru. To będzie mój prezent pożegnalny. Wychodzę na korytarz.

Kiedy drzwi za mną się zamykają, robi się ciemno, a do mnie dociera, że coś się stało ze światłem na korytarzu. Żarówki, które wcześniej ledwie świeciły, teraz zupełnie zgasły. Jedyne światło dochodzi z końca korytarza, gdzie w najlepsze trwa impreza.

Ruszam w tamtą stronę, ale powstrzymuje mnie czyjaś ręka.

- Dawn.

Głos jest niski, właściwie złowieszczy, ale rozpoznaję go i przykładam sobie dłoń do piersi, żeby uspokoić łomoczące serce.

- Boże, Sin, nie widziałam, że tu jesteś. Wystraszyłeś mnie.

- Tak? Przepraszam.

Jego głos ma dziwną, skrzeczącą barwę. Kiedy mówi, wyobrażam sobie dym idący mu z ust. Mam wrażenie,

że od urodzenia umiera. Jest w nim coś przerażającego, czego wcześniej nie było, jakby ciemność zamieniła go w kogoś innego. Opiera dłoń o ścianę przede mną i wspiera się na niej. W mroku widzę jego uśmiech.

- Dawn Montgomery - mówi. - Wysłanniczka, którą nigdy nie chciałaś być. Która kroczy po świętych śladach rodziców.

Ze względu na Tegan i Michaela starałam się być dla Sina miła, ale teraz naprawdę mnie wkurza. Zgadza się, nigdy nie chciałam być wysłanniczką, ale stałam się nią, przejmując obowiązki, a poza tym nie podoba mi się, że szydzi z moich rodziców.

- Zamknij się, Sin. Nic nie wiesz o mojej rodzinie. -Usiłuję go odepchnąć, ale on ani drgnie.

- Wiem, że twój biedny brat zginął, kiedy ty chowałaś się w szafie. Jakie były ostatnie słowa, które do ciebie powiedział? Nie bój się ciemności?

Nie mogę złapać tchu. Niemożliwe, żeby to wiedział, nigdy nikomu nie opowiadałam o ostatnich słowach Brady'ego. Ani Rachel, ani Michaelowi, ani Tegan. Były wypalone tylko w mojej pamięci.

- Ale te słowa na pewno były niewielką pociechą. Nadal się boisz ciemności? - pyta.

Wydaje mi się, że pierś mam z ołowiu. Dlaczego on to wszystko mówi? Gdzie się tego dowiedział? Chcę mu powiedzieć, żeby poszedł do diabła.

- Skąd... skąd możesz... - Tylko tyle udaje mi się z siebie wydobyć.

- Wiedzieć? Biedna Dawn. Cały czas jesteś małą dziewczynką uwięzioną w szafie.
- W co ty ze mną grasz? - Słyszę, jak krew płynie w twoich żyłach. Szybko. Gwałtownie. Kusząco. Usiłuję go wyminąć, ale przesuwając rękę w dół, a drugą unosi i więzi mnie z nienaturalną siłą.
- Wypuść mnie - mówię stanowczym głosem, mimo nagłego przypływu strachu.
- Jeszcze ci nie podziękowałem.
- Za co?
- Za śmierć lorda Valentine'a. Skąd on o tym wie? To tajemnica.
- O czym ty gadasz?
- Szkoda, że sam go nie zabiłem. Strasznie go nienawidziłem.
- Przecież go nie znałeś. - Śmieję się. - Masz w ogóle pojęcie, kim jest Krwawy Valentine?
- Uśmiecha się. Jest w tym coś bardzo, bardzo dziwnego.
- A ty masz pojęcie, kim jestem ja? Atmosfera robi się coraz gęstsza.
- Odkąd się urodziłem jestem znany jako Sin. Mój ojciec nie był zbyt miły, wybierając mi imię. Widzisz, byłem bękartem. Pomyłką. Wypadkiem przy pracy, jak powiedział. Codziennie i każdej nocy wbijał mi to do głowy. Twierdził, że jestem wcielonym złem. W jego oczach byłem potworem. Ironia, kiedy pomyśleć, że największym potworem na świecie jest, to znaczy, przepraszam, był - on.
- Twój ojciec?
- Murdoch Valentine.
- Serce obija mi się o żebra.
- Nie, niemożliwe, żeby był...
- Ale jest. A raczej: był.

Pochyla głowę nad moją szyją i słyszę, że oddycha głęboko, wyobrażam sobie, jak drgają mu nozdrza, które wchłaniają mój zapach. Kiedy się prostuje, w ustach ma dwa okropne kły.

- To niemożliwe - mówię. - Ty... widziałam, jak chodzisz w słońcu.

- Widziałas. Jestem pierwszym wampirem w historii, który urodził się jako chodzący za dnia. Słońce nie ma na mnie wpływu. Wyobraź sobie, co mógłbym zrobić z posłuszną mi armią chodzących za dnia. Wielbiącą mnie. Mogę rządzić nie tylko ludźmi, ale i wampirami.

- Ty jesteś tym synem, którego wezwał Valentine? -Jego sekretna broń. Zamknięta tu z mnóstwem nastolatków. I ze mną.

- Tak. Myślał, że wypełnię jego wolę, której nie wypełnił Victor. Chciał przejąć Denver od środka. Powoli przekonywałem do naszej sprawy Strażników Nocy, zamieniając ich w najwyższe istoty. Widzisz, ten, kto otrzymuje moją krew, otrzymuje też dar. Są wampirami, ale nie są skazani na życie w nocy i strach przed słońcem.

Walczę z jego uściskiem, ale równie dobrze mogłabym się szarpać we wnykach.

- Ten wieczór jest idealny - ciągnie nonszalancko, jakbyśmy rozmawiali o muzyce. - Ta durna imprezka jest dla mnie najlepszą rzeczą, jaka mogła się przydarzyć. Całe mnóstwo idiotycznych, łatwowiernych nastolatków. Tego

właśnie mi trzeba, żebym zrobił następny krok. Victor zajął się naszym ojcem. A niedługo, dzięki mojemu wyjątkowemu planowi, ja uporam się z Victorem.

- Wyjątkowemu planowi? - udaje mi się z siebie wydusić. - O czym ty mówisz?

- Nazywasz go Kapturem.

Wampir, który pojawił się, kiedy świeciło słońce. Zakładałam, że chował się w cieniu, w ciemnych chmurach. Ale nie musiał.

Kaptur, podobnie jak Sin, nie boi się słońca.

O Boże. A Victor o tym nie wie. Nie wie, że Kaptur śledzi jego. Nie wie, że nawet za dnia nie będzie bezpieczny. Nie mam jak go ostrzec.

- Jeżeli moi Strażnicy Nocy, którzy mogą chodzić w słońcu, są moimi dziećmi, to Kaptur jest... moim ulubionym stworzeniem. Jest doskonałością.

Chcę krzyknąć, ale on chyba to wyczuł, bo unosi rękę i chwytam mnie za brodę i szyję. Nie powstrzymałby mnie przed krzykiem, ale przesłanie jest jasne - krzyknij, a cię zabiję.

Mogę jednak walczyć słowami.

- Potrzebny ci świadek ze Starego Rodu, żebyś zgodnie z prawem mógł się ubiegać o tron Valentine ow.

- Naprawdę myślisz, że o to mi chodzi? - Wybucham śmiechem. - O coś tak żalosnego i błahego?

- Więc po co tu przyjechałeś? Żeby pomóc ojcu, chociaż on skazał cię na wygnanie?

- Każdy spór w rodzinie był mi bardzo na rękę. Słyszałem, że podczas walki ojciec poważnie ranił Victora.



A Victor, szlachetny idiota, nie napił się twojej krwi, żeby odzyskać siły. - Wodzi palcem po mojej nieokaleczonej szyi. -  
Więc Victor jest osłabiony. A ja chcę, żeby był martwy.

- Miał mnóstwo czasu, żeby dojść do siebie. Będzie groźnym przeciwnikiem.
- Chyba ukrył przed tobą, jak poważnie był ranny.
- Nie pozwolę, żebyś go skrzywdził.
- Co za poświęcenie. Nie mogę się doczekać, kiedy będzie skierowane w moją stronę.
- Nigdy - odpowiadam. - Nigdy nie będziesz dla mnie nic znaczył.
- Bardzo się mylisz, Dawn. Będę wszystkim.
- Prędzej umrę.
- Jeszcze nie widzisz pełnego obrazu. - Sin jest zupełnie spokojny.
- Nie rozumiesz, jak bardzo pasujesz do układanki.

Pochyliła się i wacha moją szyję. Krzywię się z odrazą.

- Śmierć Victora jest mi na rękę, ale nie twoja. Jesteś bardzo wyjątkowa. W swoim czasie zrozumiesz, jak bardzo.
- W takim razie, dlaczego nie zabijesz Victora sam? Musisz wysłać swojego sługusa?
- Ja jestem dziś potrzebny gdzie indziej. Ale kiedy wszystko zostanie załatwione, przed świtem będzie martwy.

Opuszcza dłonie i ostrożnie kładzie mi je na ramionach, jak przyjaciel, który podtrzymuje kogoś w żałobie nad grobem ukochanego człowieka.

- Biedna Dawn. Myślisz, że wszystko zostało ci odebrane. Ale masz do stracenia o wiele więcej. - Szybkim ruchem przyciska mnie do ściany i spodziewam się, że za chwilę poczuję jego kły, zanurzające się w mojej szyi mimo wcześniejszych słów. Ale on pochyła się nade mną.

- A tak przy okazji, twój brat smakował wybornie.

- C... c... co...

Wypuszcza mnie i upadam na podłogę. Mam wrażenie, że mogłabym polecieć dalej, przez piwnice i lochy, dalej i dalej, aż uderzyłabym w samą ziemię i przeleciała dalej. Znikłabym na zawsze.

Jakimś cudem dociera do mnie świadomość, że się oddala. Znów ogarnia mnie ciemność korytarza, mam wrażenie, że trwa to całą wieczność. Ostatnie słowa mojego brata pobrzmiwają mi w głowie bez przerwy, jak mantra, która mnie ochroni. Ale teraz są splamione, zakłócone obrazem Sina pijącego jego krew.

Patrzyłam na istotę, która zabiła Bradyego. Nigdy nie czułam się bardziej bezsilna.

- Dawn!

Wracam do rzeczywistego świata, przytula mnie Michael.

- Dawn, nic ci nie jest? - pyta. Kiwam głową.

- Odezwij się do mnie. Powiedz coś - domaga się Michael.

- Nie bój się ciemności...

- Co?

Kręcę gwałtownie głową i czuję, że przerażenie opada. Zaczynam rozpoznawać otoczenie. Chwytam Michaela za koszulę.

- Sin. Jest wampirem.

- Uderzyłaś się w głowę, stało ci się coś? Połowę treningów mamy w dzień...

- Jest chodzącym za dnia.

- Kim?

- Może chodzić w słońcu!

- Dawn, wiem, że nie przepadasz za Sinem, ale tym razem chyba trochę przesadziłaś.

- Nie. - Z trudem podnoszę się z ziemi. - Musimy go powstrzymać. Musimy wezwać pomoc. - Wyciągam komórkę. Nie ma sygnału.

- A ty masz sygnał? - pytam zdenerwowana. Sprawdza telefon.

- Nie. Dziwne. Na ogół tak blisko wieży nie ma żadnego problemu.

Chyba że Sin maczał w tym palce.

Chwytam Michaela za rękę i ciągnę go w stronę sali. Muzyka nagle milknie. Słyszę parę toastów. A potem Sina.

- Dziękuję, dziękuję.

- Wszedł na scenę - mówię, przyspieszając kroku.

- Dawn, przesadzasz.

- Michael, uwierz mi, proszę. - Staję i patrzę mu w twarz.

Wzrusza ramionami i przestaje protestować, a ja ciągnę go do przodu. Kiedy w końcu dostajemy się do

główniej sali, spoglądam na scenę. Miałam rację. Sin stoi wyżej niż cała reszta.

Nie jest już taki sam, a ja czuję się jak idiotka, że dałam się nabrać. Jego zachowanie się zmieniło, teraz widać w nim kilkusetletniego wampira. Pozbył się wizerunku nastolatka, a przyjął pozę kogoś starszego, mądrzejszego, jednak kły nadal ma schowane i nikt z publiczności nie wie, że patrzy na wampira ze Starego Rodu. Rozglądam się i patrzę na Strażników stojących przy drzwiach na skraju sali. Pomogą czy zostali przekupieni? A może są strażnikami Sina?

- Mógłbym poprosić na scenę Tegan? - pyta Sin, a ona szybko wskakuje na górę i staje obok niego. Bije od niej blask podniecenia, a mnie serce uderza tysiąc razy na minutę.

- Musimy ją stamtąd zabrać - mówię.

- Dawn, to chore... - zaczyna Michael, a ja wiem, że mi nie wierzy. Dlaczego miałby wierzyć? Charyzma Sina jest potężną bronią.

- Na pewno wszyscy zdajecie sobie sprawę z tego, że krew, którą oddaliście, została już rozdzielona pomiędzy wampiry poza murami i spożyta - mówi Sin.

Wśród publiczności rozlegają się syki i gwizdy.

- Wiem, wiem - ciągnie Sin. - To przegrana bitwa, prawda? Dajecie, dajecie i dajecie. I będziecie musieli dawać w nieskończoność.

W sali zapada cisza. Głos Sina zrobił się poważny, a ludzie uważnie obserwują jego niespodziewany, dziwny występ.

Odwracam się do Michaela i widzę, że nawet on jest oczarowany.

- Teraz jesteście młodzi. Może zbyt młodzi, żeby rozumieć, co oznacza dawanie krwi przez całe życie. Ale jest na to sposób. Sposób, który chcę zaproponować każdemu w tej sali.

Pstryka palcami. W stronę sceny rusza dwóch Strażników Nocy, bez trudu rozdzielając tłum. Moje najgorsze obawy się potwierdzają. Władzę nad nimi ma Sin.

Zaczynam torować sobie drogę w tłumie. Ludzie nie chcą się ruszyć, są jak w transie, kiedy Sin przemawia. Ale staram się precyzyjnie. Może jak uda mi się dojść pod scenę, Sin się rozkojarzy. Może... może uda mi się go zniszczyć.

- Ci panowie przyjęli moją propozycję parę miesięcy temu. Byli mądrzy, zrozumieli, że życie polegające na dawaniu wcale nie jest życiem. Era altruizmu przeminęła. My żyjemy w erze chciwości. Nieurodzajny piach, który pokrywa ten świat, stworzony przez bomby zrzucone przez wasz mały gatunek, nie może już dłużej oprzeć się pięknym kwiatom.

Strażnicy Nocy są na scenie. Zdejmują czarne maski i się uśmiechają. Ich kły, ostre jak brzytwa, lśnią w świetle, nie pozostawiając złudzeń, kim są. Jestem bardzo blisko. Spoglądam na Tegan i widzę w jej oczach czyste przerażenie.

Publiczność wstrzymuje oddech. Przez chwilę wydaje się, że może wymknąć się spod kontroli, ale głos Sina wszystkich uspokaja.

- Ci, którzy mnie znają, widzieli, jak chodziłem w słońcu. Widzieli, jak kąpałem się w jego promieniach, zanurzałem w jego pięknie. Ci mężczyźni, te wampiry, ci

nizsi, cieszą się tym samym. Mogę dać wam nieśmiertelność wampira, nie każąc wam zapomnieć o słońcu. Tylko ja mogę to zrobić.

Otwiera usta, jedną ręką chwyta Tegan i wbija swoje ogromne kły w jej szyję. Wiem, że jej piskliwy, przeraźliwy krzyk będzie mnie prześladował do końca życia.

Usiłuję wyrwać się do przodu, ale spanikowany tłum niesie mnie coraz dalej od sceny, w którą wpatruję się z przerażeniem.

Sin pije krew Tegan, a ja nic nie mogę zrobić. Wysuwa kły, a z otwartych ran na jej szyi wypływa strużka krwi i śliny.

Wypuszcza ją, a ona upada na ziemię jak szmaciana lalka.

Ściskając nóż, nacina nadgarstek i unosi go, ukazując wypływającą krew. To propozycja dla wszystkich zebranych, nektar nowego boga.

- Kto następny? - pyta.

Wtedy rozpętuje się piekło.

W sali pozostali Strażnicy Nocy zdejmują maski i odsłaniają kły. Kiedy atakują, krzyki się wzmagają. Boję się, że tłum mnie strąca. Najbardziej boję się tego, że zostanę zdeptana; wiem, że jak się przewrócę, ludzie przebiegną po mnie i nie uda mi się już wstać do walki z potworem.

Wbijają się we mnie ramiona i łokcie i mało brakuje, żebym straciła równowagę, ale znajoma dłoń przytrzymuje mnie od tyłu. - Chodź! - krzyczy Michael.

Nie zwracając najmniejszej uwagi na ludzi wokół nas, odpycha ich brutalnie i trzymając mnie mocno, toruje nam drogę.

Ludzie przeciskają się do drzwi, może w nadziei, że wspólnymi siłami pokonają zawiasy i uda im się przejść. Ale drzwi zabezpiecza nie tylko kłódka - są mocne, zrobione tak, żeby wytrzymały atak wampirów z zewnątrz. Nikt nie przewidział, że mogą się znaleźć w środku.

Wśród tłumu niesie się diabelski śmiech Sina, głośniejszy niż dudnienie stóp przerażonych ludzi. Bijące od niego zło przenika mnie do szpiku kości.

- Nie mogę zostawić Tegan! - krzyczę. Oglądam się za siebie i widzę jej drobne ciało, nadal leżące na scenie. Nie wiem, czy Sin podał jej już swoją krew.

- Dla niej jest już stanowczo za późno, Dawn! Michael ciągnie mnie ze sobą, i chociaż moje serce się sprzeciwia, umysł wie, że ma rację. Musimy się stąd wydostać; musimy wezwać pomoc.

Przemieszczamy się pospiesznie na skraju tłumu. Michael trzyma mnie mocno za rękę. W końcu docieramy do odległego okna. Wszyscy pchają się do przodu, a my przedostaliśmy się na tył sali. Michael zdiera z okna prowizoryczną zasłonę. Szybko chwytą krzesło i rzuca nim, wybijając szybę, której kawałki wylatują na chodnik. Wyskakujemy przez otwór.

Pędzimy ulicą. Słyszę wrzaski. Krzyki. Syreny. Gdzieś tam nawet strzały. Plan Sina najwyraźniej nie ograniczał się do Daylight. Panika wybuchła pewnie tutaj, ale rozprzestrzenia się jak wirus. Znowu sprawdzam telefon komórkowy, rozpaczliwie pragnąc usłyszeć sygnał. Muszę zawiadomić Agencję, Jeffa, Victora...

Nagle Michael się zatrzymuje, a ja na niego wpadam.

- Czemu... - Ale zaraz wyraźnie widzę, co przykuło jego uwagę. Na środku opustoszałej ulicy stoi Kaptur.

- Nie walcz z nim - błagam. - Trzyma z Sinem.



- Wybrałeś sobie kiepską noc na zaczepki! - krzyczy Michael, wyciągając zza paska kołek.

- Michael, błagam!

Ale nie zwraca uwagi na moje słowa, robi swoje. Kaptur nawet nie patrzy na zbliżającego się napastnika. Wzrok ma utkwiony we mnie. Chociaż jego twarz cały czas osłania cień, wyczuwam, że się we mnie wpatruje. Myślę, że to będzie jego klęska. Obsesja na moim punkcie czyni go ślepym na wszystko inne. Zwłaszcza na Michaela.

Ale kiedy Michael rzuca się na niego z kołkiem, Kaptur chwytą go za rękę, a ja słyszę odgłos łamanego nadgarstka, a po nim wrzask. Kaptur zadaje Michaelowi silny cios w pierś, łamią się kolejne kości, pozbawiając Michaela tchu. Uderzeniem na odlew powala Michaela na ziemię jak dziecko, które wychyliło się przed szereg. A potem podchodzi do mnie. Idzie powoli sztywnym krokiem, jakby miał nieskończenie dużo czasu.

Nie mogę zostawić Michaela. Ale nie mogę też do niego podejść, a nawet gdybym mogła, nie potrafiłabym go podnieść i odciągnąć. Wyciągam kołek z buta. Kaptur nie spuszcza ze mnie wzroku. Przygotowując się do obrony, kątem oka widzę, że Michael się podnosi. Nawet ranny jest szybki i mocny. Zdrową ręką opuszcza kołek, a metal wbija się Kapturowi w plecy. Kaptur jęczy z bólu. Cofa łokieć i trafia Michaela prosto w nos. Ten chwieje się i upada na kolana.

- Uciekaj! - krzyczy do mnie, kiedy Kaptur skupia się na nim.

Kręcę tylko głową, bo głos uwiązał mi w gardle.

- Uciekaj!-powtarza.

- Nie... nie mogę. - Zbyt wielu ludzi zaryzykowało wszystko, żeby mnie chronić.

Michael rzuca się na przeciwnika, próbuje go zdekoncentrować, chociaż na pewno wie, że nie ma szans. Nie ma nadziei na wygraną, to niemożliwe. Liczy tylko na to, że zyska dla mnie na czasie.

- Dawn, uciekaj!

Jego rozpaczliwy rozkaz wyrywa mnie z transu i ruszam tyłek.

Nie po to, żeby uciec, ale żeby odciągnąć go od Michaela. On chce mnie. Wiem, że pójdzie za mną. I nie myślę się. Skręcam w pierwszą uliczkę, którą widzę. Wiem, że nie mam szans dorównać mu prędkością, ale mam nadzieję, że zgubię go w labiryncie murów.

Jednak on cały czas jest. Za każdym zakrętem, w każdym korytarzu, którym biegnę. Nie mogę przed nim uciec jak przed koszmarem. Jest przede mną, po chwili za mną, aż w końcu wydaje mi się, że go gubię, lecz kątem oka dostrzegam zamazany obraz jego postaci. Cały czas wpatruje się we mnie spod kaptura. Brakuje mi tchu. Jestem spocona. Ślizgam się na jakimś śmieciu. Wpadam na ściany i walę w drzwi, próbując je otworzyć, ale za każdym razem okazują się zamknięte.

Prześladowca cierpliwie idzie za mną. Wie, że czas działa na jego korzyść. Labirynt jest zbyt wielki, zbyt kręty.

Ślepa uliczka zaskakuje mnie, nie mam dokąd uciekać. Opieram się plecami o ścianę. Schylam głowę, na-

bierając powietrza. Kiedy unoszę wzrok, jest tu, czeka na mnie.

- Mamy niedokończony interes, Dawn. - Jego głos jest jak podrapana płyta z dzieciństwa - znajomy, ale zniszczony.

Bez względu na to, jak szybko i w którą stronę bym biegła, zawsze dotarłabym tutaj. Czuję się głupio, bo on o tym wiedział.

- Nie poddam się łatwo - mówię, ściskając kołek.

- Nie walcz ze mną.

Idzie w moją stronę z uniesionymi rękami, dając znak, że nie chce zrobić mi krzywdy. Tak, akurat. Udaję, że się rozluźniam, przy każdym jego kroku biorę głęboki oddech.

Wdech. Wydech. Wdech. Tak blisko. Prawie już.

Za dużo przeszłam, żeby skończyć tutaj.

Kiedy znajduje się w zasięgu ręki, uderzam kołkiem. Ale on to widzi. Przerzuca mnie sobie przez ramię i powala na ziemię.

Znów brakuje mi tchu, który ledwie zdążyłam odzyskać.

- Nie chciałem, żeby tak się stało - mówi nade mną. - Nie tak wyobrażałem sobie nasze spotkanie.

Spotkanie?

Wyciąga z kieszeni strzykawkę i otwiera ją. Unoszę rękę, żeby się bronić, ale on po prostu ją chwyta i wykręca mi nadgarstek. Wbija mi igłę w biceps i wciska tłok.

Kiedy zalewa mnie ciemność, coś dostrzegam. Kwiat. Na grzbiecie jego dłoni. Pył węglowy głęboko pod skórą.

Nietknięty przez lata, które upłynęły. Mały kwiat, w który wpatrywałam się, kiedy siedział obok mnie, kolorując obrazki w mojej malowance. Wymawiam jego imię i pochłania mnie czarna dziura. - Brady...

Jeżeli w mieście nadal panuje chaos, to zamarł. Ale jesteśmy tak daleko od śródmieścia, że trudno stwierdzić, co się właściwie wydarzyło, odkąd Sin w Daylight Grill wyjawiał prawdę o sobie. Z osiemnastego piętra nie mamy nawet widoku na biurowiec Agencji - jesteśmy po drugiej stronie miasta. To miejsce nazywało się Greene Tower. Dla nas było domem.

Siedzę oparta o ścianę salonu, w miejscu, gdzie z rodziną oglądałam telewizję, tam gdzie teraz palę ich zdjęcia. Przez gigantyczny otwór po prawej stronie, w którym parę wieczorów temu siedziałam z Victorem, mam doskonały widok na ciemne niebo. Księżyc tak jasno świeci, a na niebie jest tyle gwiazd, że nawet tutaj jest widno. A może to pod wpływem moich wspomnień z dzieciństwa.

Pod ścianą naprzeciwko mnie siedzi ktoś, kogo nazywałam bratem, kto kiedyś miał na imię Brady.

Ale nie jest już Bradym. Kaptur ma opuszczony i w końcu widzę jego twarz. Jest niesamowicie szczupła, jakby dopiero co skończył nocną zmianę w Works. Nawet

po tylu latach wygląda tak, jakby węglowy pył nigdy do końca się w niej nie zmył. Na pewno nie znikł z jego oczu. Są czarne jak smoła. Nie zostało w nim nic ludzkiego. Dlaczego tak wygląda? I dlaczego ma zęby monstrualnych rozmiarów? Nie chodzi o parę kłów - jest ich cały rząd.

W rękach trzyma kartkę z zagięciami, po których widać, jak starannie była kiedyś złożona. Ja ją złożyłam, zbierając ją do naszego nowego mieszkania. Rysunek mojej rodziny, który wiele lat temu powiesiłam na lodówce. Rysunek, który ciągle miałam, kiedy Brady włamał się do mieszkania i zaatakował Rachel. Jedyna rzecz, którą zabrał. Jedyny obraz nas wszystkich, jaki miałam. Narysowany grubą ołówkową kredką.

- Czemu nie dałeś nam znać, że żyjesz? - pytam.

- Spójrz, kim jestem!

- Mimo wszystko jesteś nadal moim bratem.

- Nie! Sin mnie odmienił. - Odwraca głowę. - Umierałem.

Odciągnął mnie, wypił ze mnie krew, aż serce miałem niemal suche, a każde jego uderzenie było głośnie i mocne. Bolało. Byłem przerażony, Dawn. Nie masz pojęcia, jak bardzo bałem się śmierci. A on tylko naciął nadgarstek, wylał trochę krwi na podłogę i odszedł. Dobrze wiedział, co zrobić. Jest bystry.

Zlizałem jego krew. Z ziemi. Ale krew wampira nas nie ratuje.

Umarłem... a potem się obudziłem. Taki. Zmieniłem się... w to.

- Ale, Brady, nie wyglądasz, jakbyś...

Wydaje z siebie przeraźliwy wrzask, a potem wali pięściami w ścianę, aż przebija się do salonu sąsiada.

- W to!

Chwyta kosmyk włosów i próbuje je sobie wyrwać, ale nie ustępują, więc znów wali w ścianę.

- Brady, przestań! Przerażasz mnie. - Naprawdę mnie przeraża, ale może jeśli będę taka, jak Dawn, którą znał, jak przestraszona mała dziewczynka, dotknę w nim resztki człowieczeństwa. Nie mogę uwierzyć, że to on mnie śledził. Własny brat był moim dręczycielem. W pewnym sensie to jeszcze pogarsza sprawę. Kiedyś mnie chronił, teraz zmienił się tak, że go nie poznaję. Nie wiem, do czego jest zdolny. Skoro stworzył go Sin, na pewno przepełnia go zło. Jego widok sprawia mi ból.

- Nie mógłbym tego zrobić, Dawn - wyznaje, nagle znów spokojny, jakby wcale nie zniszczył przed chwilą ściany. - Po prostu bym nie mógł. Nie po mamie i tacie. Byliby zażenowani, gdybym to zrobił. Byliby zażenowani, gdyby mnie widzieli.

- Czego nie mógłbyś zrobić? - Proszę, powiedz, że nie mógłbyś zabić Victora.

Znowu krzyczy, a ja wciskam się mocniej w ścianę, jakbym chciała się za nią schować, znaleźć się znów w tamtej szafie i przeczekać, aż wszystko się skończy. Brady chwyta zniszczone kuchenne krzesło i wyrzuca je przez wielką dziurę w ścianie. Leci bardzo, bardzo daleko.

- Po prostu nie mogłem tego zrobić - mówi, śmiejąc się, jakby powiedział dowcip. - Chciałem, Boże, naprawdę chciałem! Chciałem wiedzieć, jak smakuje. Musiałem wiedzieć. Musiałem się dowiedzieć, dlaczego tak bardzo

nas chcą. Dlaczego potrzebują naszej krwi. Dlaczego co noc musimy się bać!

Kopie w ścianę, a ja widzę, jak z sufitu odrywają się płyty tynku i opadają na niego. Mam wrażenie, że jego zdrowy rozsądek jest walutą - kiedy mu się kończy, musi coś zniszczyć, żeby ją odzyskać.

Widok mojego brata w takim stanie wywołuje we mnie szok. W głębi duszy cały czas wierzyłam, że może żyje. Ale dlaczego jest taki? Traci kontakt z rzeczywistością, bredzi, powtarza się, ma drgawki, jakby dręczyła go jakaś neurologiczna choroba.

Nagle dociera do mnie, co się z nim stało. Nie wiem, kiedy, nie wiem, ile czasu tak cierpi. Ale nie ma wątpliwości, czemu ma cały rząd kłów, czemu ma czarne oczy, czemu czuje się obcy we własnym ciele, czemu z taką łatwością pokonał Michaela.

Pragnienie.

- Nie możesz się żywić ludźmi, prawda? - pytam.

- Nigdy. Nigdy tego nie robiłem, Dawn. Chcę, żebyś o tym wiedziała. Nigdy. Wszystkie te wampiry, przez wszystkie te lata, napadałem je na zewnątrz. Zabijałem i wypijałem ich krew. Tego też nie chciałem robić, chciałem z tym skończyć. Ale było za późno. Nie jestem w stanie myśleć o niczym innym. To silniejsze ode mnie. Ale dziś z tym skończę. Już niedługo. Kiedy przyjdzie po ciebie Victor.

Otwieram szeroko oczy. Jestem przynętą. Nie, nie mógłby być tak okrutny, wykorzystać mnie w ten sposób.

- Śledziłem cię - mówi, odpowiadając mi, nim zdążę zapytać. -

Ktoś musiał, po śmierci mamy i taty. Chroniłem



cię. Ten wampir w szkole Dawsona. Chciał twojej krwi. Ja mu przeszkodziłem. I każdemu innemu. Kiedy za bardzo się zbliżali, zajmowałem się nimi. Rozdzierając im gardła.

- Został tylko jeden. Victor ze Starego Rodu. Zabiję go, jak tu przyjdzie. Potem wypiję jego krew. I będę uleczony, Dawn. Stanę się człowiekiem i znów będziemy rodziną. Dostanę znów pracę w Works, będę wracał wieczorem do domu i będziemy oglądać razem telewizję, będziemy mogli...

- To cię nie uzdrowi, Brady. Nie ma dla ciebie lekarstwa.

- Nie! Powiedział mi! On mi powiedział, że to mnie uzdrowi.

- Kto?

- Sin!

- Sin?

Jego ulubione stworzenie. Jego ideał. Mój brat kiwa głową.

- Naciął nadgarstek i wylał trochę krwi na ziemię. Jego krew jest jak złoto. Dużo go kosztuje nawet odrobina, dana komuś innemu. Musi bardzo uważać, kogo przemienia. Przemieniać ludzi, którzy nadają się do jego armii. Dzięki niemu mogę chodzić w słońcu. Ale dlatego, że żywię się krwią wampirów, stałem się właśnie tym! Myślałem... myślałem, że Sin mnie przez to znienawidzi. Wziąłem jego dar chodzenia za dnia i stałem się potworem. A jednak mnie nie znienawidził. Powierzył mi specjalną misję. Powiedział mi... powiedział, że Victor chce

zrobić ci coś złego. Powiedział, że mogę cię ochronić, jeżeli go zabiję, a potem, kiedy wypiję jego krew, wampira Starego Rodu, wyzdrowieję.

Sin. Zabrał Brady'ego, a teraz próbuje zabrać Victo-ra. Tyle że nie zrobi tego własnymi rękami. Widocznie nie jest tak silny jak jego przyrodni brat. Pozwolił, żeby ojca zabił Victor, a teraz chce, by perwersyjne wcielenie mojego ukochanego brata zabiło Victora. Czyżby to była słabość Sina? Czy to możliwe, że zdolność chodzenia w słońcu kosztuje go siłę i prędkość, jakimi obdarzony jest każdy wampir? Może posiada większą moc niż ludzie, ale jest słabszy od innych wampirów?

- Sin cię okłamał - mówię. - Na Pragnienie nie ma lekarstwa! Wykorzystuje cię do swoich celów.

- Nie! - Wbijają paznokcie w ścianę i przesuwa nimi w dół, drapiąc ją, zdzierając tapetę i tynk, który obsypuje się na podłogę. Zaciska pięści i wali nimi w ścianę jak rozzłoszczone dziecko. - Powiedział mi prawdę! Na pewno, to ostateczna ucieczka od tej... męczarni! Och, Brady. Stałeś się taki tylko dlatego, że nie umiałeś zrobić krzywdy drugiemu człowiekowi, nie umiałeś pić ich krwi. Gdybyś odbierał im życie, pozostałbyś przy zdrowych zmysłach. Serce mam ciężkie ze smutku. I jeszcze cięższe od poczucia winy, które niedługo będę musiała przełknąć. Bo jedynym lekiem na Pragnienie jest kołek.

- Victor nie jest dobry - warczy. - Wykorzystuje cię. Moją słodką, małą siostrzyczkę. Taką niewinną. Taką naiwną. Nikt nie jest dla ciebie wystarczająco dobry.

- Nie jestem już małą dziewczynką!

Dla niego pewnie jestem nią nadal. Brady'emu, który słyszał moje krzyki, kiedy walczył, widocznie wydaje się, że nadal jestem uwięziona, że potrzebuję jego ochrony. Czyżby odtwarzał sobie bez przerwy scenę w tym pokoju? Znalazł sposób, żeby zmienić rzeczywistość? Znalazł sposób na ocalenie? To dlatego ostateczna konfrontacja musi odbyć się tutaj. To Victor, nie Sin, będzie wampirem, który pozbawił go życia osiem lat temu, ale tym razem Brady zwycięży. W jego przekonaniu, kiedy wypije krew Victora, zostanie uzdrowiony.

- On tu nie przyjdzie - mówię. - Nie wie, że tu jestem.

- Oczywiście, że wie. Odwracam gwałtownie głowę.

W drzwiach stoi Victor. Natychmiast żałuję, że go widzę. Mnie Brady nie zabije, ale Victor jest w niebezpieczeństwie.

Brady nie myśli logicznie, jest przekonany, że krew Victora uwolni go od cierpienia.

- Miałem przeczucie, że drugi syn ojca zrobi dzisiaj spustoszenie - mówi do mnie, nie zwracając najmniejszej uwagi na Brady'ego. - Richard, Faith i ja przyjechaliśmy do miasta zaraz po zachodzie słońca, próbując się zorientować, gdzie uderzy.

- To Sin. Jest chodzącym za dnia.

- To tłumaczy, dlaczego jest jak duch. Wampiry zwykle potrafią wyczuć obecność innego wampira, ale kiedy go widziałem... -

Kręci głową. - Nic od niego nie

wyczułem. Nie myślałem o nim za dużo, bo miałem inne rzeczy na głowie.

- Dlaczego twój ojciec się go wyrzekł?

- Widocznie obawiał się jego mocy.

- To mojej mocy powinniście się obawiać! - krzyczy Brady.

- Już nie. - Tym jednym smutnym stwierdzeniem Victor wydaje na mojego brata wyrok śmierci.

- Chciałabym, żebyś nie musiał tego robić - zwracam się do nich obu, chociaż wiem, że dla Brady'ego nie ma ratunku.

- Nie martw się - mówi Brady. - Niedługo będzie po wszystkim.

- Nie masz pojęcia, kim jestem. - Victor zaciska pięści. Ręce ma zaskakująco masywne jak na swoje szczupłe ciało.

- Wam, ze Starych Rodów, zawsze się wydaje, że jesteście najlepsi.

- Strasznie mi przykro, Dawn. - Victor wyciąga zza pleców metalowy kołek.

- Mnie też - mówi Brady, otwierając usta, obnażając ostre kły.

Victor robi ruch pierwszy, kopie krzesło z taką siłą, że leci na Brady'ego, który miażdży je pięściami. Ale to tylko zmyłka, Victor jest już na nim. Wyczekuję odgłosu metalu, przebijającego ciało i kości, jego szeroko otwartych oczu i tragicznego, brutalnego zakończenia wielu lat męki. Ale słyszę tylko odgłos walki. Nikt nie ma nad nikim przewagi. Potyczka jest szybka i brutalna. Nie przypomina

pojedyńku Victora z ojcem, który wydawał się dziwnie piękny - jak wyreżyserowany balet, jakby pojedyńkowali się ze sobą od stu lat. Tu przed oczami mam dzikie, zwierzęce pragnienie zniszczenia drugiej istoty.

Przestraszona opieram się plecami o ścianę. Chcę pomóc, ale tylko bym przeszkadzała.

Któremuś łamie się zebro, słyszę, jak trzask odbija się echem w małym mieszkaniu. Jeden z nich wypuszcza z płuc powietrze.

Victor zanurza kołek w udzie Brady'ego, ale na moim bracie nie robi to wrażenia. Victor wyciąga go i próbuje trafić w serce, ale Brady jakoś się uchyla i więzi jego rękę.

Z siłą, która wydaje mi się niemożliwa, mój brat podnosi Victora i rzuca nim, jakby był ogromną poduszką. Victor przez ścianę naszego salonu wypada do sąsiedniego mieszkania. Sunie po podłodze, na którą spadają płaty drewna i tynku.

- Przestań, Brady! - krzyczę, ale równie dobrze mogę krzyczeć do ściany.

Brady pochyla się i podnosi kołek Victora, który upadł na podłogę. Sztywnym krokiem podchodzi do wampira Starego Rodu i celuje kołkiem w jego serce.

Victor reaguje w ostatniej chwili, unikając ciosu. Metal trafia go w pierś, ale z daleka od celu. Jego serce nadal bije.

Brady wyrywa kołek, przechyla głowę, ukazując rząd śmiertelnych kłów. Z trudem podnoszę się z podłogi, nie zwracając uwagi na zawroty głowy od tej substancji, którą wstrzyknął mi Brady. Pędzę przez pokój. Mój brat,

którego krzyk prześladował mnie przez osiem lat, mocno chwyta Victora za ramię i groteskowymi kłami przebija mu skórę. Krew tryska jak przerażająca fontanna.

- Brady, nie! - Dopadam go, obejmuję, usiłuję odciągnąć...

Jedną ręką odpycha mnie, jakbym była niczym. Mocno uderzam o podłogę. Jestem zdezorientowana, ale widzę oczy Victora. Jest zmęczony, wyczerpany, niewiele brakuje, żeby się poddał.

Spójrz na mnie, Victor. Musisz walczyć.

Zęby Brady'ego wbijają mu się w ramię i Victor przestaje odczuwać ból. Odpływa.

- Victor! - krzyczę. Wszystko, co do niego czuję, znajduje ujście w tej jednej chwili.

Zamyka oczy, a kiedy je otwiera, zupełnie nie przypomina tego Victora, jakiego znałam. Zwycięza powalająca wściekłość. Zaciska zęby, a jego kły są dłuższe niż wcześniej. Chwyta Brady'ego za ramiona i odpycha go, wydzierając ciało z własnego ramienia, bo Brady nie chce go wypuścić.

Victor uderza go w twarz tak mocno, że Brady traci jeden z kłów, ubrudzony krwią Victora. Wymierza kolejny celny cios w szczękę przeciwnika i odrzuca go od siebie kopniakiem. Mój brat ląduje na ławie przede mną. Z jego ust kapie czerwona krew. Otrząsa się i wstaje, ale Victor doskakuje do niego z kołkiem w dłoni, wycelowanym w miejsce tuż nad sercem.

Obserwuję rozwój sytuacji. Mijają sekundy, ale równie dobrze mogą to być lata. Osiem lat. Sama w tej szafie.

Bojąc się wyjść. Bojąc się pomóc. Bojąc się wszystkiego poza płaczem.

Głupia dziewczyno. Ty głupia, głupia dziewczyno.

Wtedy nie mogłam cię uratować, Brady. Ale teraz mogę.

Czołgam się do Victora, który sam nie potrafi poradzić sobie z siłą Brady'ego. Każdy z nich ma dłoń zaciśniętą na kołku, jeden dociska nim w dół, drugi pcha go w górę, koniec opiera się o skórę, jeszcze jej nie przebija.

Kładę dłonie na dłoniach Victora. Czuję, jak przepływa przez nie krew, która dudni w jego sercu. Pozwalam sobie tylko raz spojrzeć na Brady'ego, bo więcej nie jestem w stanie znieść, wiedząc, co muszę zrobić. Jego czarne oczy widzą zdradę. Czy rozumie, że robię to dla niego? Czy gdzieś w głębi jego chorego umysłu jest cząstka, która mówi: proszę, Dawn, zakończ te męki?

Pragnienie dręczy go tylko dlatego, że nie był w stanie skrzywdzić człowieka. Nienawidzi tego, czym się stał. Teraz rozumiem, skąd się wzięło zniszczone lustro w mojej łazience. Kiedy ta myśl przemyka mi przez głowę, z oczu leci mi jedna, ostatnia łza - za niego, za rodziców, za ten niesprawiedliwy świat.

- Kocham cię, Brady - szepczę ze łzami w oczach. -Nie bój się ciemności.

Napieram całym swoim ciężarem. Wszystko dzieje się szybko, Brady nawet nie krzyczy. Po prostu przestaje walczyć, a potem zamiera. Na zawsze.

Pochyliłam się i składam na jego czole pocałunek, modląc się, żeby spoczywał w pokoju.

Wiem, że walka się jeszcze nie skończyła. Dłonie mam we krwi. We krwi Victora, która cały czas tryska mu z ramienia. Co gorsza, płynie też z piersi.

Odsuwa się od Brady'ego, a jego oczy znów stają się takie, jakie widzę w snach. Tylko teraz są smutne.

- Victor - mówię. Nie reaguje, patrzy tylko w ciemność, opierając się plecami o kanapę. - Victor.

- Tak mi przykro, Dawn. - Głos ma słaby. Zdejmuje dłoń z piersi i tryska z niej krew. Podbiegam do niego, klękam i kładę dłoń na jego klatce piersiowej. Krew jest ciepła. Czuję, jak jego serce zwalnia, zacina się, walczy.

- Victor... dlaczego krwotok nie ustaje?

- Nic mi nie będzie. Rana w sercu jest głęboka, ale się zagoi. Za jakiś czas.

- Za ile czasu? - Wiem, że rany wampirów goją się w ciągu kilku minut, może godziny, jeżeli obrażenie jest poważne. Ale co się dzieje, jeśli uszkodzone jest serce? Kołek jest wyciągnięty, ale ono dalej krwawi.

- Nie martw się...

- Victor! Ile czasu?

- Dzień. Może więcej. - Mówiąc to, kaszle i zaciska zęby. Widać, że strasznie cierpi.

- Nie mamy tyle czasu - mówię. - Sin może nadal tam być, może nas szuka. Może szuka ciebie.

- To niech mnie znajdzie. Przynajmniej przeżyję... te ostatnie chwile z tobą.

- Nie mów tak. Chodź, wydostaniemy się stąd. Próbuję go podnieść, ale jest za ciężki. Wiem, że nie uda mi się przenieść go szybko w bezpieczne miejsce.



- Szkoda, że to nie mogło skończyć się inaczej - mówi Victor.  
- To nie twoja wina.  
- Wina zawsze jest moja. Wszystko, co dzieje się wokół ciebie. To przeze mnie.

Traci kontakt ze światem. Głowa kiwa mu się leniwie.

- Victor, musisz napić się mojej krwi. Moja krew cię uzdrowi. -  
Robię krok do przodu, opuszczam sukienkę tak, żeby odsłonić szyję.

- Nie! Nie chcę, żebyś to robiła, Dawn.

- Ale... inaczej umrzesz. Nawet jak nie znajdzie cię Sin, znajdzie cię słońce.

- Lepiej, żebym zginął ja niż ty. Żeby zagoiła się taka rana, potrzebuję dużo krwi. Uchronić możesz się tylko, jeżeli...

Nienawidziłabyś bycia wampirem.

To się tak nie skończy. Na pewno nie. Chwytam ostry kawałek drewna, który odłamał się od stołu roztrzaskanego przez mojego brata. Przyciskam go sobie do szyi. Nie wiem, gdzie znajduje się tętnica, a ile w ogóle uda mi się go wcisnąć dość głęboko.

- Nie - protestuje Victor, próbując wytrącić mi z ręki prowizoryczne narzędzie, ale jest tak słaby, że ledwie udaje mu się unieść rękę.

- Victor, nie mogę pozwolić ci odejść. Nie pozwolę ci odejść. Nie dlatego, że jesteś ważny dla miasta, ale dlatego, że jesteś ważny dla mnie.

- Dawn... - wymawia moje imię, jakby mówił do siebie.

- Napij się mojej krwi.

- Nie będę umiał przestać. Żeby cię uratować, musiałbym cię przemienić.

- Nie jesteś potworem, Victor. Wierzę ci. Odkładam kołek, pochylam się i układam głowę na zdrowym ramieniu Victora, żeby bijący w szyi puls znalazł się w zasięgu jego kłów.

- To nic złego - szepczę mu do ucha. - Kocham cię. Ujmuje moją twarz i odwraca ją do siebie. Spoglądam mu w oczy, on mnie całuje, a ja zamykam powieki. To najśłodszy pocałunek, jakiego skosztowałam, jeszcze lepszy po walce, która nas tu sprowadziła.

Odsuwa się, ale ja nie otwieram oczu. Delikatnie odwraca mi głowę, odsłaniając szyję, i zanurza kły w mojej skórze.

Wzdycham, kiedy we mnie wnikają. To boli. Łzy napływają mi do oczu, nie z bólu, ale pod wpływem poczucia ulgi, satysfakcji.

Ofiaruję mu esencję mojego ciała, a on ją przyjmuje.

Spodziewałam się, że poczuję się winna, że przemkną mi przed oczami obrazy moich rodziców i ich ofiara albo Agencja i wszystko to, o co powinnam walczyć. Ale nic nie widzę. Czuję tylko ciepło Victora, który pije moją krew. Czuję jego spokojną dłoń na moim karku, jego palce wplecione w moje włosy.

Przyciąga mnie bliżej.

- To nic złego - szepczę łagodniej niż poprzednio. Jego druga dłoń przytrzymuje mnie tak, żebym nie mogła uciec, nawet gdybym chciała. Ale nie chcę. Chcę trwać tak na zawsze.

- To jest... - Usiłuję mu powiedzieć, że to nic złego, ale tracę świadomość. Uchodzi ze mnie życie.

Świat ciemnieje. Jego uścisk staje się mocniejszy, aż boli. Victor trzyma moją głowę z całej siły, a ja chcę się wyswobodzić.

Odzyskał siły. Ale nie może przestać. Powiedział mi, że tak się stanie. Ostatnią moją myślą, zanim wszystko zniknie, jest to, że może miał rację.

Victor, jesteś potworem.

I ja wkrótce też się nim stanę.